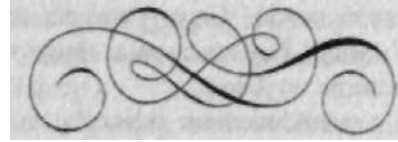


Nicola Cornik





ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wrzesień 1812 roku

- Jak sądzisz, Lavender, ile właściwie par rękawiczek powinna mieć dama? - zagadnęła szwagierkę Caroline Brabant.

Obie panie siedziały w bibliotece w Hewly Manor. Był to elegancko urządzony pokój w kształcie prostokąta, o ścianach zastawionych orzechowymi półkami pełnymi książek, które admirał, ojciec Lavender, zgromadził w trakcie swych rozlicznych zamorskich podróży, tworząc niezwykle ciekawą, niejednorodną kolekcję. Caroline spoczywała w pozycji półleżącej na sofie, a Lavender właśnie skończyła czytać jej na głos rozdział *Rozważnej i romantycznej*, powieści obyczajowej z życia ziemiaństwa, która obydwu bardzo przypadła do gustu.

Lavender podniosła wzrok znad książki. Uwaga Caroline zdawała się zdawkowa, niemniej Lavender znała bratową na tyle dobrze, by wiedzieć, że tamta na ogół nie zadaje pytań, ot tak sobie. Poza tym, będąc damą w pełnym znaczeniu tego słowa, Caroline nie potrzebowała rad Lavender w kwestiach elegancji. Coś musiało się za tym kryć.



- Nie jestem pewna, Caro - zaczęła ostrożnie. - Trzy, może cztery? Najlepsza para, druga na zmianę, para na wieczorne wyjścia...

Caroline z westchnieniem odłożyła na bok białe dziecięce ubranko.

- W takim razie pan Hammond, kupiec bławatny, na pewno uważa cię za swoją najlepszą klientkę - zauważyła pogodnie - bo według moich obliczeń tylko w ostatnim kwartale kupiłaś co najmniej sześć par!

Lavender uciekła przed jej wzrokiem. Bratowa była stanowczo za bystra.

- Jeśli nie rękawiczki, to czepki, szale albo materiały - mówiła właśnie. - Czyżby wszystkie twoje rzeczy zniszczyły się jednocześnie?

Lavender zerwała się z miejsca, przecięła pokój i podeszła do okna. W ogrodach otaczających Hewly Manor zapadał zmierzch i nastał czas zapalania świec. Odwrócona plecami do Caroline, spróbowała mówić jak gdyby nigdy nic.

- Wiesz, jak to bywa, Caro - zaczęła, dumna ze swego niefrasobliwego tonu. - Czasami wszystko naraz aż się prosi o natychmiastową wymianę! A teraz, z nadjeściem jesieni, znów będę potrzebowała paru nowych rzeczy, cieplejszych ubrań odpowiednich na deszczowe pogody. - Urwała, świadoma, że zaczyna się plątać. Czuła baczny wzrok Caroline utkwiony w tyle głowy. Zazwyczaj towarzystwo bratowej sprawiało jej wielką przyjemność i była przeświadczona, że Lewis nie mógłby sobie wymarzyć lepszej żony. Zazwyczaj, ale nie dzisiejszego dnia. Nie wtedy, gdy Caroline zachciało się



wywierać na nią presję i uparcie domagała się odpowiedzi, skąd to nagłe zainteresowanie szwagierki sklepem kupca bławatnego.

- Chyba się przejdę, zanim całkiem się ściemni - powiedziała pospiesznie, pragnąc jak najszybciej skryć się przed przenikliwym wzrokiem Caroline. - Boli mnie głowa i mały spacer po ogrodzie powinien mi dobrze zrobić.

Caroline ponownie wzięła do ręki robótkę, leżącą przy niej na sofie obitej różowym brokatem.

- Naturalnie. Nie proponuję ci swego towarzystwa, bo ostatnio bardzo szybko się męczę. - Przekrzywiła głowę i zaczęła się przyglądać dziecięcemu ubranku, które od jakiegoś czasu haftowała z godnym podziwu mistrzostwem. - Wygląda na to, że będę potrzebowała więcej nici. Czy byłabyś tak dobra i wybrałabyś się jutro do Abbot Quincey, aby je dla mnie kupić?

Lavender rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie, ale twarz Caroline pochylonej nad robótką nie wyrażała nic poza łagodnością. Teraz, kiedy bratowa spodziewała się dziecka, cała promieniała wewnętrznym zadowoleniem, nawet bardziej niż w pierwszych dniach małżeństwa z Lewisem. Na nieszczęście dla Lavender, cięża Caroline nie wpłynęła ujemnie ani na jej bystrość umysłu, ani na zmysł obserwacji.

Lavender lekko zamknęła za sobą drzwi biblioteki. Do jej uszu dobiegło dzwonenie z głębi domu. To Caroline pociągnęła za taśmę dzwonka, dając znak, by zapalono świece. Młodziutka pokojówka wybiegła z pomieszczeń dla służby, po drodze złożyła ukłon Laven-



der i uśmiechnęła się do niej, po czym pospieszyła spełnić polecenie swojej pani. Lavender szybko się zorientowała, że cała służba lubi Caroline. Ostatnio w Hewly panowała wyjątkowo spokojna atmosfera, aczkolwiek Caroline często żartowała, że wszystko się radykalnie zmieni wraz z przyjściem dziecka na świat.

Lavender wzięła płaszcz i buty z pokoju wychodzącego na ogród. Dom był nieskazitelnie czysty, choć mógł sprawiać wrażenie nieco nadgryzionego zębem czasu. Wciąż brakowało pieniędzy na naprawy, bowiem Lewis inwestował wszystkie dochody w posiadłość, chcąc nadrobić zaniedbania ostatnich paru lat. Lavender nie oponowała - jej zdaniem staroświecki szyk Hewly działał kojąco i świadczył o dobrym guście jego mieszkańców, a poza tym uważała, że skoro wciąż jeszcze trwa żałoba po śmierci ojca, nie wypada rozpoczynać gruntownego remontu. Lewis jakiś czas temu napomknął, że najbliższej jesieni może wybiorą się wszyscy do Londynu, Lavender miała jednak nadzieję, że jego plan nie dojdzie do skutku. Przecierpiała jeden wyczerpujący sezon w Londynie przed czterema laty i nie zamierzała dać się zanudzić po raz drugi. Jednakże ta wzmianka wzbudziła w niej lęk o przyszłość, bo teraz skoro Lewis się ożenił, a wkrótce rodzina miała mu się powiększyć, nie powinna bez końca siedzieć na jego łasce. Wprawdzie ani on, ani Caroline nigdy nie dali jej odczuć, że jest tu niemile widziana, ale mimo to...

Wyszła z domu frontowymi drzwiami i postąpiła przez chwilę na wyspanej zwirem ścieżce, próbując zdecydować, w jakim kierunku się udać. Przed nią rozpoście-



rał się kwietnik dochodzący do ogrodzonych murem ogrodów, za którymi był sad. Z miejsca, w którym się znajdowała, mogła widzieć wschodzący księżyc przeświecający między gałęziami jabłoni. Naciągnęła jedną z licznych par rękawiczek, o których napomknęła Caroline, i ruszyła przed siebie, pogrążona w myślach.

Zawsze mogła dołączyć do grona tych budzących respekt niezamężnych ciotek, bez których żadna rodzina nie umiała się obejść. W miarę jak Lewisowi i Caroline będzie przybywało dzieci, mogłaby pełnić rolę dodatkowej niani i guwernantki, niezastąpionej zarówno z punktu widzenia służby, jak i rodziny. Wszyscy podkrcślaliby, jak dobrze radzi sobie z dziećmi i jak jest przez nie kochana. A kiedy dzieci dorosną, mogłaby kupić sobie mały domek i hodować koty, jak na typową starą pannę przystało. Poza tym pozostaje jej rysowanie i botanika.

Lavender zwolniła kroku. Prawdę mówiąc, na tę myśl uczuła dziwną pustkę w sercu. Ze wszystkich sił pragnęła być najlepszą z ciotek dla dzieci Lewisa i Caroline, ale co by było, gdyby zechciała założyć własną rodzinę? Niestety, zdawała sobie sprawę, że jako dwudziestotrzyletnia panna już dawno przekroczyła wiek, w którym na ogół wychodzi się za mąż. Poza tym nie spotkała mężczyzny, który sprawił, że serce zabiło jej szybciej. Cóż, jeśli miała być szczerą, jednak poznała takiego i stąd właśnie brał się cały problem.

Doszła do sadu i na moment przystanąła. Wiatr porwał opadłe liście ze ścieżki i zawirował nimi wokół niej. Pogodne ciemnoniebieskie niebo zapowiadało

chłodną noc. Był wrzesień, jeden z ulubionych miesięcy Lavender, lecz świadomość rychłego końca roku nie pozwalała jej ani na chwilę zapomnieć o tym, że jej czas również nie stoi w miejscu.

Powodowana impulsem pchnęła furtkę w murze i po chwili znalazła się na brukowanej ulicy, biegnącej od posiadłości do rzeki Steep, obok szkoły dla dziewcząt, prowadzonej przez panią Guarding. Nie zamierzała oddalać się zbyt od domu, ale teraz, w zapadającym zmierzchu, nagle przysła jej ochota udać się nad wodę, a potem wzdłuż muru otaczającego opactwo i dalej, aż na skraj lasu. Za dnia Lavender wędrowała samopas po całej okolicy, nie zważając na odległość czy względy bezpieczeństwa, jednakże wieczorem nie było to zbyt rozsądne. Słyszała, że w tutejszych lasach można napotkać kłusowników, a choć była przekonana, że z ich strony nic jej nie grozi, mimo wszystko lepiej było nie wchodzić im w drogę. Zadrzała lekko od gwałtownego podmuchu wiatru. Przez te wszystkie lata mieszkania w Steep Abbot widziała i słyszała mnóstwo dziwnych rzeczy, ale nie powiedziała o nich nikomu ani słowa.

Minęła szkołę pani Guarding i uśmiechnęła się lekko, kiedy jej uszu doszedł stłumiony odgłos śpiewu rozbrzmiewający w powietrzu. Najwidoczniej dzisiejszego wieczoru odbywała się próba chóru. Muzyka towarzyszyła jej aż do rzeki, gdzie zagłuszył ją szum wody uderzającej o kamienie. Srebrna tarcza księżycy odbijała się w pofalowanej powierzchni rzeki, a wiatr śpiewał w gałęziach drzew.

Skrajem lasu prowadził skrót do ogrodów Hewly

Manor, wąska ścieżka, z jednej strony obrzeżona kamiennym murem, z drugiej - szumiącymi drzewami. Mimo że rezydencja była niemal na wyciągnięcie ręki, Lavender ni stąd, ni zowąd odczuła dziwny niepokój. Powtarzając sobie, że ściskanie w żołądku jest spowodowane głodem, a nie strachem, śmiało ruszyła przed siebie.

Przeszła zaledwie cztery kroki, kiedy potknęła się o spory worek, leżący tuż przy ścieżce. Spieszenie rozejrzała się wokół, lecz w zasięgu wzroku nie było nikogo. Pod drzewami ścieliły się cienie i szeleściły liście. Wciąż słyszała szum wody, bo rzeka płynęła kilka jardów za jej plecami.

Lavender dostała gęziej skórki. Nie miała pojęcia, co robić. Mogła się wycofać i wrócić do domu drogą, którą tu przyszła. Mogła też pójść dalej, udając, że niczego nie zauważyła. Jedno czy drugie było z pewnością lepsze niż otwarcie worka i znalezienie tam martwego zwierzęcia, o które zaraz upomni się kłusownik. Wtem wydało się jej, że słyszy pisk dobiegający ze środka i wbrew zdrowemu rozsądkowi schyliła się. Właśnie wyciągała rękę w kierunku worka, kiedy poruszył się sam, zupełnie jakby siedział w nim jakiś zły duch. Lavender odruchowo krzyknęła.

Natychmiast usłyszała kroki za sobą na ścieżce, a zanim zdołała się wyprostować, ktoś chwycił ją za ramię i szybko obrócił twarzą do siebie.

Lavender znalazła się w brutalnym uścisku kogoś, kto najwyraźniej chciał powstrzymać ją od ponownego krzyku. Nieznajomy jedną ręką ciasno obejmował jej

talie, a szorstki materiał jego surduta drapał ją w policzek. Nieznajomy był bardzo wysoki. I barczysty. Dłonie mocno przycisnęła do jego piersi, toteż pod palcami wyczuwała twarde mięśnie i rytmiczne bicie serca.

Dziwne, ale skutek tego odkrycia Lavender zdała sobie sprawę, że wszystkie jej zmysły nagle się wyostrzyły, dostarczając jej nowych, nieznanych wrażeń. Słyszała szelest liści na drzewach, zmieszany z jej własnym nierównym oddechem, czuła zimne dotknięcia wiatru na policzkach i ciepło skóry nieznanego, kiedy pochylił głowę i policzkiem otarł się o jej włosy. I cudownie pachniał zimnym powietrzem o lekkim, ale wyraźnym aromacie cytryny. Niespodziewanie pod Lavender ugięły się kolana. Mężczyzna musiał to wyczuć, bo zacieśnił uchwyt wokół jej talii.

- Pan Hammond!

Lavender nie potrafiłaby powiedzieć, jak go rozpoznała, nie miała jednak najmniejszych wątpliwości, że to on, a słowa wyrwały się z jej ust, zanim zdążyła pomyśleć. Drżącymi dłońmi pchnęła go w pierś. Mężczyzna natychmiast ją puścił i odsunął się nieco, tak że teraz stali twarzą w twarz, w odległości paru kroków od siebie.

- Panna Brabant! - Głos Barneya Hammonda był tak samo wyważony i pełen życzliwości, jak go zapamiętała, ale nabrał cieplejszego tonu wskutek rozbawienia, które zdaniem Lavender było całkiem nie na miejscu. Zawsze podobał jej się sposób mówienia Barneya, niezwykle uprzejmy, jednakże bez śladu uniżoności. Jego ojciec zachowywał się służalczo wobec klientów

z wyższych sfer, ilekroć wstępowali na zakupy do jego sklepu. Lavender działało to na nerwy, zwłaszcza odkąd miała okazję zaobserwować, z jakim lekceważeniem traktuje biedniejszą klientelę. Zauważyła też, że Barney zawsze odnosi się do wszystkich tak samo życzliwie, i za to go polubiła.

Teraz jednak popadła w dziwną rozterkę, zupełnie jakby klarowny charakter łączących ich stosunków jakimś sposobem się zamazał. On był synem sklepikarza, a ona córką admirała, która, mimo dzielącej ich sklepowej lady, pozwoliła sobie na całkiem niestosowne marzenia. Może i podchodził do każdego w ten sam sposób, ale kiedy zwracał się do niej, w jego głosie wyczuwała charakterystyczny ciepły ton, a w oczach dostrzegała podziw, co niezmiennie przyprawiało ją o szybsze bicie serca. No i był dla niej taki miły po śmierci jej ojca. Prawie jej nie znał, a jednak jego kondolencje świadczyły o wyjątkowej wrażliwości.

Caroline miała rację - ostatnio bardzo często zaglądała do sklepu bławatnego, składając ciągle nowe zamówienia, a to na wstążki, a to na parę rękawiczek. Teraz było jej wstyd wobec siebie samej. Sądziła... Ale tutaj jej myśli, delikatnie mówiąc, zaczęły się gmatwać. Czyżby była snobką, w pełni świadomą swej pozycji społecznej i niższości Barneya w stosunku do niej, czy też może była ponad to i odnosiła się z pogardą do tych, których życiem rządziły ranga i przywilej? Bez względu na to, jak było naprawdę, nigdy dotąd nie spotkała Barneya Hammonda w sytuacji takiej jak ta i fakt ten sprawił, że poczuła się bezbronna.

Wskutek dziwnego wpływu, jaki wywierała na nią jego obecność, głos, który się z niej wydobył, przypominał pisk, choć w zamyśle miał brzmieć autorytatywnie.

- Jakim prawem skrada się pan po ciemku, i to z czymś takim. - Czubkiem buta wskazała nieszczęsny worek. Uznała za oczywiste, że kłusował, a co gorsza, że jego ofiara jeszcze żyje. - Nie spodziewałam się po panu czegoś takiego! - zakończyła z oburzeniem, przekonana o własnej nieomyślności.

- Czyżby? - W głosie Barneya zabrzmiały zaskoczenie i rozbawienie. - Naturalnie, pochlebia mi to, panno Brabant, ale czemu mam to przypisać?

Lavender skrzywiła się lekko. Nie widziała wyraźnie jego miny, ponieważ było już niemal całkiem ciemno, a poza tym miał taką twarz, z której nawet przy dużym wysiłku nie dawało się niczego wyczytać. Nieraz słyszała, jak służące chichoczą, rozmawiając o Barneyu i wymieniają uwagi na temat jego męskiej urody i atletycznej budowy. Jej zdaniem nie był przystojny w klasycznym znaczeniu tego słowa, niemniej zdawała sobie sprawę, że z pewnością coś w nim jest. To coś sprawiało, że kiedy się nad tym zastanawiała, robiło jej się gorąco i zaczynała się niepokoić, a kiedyś nawet Caroline zauważyła, całkowicie beznamiętnie, że rozumie, dlaczego wszystkie dziewczęta z wioski za nim szaleją.

Lavender spróbowała się skupić. Doskonale zdawała sobie sprawę, że takie myśli mnożą problemy, zamiast pomóc w ich rozwiązaniu. Wiedziała, że powinna się

pożegnać i wrócić do domu, ale Barney cierpliwie czekał na jej odpowiedź, toteż uznała, że byłoby nieuprzejmie tak po prostu odejść.

- Nie przypuszczałam, że trudni się pan czymś tak obrzydliwym jak kłusownictwo - powiedziała chłodno, znów wskazując na worek. Nie poruszył się więcej, była jednak przekonana, że sobie tego nie wyobraziła. - A pakowanie ofiary do worka, nie dobiwszy jej uprzednio - to wyjątkowe okrucieństwo!

Tym razem usłyszała jego śmiech.

- Och, a więc myśli pani, że jestem kłusownikiem, panno Brabant? Rozumiem! - Ciepły ton jego głosu przeszedł w żartobliwy i Lavender speszyła się jeszcze bardziej. Zachowanie Barneya było nie tylko niewłaściwe, sugerowało, że jej rozmówca jest całkiem bez serca!

- Co innego miałabym myśleć? - odparła ze złością, w duchu zadając sobie pytanie, dlaczego barwa jego głosu jest tak przyjemna dla ucha, podczas gdy słowa - wprost przeciwnie. - Usłyszałam jakieś odgłosy dobiegające z worka i widziałam, jak się poruszył! A poza tym z jakiego innego powodu krążyłby pan po lesie o tej porze?

Ku swemu zdumieniu zobaczyła, że Barney kuca na ścieżce i rozluźnia rzemyk u wylotu worka. Nagle odeszła ją ochota oglądania biednego okaleczonego stworzenia uwięzionego w środku, cokolwiek to było.

- Błagam, niech pan skróci jego cierpienia, szybko! - dokończyła pośpiesznie, odwracając głowę. - Jak może być pan tak okrutny!

- Dokładnie to zamierzał uczynić mój ojciec - powiedział Barney oschle. - Obawiam się, że wyciągnęła pani pochopne wnioski, panno Brabant.

Lavender usłyszała cichutkie miauknięcie i gwałtownie odwróciła głowę. Barney właśnie delikatnie wyciągał z worka jakieś stworzonko, miękkie, puszyste i o bardzo ostrych pazurkach. Spostrzegła, że się skrzywił, kiedy kociak zatopił w jego dłoni drobne ząbki i pazurki równocześnie.

- Och, są aż dwa!

- Tak, i jak widać nie są mi szczególnie wdzięczne za okazaną łaskę.

Lavender podeszła bliżej i Barney rozwarł dłoń, demonstrując dwa maleńkie stworzonka. Trochę się trzęsły i spoglądały badawczo na otoczenie wylęknionymi, szeroko otwartymi oczami. Lavender wyciągnęła rękę i niepewnie pogłaskała jeden z maleńkich łebków.

- Och, jaki śliczny! Ale... - Poderwała głowę i spojrzała mu prosto w oczy. - Ten worek... czyżby zamierzał je pan utopić w rzece?

- Mój ojciec chciał skazać je na taką śmierć - odparł Barney, nie przestając głaskać kotków delikatnymi palcami. Do uszu Lavender dobiegały teraz pełne zadowolenia pomruki. - Ich matka przy błąkała się do nas i nie podobało mu się, że się nią zaopiekowaliśmy, nie mówiąc o jej potomstwie, ale moja siostra Ellen bardzo przywiązała się do kociąt i błagała mnie, żebym znalazł im dobry dom. Zaproponowałem więc, że je zabiorę, a ojciec założył, że pozbędę się ich na dobre.

Lavendet aż się zatrzęsała.

- A co pan zamierzał z nimi zrobić? Czy ktoś się zafiarował, że je weźmie?

Po raz pierwszy Barney nie patrzył jej prosto w oczy.

- Niezupełnie. Nieco dalej przy drodze jest stara obórka. Zamierzałem wymościć tam dla nich miejsce i zostawić je na noc. Właśnie zbierałem liście na podściółkę, kiedy pani potknęła się o worek! Jutro może udałoby mi się kogoś przekonać, żeby zapewnił im dom.

Lavender uniosła brwi.

- Moim zdaniem to nie najlepszy plan! Mogłyby stąd uciec, a raczej nie wygląda na to, że potrafią się same zatroszczyć o jedzenie, chyba pan rozumie!

- Wziąłem ze sobą trochę okrawków i odrobinę mleka - powiedział Barney tym swoim całkowicie pozbawionym wyrazu głosem.

Lavender z wielkim trudem powstrzymała się, żeby nie parsknąć śmiechem. Wydało jej się zabawne, że ten mężczyzna całym sercem zaangażował się w działanie dla dobra pary kociąt. Jednak małe stworzonka najwyraźniej darzyły go już sympatią, bo pod jego dłońmi zmieniły się w dwa rozkoszne kłębuszki futra. Lavender uświadomiła sobie, że jej myśli, zamiast skupić się na losie kociąt, nagle i nieoczekiwanie przeskakują do pieczyoty palców Barneya i poczuła, że robi jej się gorąco na całym ciele.

- Ma pan ze sobą masło? - spytała ni stąd, ni zowąd. - Jeśli posmaruje im pan łapki, będą zbyt zajęte ich wylizywaniem, by pomyśleć o ucieczce.

Barney wyglądał na przybitego.

- Nie pomyślałem o tym. Naprawdę sądzi pani, że mogą zgubić się w lesie?

- Koty to domowe stworzenia - wyjaśniła Lavender, zadowolona, że jej głos brzmi przekonująco - i może będą próbowały odnaleźć drogę do pańskiego domu. A są na tyle daleko od Abbot Quincey, że pewnie nigdy im się to nie uda! Przecież mogą utopić się w rzece albo paść z wyczerpania lub zostać zjedzone.

- Panno Brabant, proszę, niech pani nie bierze sobie tego do serca. - Barney sprawiał wrażenie rozbawionego i zasmuconego zarazem. - Jestem przekonany, że nic takiego im się nie stanie.

- Cóż, nie może pan tego wiedzieć na pewno! - oświadczyła Lavender z oburzeniem, po czym wzięła głęboki oddech. - Właśnie wpadł mi do głowy doskonały pomysł. Zabiorę je do Hewly Manor. Mogą zamieszkać u nas. - Ta propozycja zdawała się pochodzić nie wiadomo skąd i zaskoczyła ją niemal tak bardzo, jak zdawała się zdumiewać Bameya. Wpatrywał się w nią, przebijając wzrokiem ciemności.

- Zrobi to pani? Ale...

- W Hewly Manor wiecznie mamy problemy z myszami - improwizowała naprędce, żeby nie sprawiać na nim wrażenia zbyt sentymentalnej. - Te kociaki na pewno się z nimi rozprawią.

Barney popatrzył na nią znacząco. Było aż nadto oczywiste, że kotki są niewiele większe od myszy.

- Urosną szybko - zauważyła Lavender, zupełnie jakby wypowiedział swoją uwagę na głos. - Przy odrobinie troski.

Wyciągnęła rękę po worek, ale Barney podniósł go i wsadził kotki z powrotem do środka.

- To bardzo szlachetnie z pani strony - zaczął pozwoli. - Jeśli jest pani pewna...

- Oczywiście! A pan tym sposobem będzie mógł powiedzieć' siostrze, że kotki znalazły dobry dom.

- A co pani powie bratu i bratowej?

- No cóż, że znalazłam kotki w worku leżącym na ścieżce, właśnie tak jak było. Nie zamierzam kłamać, a znają mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, iż nie zostawiłabym ich tutaj na pastwę losu.

Barney energicznym ruchem zarzucił worek na plecy.

- W takim razie odprowadzę panią do domu, panno Brabant.

- Nie ma takiej potrzeby. Co by było, gdyby ktoś pana zobaczył i... - Urwała w pół zdania, uświadamiając sobie, że Barney może źle zrozumieć jej słowa. Nie chciała, by myślał, że ona uważa się za kogoś lepszego od niego.

Barney spojrział na nią spod oka, jednak nic nie powiedział, odsunął się tylko na bok i przepuścił ją przodem. Wyglądało na to, że jej obiekcje zostały zignorowane. Lavender otworzyła usta w proteście, lecz szybko je zamknęła.

Uszli trochę drogi w milczeniu. Barney odezwał się pierwszy.

- Naprawdę myślała pani, że jestem kłusownikiem, panno Brabant?

- Cóż, skąd miałam wiedzieć, że tak nie jest! Co innego mógłby robić ktoś skradający się nocą w lesie?

- Nie pomyślałem o tym. Naprawdę sądzi pani, że mogą zgubić się w lesie?

- Koty to domowe stworzenia - wyjaśniła Lavender, zadowolona, że jej głos brzmi przekonująco - i może będą próbowały odnaleźć drogę do pańskiego domu. A są na tyle daleko od Abbot Quincey, że pewnie nigdy im się to nie uda! Przecież mogą utopić się w rzece albo paść z wyczerpania lub zostać zjedzone.

- Panno Brabant, proszę, niech pani nie bierze sobie tego do serca. - Barney sprawiał wrażenie rozbawionego i zasmuconego zarazem. - Jestem przekonany, że nic takiego im się nie stanie.

- Cóż, nie może pan tego wiedzieć na pewno! - oświadczyła Lavender z oburzeniem, po czym wzięła głęboki oddech. - Właśnie wpadł mi do głowy doskonały pomysł. Zabiorę je do Hewly Manor. Mogą zamieszkać u nas. - Ta propozycja zdawała się pochodzić nie wiadomo skąd i zaskoczyła ją niemal tak bardzo, jak zdawała się zdumiewać Barneya. Wpatrywał się w nią, przebijając wzrokiem ciemności.

- Zrobi to pani? Ale...

- W Hewly Manor wiecznie mamy problemy z myszami - improwizowała naprędce, żeby nie sprawiać na nim wrażenia zbyt sentymentalnej. - Te kociaki na pewno się z nimi rozprawią.

Barney popatrzył na nią znacząco. Było aż nadto oczywiste, że kotki są niewiele większe od myszy.

- Urosną szybko - zauważyła Lavender, zupełnie jakby wypowiedział swoją uwagę na głos. - Przy odrobinie troski.

Wyciągnęła rękę po worek, ale Barney podniósł go i wsadził kotki z powrotem do środka.

- To bardzo szlachetnie z pani strony - zaczął pozwoli. - Jeśli jest pani pewna...

- Oczywiście! A pan tym sposobem będzie mógł powiedzieć siostrze, że kotki znalazły dobry dom.

- A co pani powie bratu i bratowej?

- No cóż, że znalazłam kotki w worku leżącym na ścieżce, właśnie tak jak było. Nie zamierzam kłamać, a znają mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, iż nie zostawiłabym ich tutaj na pastwę losu.

Barney energicznym ruchem zarzucił worek na plecy.

- W takim razie odprowadzę panią do domu, panno Hrabant.

- Nie ma takiej potrzeby. Co by było, gdyby ktoś pana zobaczył i... - Urwała w pół zdania, uświadamiając sobie, że Barney może źle zrozumieć jej słowa. Nie chciała, by myślał, że ona uważa się za kogoś lepszego od niego.

Barney spojrział na nią spod oka, jednak nic nie powiedział, odsunął się tylko na bok i przepuścił ją przodem. Wyglądało na to, że jej obiekcje zostały zignorowane. Lavender otworzyła usta w proteście, lecz szybko je zamknęła.

Uszli trochę drogi w milczeniu. Barney odezwał się pierwszy.

- Naprawdę myślała pani, że jestem kłusownikiem, panno Brabant?

- Cóż, skąd miałam wiedzieć, że tak nie jest! Co innego mógłby robić ktoś skradający się nocą w lesie?

- Mogłoby być wiele powodów takiego postępowania, tak mi się wydaje. To przykre, że aż tak źle mnie pani ocenia, panno Brabant! Liczyłem na to, że ma pani o mnie lepsze zdanie!

Ostatnie czego Lavender mogła się spodziewać, to znalezienie się w sytuacji kogoś, kto musi się tłumaczyć.

- Cóż, jest mi naprawdę przykro, przyzna pan jednak, że moje przypuszczenia nie były bezpodstawne. Poza tym jeszcze pogorszył pan sytuację, napadając na mnie i... - Znów urwała. Może przypominanie mu o tym nie było zbyt rozsądne. Na chwilę zapanowało milczenie.

- To prawda, proszę o wybaczenie. - Pomyślała, że znów wyczuwa rozbawienie w jego głosie. - Sądzę, że był to naturalny odruch, niemniej przepraszam za to, że panią zirytowałem.

Lavender nie miała zamiaru przyznawać, że była raczej poruszona niż zirytowana. Jego bliskość i dotyk pobudziły jej zmysły i wciąż jeszcze lekko drżała, oszłamiona tą dziwną reakcją własnego ciała.

Doszli do przerwy w murze, skąd przez pola prowadziła ścieżka do ogrodów Hewly Manor. Lavender przystanęła i odwróciła się do swego towarzysza.

- Byłoby lepiej, gdyby nie szedł pan dalej, panie Hammond. Jeśli ktoś pana tu zobaczy, domyśli się, że nie mówię całej prawdy. - Wzięła od niego worek. - Proszę zapewnić siostrę, że zatroszczę się o jej kotki. A teraz życzę panu dobrej nocy.

Barney cofnął się nieco i lekko ukłonił, tak wytwor-

nie, jakby był jednym z tych dżentelmenów z towarzystwa, których miała okazję poznać w Londynie. Po chwili nieco zepsuł ten efekt, posyłając jej szeroki uśmiech. Zęby zabłysły mu śnieżną bielą w świetle księżycy.

- W takim razie dobranoc, panno Brabant. I dziękuję.

Już dawno znikł w ciemnościach, kiedy Lavender odwróciła się i pośpiesznie ruszyła na przełaj ku domowi. Uświadomiła sobie, że ma ochotę się odwrócić i patrzeć za nim, który to impuls zarówno ją zaskoczył, jak i zirytował. Mocno przycisnęła kotki i pchnęła furtkę prowadzącą do ogrodu, z trudem powstrzymując się od spojrzenia za siebie. Nie ulegało wątpliwości, że Barney Hammond nią wstrząsnął. Naprawdę nią wstrząsnął.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, Lavender, jakim sposobem udało ci się nas nakłonić, żebyśmy zaakceptowali te dwie odrażające przybłędy - powiedział burki iwie Lewis Brabant, odczepiając jedno z kociań od nogawki spodni. Siedzieli właśnie przy śniadaniu. Małeńkie stworzenie przypominające kłębek rudego futra nie zamierzało dać za wygraną. Lewis odłożył gazetę i wziął je na ręce z delikatnością przeczącą jego słowom. Kociak natychmiast zaczął mrużyć i Lewis wykrzywił się pocieszenie.

- Widzisz, jak cię lubi - zauważyła Caroline z uśmiechem. Karmiła drugiego kotka, który siedział jej na kolanach i jadł za dwóch. - Biedactwa! Wygląda na to, że o mało nie padły z głodu!

Z ust Lewisa wyrwało się prychnięcie wskazujące na dezaprobata.

- Cóż, lepiej, żeby jak najszybciej zaczęły zarabiać na swoje utrzymanie! Kuchnia będzie dla nich znacznie właściwszym miejscem niż salon!

- Tak, mój drogi - powiedziała Caroline pojednawczo, posyłając mu zwycięski uśmiech. - Będzie im z pewnością ciepło i nie zgłodnieją, jeśli zatrzymamy je w domu! - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Nawet nie próbuj mnie zwieść. Wiem, że uważasz je za uroczne.

Lewis mruknął coś wymijająco i wstał od stołu śniadaniowego. Pochylił się i ucałował żonę w czoło.

- Będę w gabinecie, gdybyś mnie potrzebowała. A jeśli znajdę tam jakieś myszy, będę wiedział, co robić.

Caroline z uśmiechem patrzyła za mężem wychodzącym z pokoju. Kiedy zamknął drzwi za sobą, odwróciła się do szwagierki.

- Naprawdę uważam, że twoi nowi podopieczni odnieśli sukces, Lavender! Lewis jest nimi wprost zachwycony!

Lavender wiedziała, że dezaprobata brata była częściej udawana, ale bardzo nalegał, żeby udzieliła jakiegoś przekonującego wyjaśnienia w kwestii uratowania kociaków. Powrót ze spaceru z dwoma kotami w worku sam w sobie był dość niezwykły, zwłaszcza że utrzymywała, iż po prostu je znalazła.

- Czy to nie dziwne - myślała głośno Caroline - że kociaki były w worku ze sklepu Hammonda? Zdaje się, że w takich workach przechowuje się bele materiału, czyż nie? Ciekawa jestem, czy im nie zginęły. Może po-

winniśmy spytać, bo jeśli tak, zapewne zechcą je zabrać.

Lavender poruszyła się nerwowo, rozlewając gorącą czekoladę na stół. Nie pomyślała o tym.

- Czy to był worek Hammonda? Nie zauważyłam - powiedziała tak obojętnie, jak była w stanie.

- Co mi przypomina - ciągnęła Caroline - ze obiektem - wybrać się dziś do Abbot Quincey i zrobić dla mnie zakupy. Trochę nici do haftu. Potrzebuję również paru wstążek. Sporządziłam listę. Na pewno nie sprawi ci to kłopotu?

Lavender westchnęła. To prawdziwy pech, że Caroline właśnie dzisiaj miała dla niej zlecenie. Tego ranka nie była w nastroju do spacerów, a już z pewnością nie chciała udawać się do Abbot Quincey, do sklepu bławatnego pana Hammonda. W ubiegłym miesiącu była tam zbyt wiele razy, toteż teraz najchętniej trzymałaby się z dala od Barneya Hammonda, co być może pozwoliłoby jej stłumić te wszystkie zagadkowe, niepokojące uczucia, które wy dobył na powierzchnię. Ostatniej nocy przewracała się z boku na bok przez dobrą godzinę, zanim wreszcie zasnęła, a jej myśli zaprzętały niemal bez reszty Barney Hammond.

Uświadomiła sobie, że Caroline obserwuje ją tymi swoimi bystrzymi orzechowymi oczami i że jeszcze nie odpowiedziała na jej pytanie.

- Nie sprawi mi to najmniejszego kłopotu, Caro - odparła pośpiesznie. Odsunęła na bok talerz z jajkami na szynce. Nagle przestała odczuwać głód.

- Muszę też przesłać wiadomość dla lady Perceval



- powiedziała Caroiine. - Zaraz, zaraz, gdzie zostawiłam pudełko z papeterią? W bibliotece? Ostatnio robię się tak okropnie zapominalska.

Lavender uśmiechnęła się.

- Nanny Pryor twierdzi, że u dam w odmiennym stanie to najzupełniej normalne!

Caroiine wyglądała na urażoną.

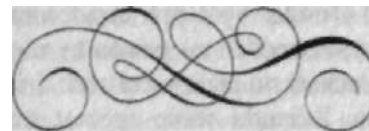
- Co za wierutne bzdury!

- W takim razie dlaczego nosisz naparstek do śniadania?

Caroiine spojrzała na palec i cmoknęła.

- Boże święty! Mogłabym przysiąc, że zostawiłam go w koszyku z przyborami do szycia! - Pochwyciwszy wzrok Lavender, uśmiechnęła się z przymusem. - No dobrze, udowodniłaś, że masz rację! Zaraz, zaraz, czego to ja szukałam?

- Papeterii. - Lavender zerwała się z miejsca. - Przyniosę ci ją, Caro. Nie chciałabym, żebyś zabłądziła w drodze do biblioteki.



ROZDZIAŁ DRUGI

Droga do Abbot Quincey należała do tych, które Lavender знаła na pamięć i zazwyczaj chadzała tamtędy z prawdziwą przyjemnością. Uwielbiała szum wiatru w koronach wysokich drzew, cienie chmur przesuwające się po polach i szczypanie rześkiego powietrza w po----ki. Dzięki tym spacerom mogła swobodnie oddawać się rozmyślaniom o malowaniu i ostatnich lekturach oraz o całym mnóstwie innych przyjemnych, a zarazem kształcących zajęć, które zazwyczaj zapełniały jej czas. Aż do teraz. Tego ranka - Lavender przystanęła, żeby mocniej zawiązać pod brodą wstążki czepka, bo wiatr co i raz szarpał za falbanki - była najwyraźniej podenerwowana. Doskonale zdawała sobie z tego sprawę. W głębi duszy przyznawała, że tak naprawdę jest nawet gorzej. W jej głowie zapanował nieopisany zamęt.

Jej matka, powszechnie szanowana Lavinia Brabant, utrzymywała, że prawdziwej damie nie godzi się próżnować ani nudzić. Bystry, wykształcony umysł zawsze potrafi znaleźć sobie jakieś zajęcie wypełniające samotne godziny. A jeśli to zawiedzie, należy po prostu przypomnieć sobie, że uprzywilejowaną pozycję w świecie dzięczamy wyłącznie zrządzeniu losu i postarać się

to docenić. Lavender była przeświadczona, że matka miała zupełną słuszość i na pewno by nie pochwaliła jej obecnej niechęci do jakiegokolwiek działania.

Westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że jej niepokój bierze się częściowo z rozważań dnia poprzedniego, kiedy to pogrążyła się w rozmyślaniach o swojej pozycji w Hewly i snuła plany na przyszłość. Była podenerwowana i czuła się niespełniona. Czegoś jej brakowało.

Najpierw udała się do kościoła i złożyła świeże kwiaty z ogrodów Hewly na grobie ojca, admirała Brabanta. Przy grobie, w odległym zakątku cmentarza pod rozłożystym dębem, było spokojnie i na swój sposób pogodnie. Lavender przysiadła na drewnianej ławeczce nieopodal i oparła podbródek na dłoni. Po trosze liczyła na to, że ojciec pomoże jej ułożyć myśli w jakim takim porządku. Przez całe życie był niezwykle systematyczny i obowiązkowy.

Wtem doznała olśnienia. Przecież zostawił jej w testamentie pokaźną kwotę w gotówce, na tyle dużą, żeby pozwoliła jej opuścić Hewly Manor, gdyby było to jej życzeniem, i samodzielnie wynająć czy kupić przyzwoity dom daleko stąd. Mogła zatrudnić damę do towarzystwa - prawdę mówiąc, stać ją było na zatrudnienie kilku dam - a gdyby udało jej się znaleźć kogoś tak miłego jak Caroline, uznałaby się za szczęściarę. W tej sprawie mogła zapewne liczyć na pomoc lady Perceval, jako że owa matrona miała rozległe koneksje i była doskonale zorientowana we wszystkim, co się działo w bliższej i dalszej okolicy. Na pewno słyszała o odpo-

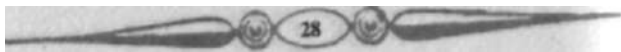
wiednich paniach szukających posady. Ten pomysł miał pewne zalety, aczkolwiek nie był pozbawiony wad. Lavender przyznawała w duchu, że dobrze jej się mieszka w Hewly, lubiła okoliczne wioski, no a poza tym nikt nie próbował jej stąd przepędzić. Lewis i Caroline bez wątpienia poczuliby się dotknięci, gdyby podejrzewali, co jej chodzi po głowie. Znow westchnęła. Zdaje się, że te rozważania zawiodły ją donikąd.

Popatrzyła na schludny wzgórek tworzący grób ojca. Mogła sobie z łatwością wyobrazić, jak się do niej zwraca, dumnie wypinając pierś, tak samo jak zwykły mawiać do swych marynarzy. „Działanie, a nie bierność, oto recepta na każdy kryzys. Daj spokój temu niemądremu bujaniu w obłokach, moje dziecko, i bierz się do dzieła!”

Lavender uśmiechnęła się blado, wstała z ławki i wzięła koszyk.

Zawsze mogła wyjść za męża. Wpadła na ten pomysł, kiedy z powrotem szła ścieżką wokół kościoła i usłyszała, jak zegar na wieży wybija godzinę. Od dawna przywykła myśleć o sobie jako o starej pannie, ale Caroline wychodząc za męża, miała prawie dwadzieścia dziewięć lat, czyli była dobre pięć lat starsza od niej. Może jest jeszcze jakaś szansa - choć raczej nie powinna liczyć na to, że znajdzie męża równie dobrego, jak jej brat.

Lavender dla zabicia czasu rozważała nowy projekt, idąc do miasteczka. Jej mąż musiałby być inteligentnym człowiekiem, takim, który byłby w stanie docenić w kształconą żonę i lubił prowadzić z nią rozmowy nu po

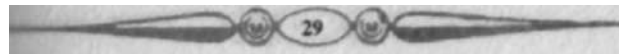


ważne tematy. Nie odwodziłby jej od rysowania i pisan-
nia i miałyby wiele własnych zainteresowań. Żadną miarą
nie mógłby być typem mężczyzny, który chce mieć
w domu ładną, głupiutką laleczkę. Doskonale zdawała
sobie sprawę, że jej uroda nie wykracza ponad przecięt-
ność. Musiałby dysponować znacznymi dochodami, lu-
bić życie na wsi i stronić od miejskich rozrywek, któ-
rych tak nie znosiła, będąc w Londynie.

Zaczęła się śmiać z własnej głupoty, lecz natrętne
myśli nie dawały jej spokoju. Jeśli idzie o wiek, cóż.
była gotowa zgodzić się na starszego mężczyznę, bo za-
pewne miałby więcej rozsądku niż jakiś młodzik, a co
się tyczy wyglądu... W tym momencie przed jej oczami
z zadziwiającą wyrazistością pojawiła się twarz Bar-
neya Hammonda.

Dobry nastrój Lavender znikł bez śladu. Energicznie
pokręciła głową, chcąc odpędzić tę wizję. Za późno.
Była zła, rozdrażniona i miała szczerą ochotę powie-
dzieć Caroline, żeby w przyszłości sama załatwiała
swoje sprawy. Z nachmurzoną miną skierowała się ku
główniej ulicy Abbot Quincey i niebawem znalazła się
przed sklepem bławatnym.

Sklep Arthura Hammonda w Abbot Quincey nie był
tak imponujący, jak jego magazyn w Northampton, ale
w zupełności zaspokajał potrzeby mieszkańców małego
miasteczka. Teraz, u progu jesieni, pan Hammond udra-
pował przy drzwiach solidny, zimowy barchan i praż-
kowany kaszmir, a wielkie beły obydwu materiałów le-
/ilv nu półkach w głębi sklepu. Za ladą stał sam Arthur
Hammond. Właśnie nakłaniał żonę miejscowego leka-



rza do pomacania nankinu rozłożonego na kontuarze,
żeby sama się przekonała o jego doskonałej jakości. Był
postawnym mężczyzną, czerstwym i tryskającym hu-
morem. Jak zwykle, miał na sobie elegancki surdut szy-
ty na miarę i staromodne bryczesy do kolan oraz kami-
zelkę, napinającą się na jego wydatnym brzuchu. Za-
wsze ubierał się jak dżentelmen.

Naturalnie wszystkie nasze materiały pochodzą
z Londynu - usłyszała, jak mówi tym swoim przymil-
nym głosem, którego tak nie znosiła - i zapewniam, że
nigdzie nie znajdzie pani towaru lepszej jakości, łaska-
wa pani.

Na widok Lavender przerwał w pół zdania i pospie-
szył się z nią przywitać, co zirytowało ją nawet bardziej.

Kątem oka spostrzegła, że Barney wynurza się dyskret-
nie z zaplecza, gotów naprawić nietakt ojca i zachęcić
panią Pettifer do kupna materiału. Poczuła się niezręcz-
nie. Nie podobało się jej, że Hammond robi afront żonie
doktora tylko dlatego, że ona sama mieszka w Hewly
Manor, a on nie może się powstrzymać od nadskakiwa-
nia szlachetnie urodzonym klientom. Poza tym ona ku-
powała tylko wstążki i nici.

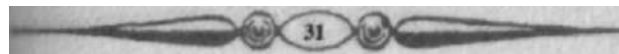
Prawie skończyła zakupy, kiedy Barney ponownie
wyszedł z zaplecza, tym razem dźwigając stół na ko-
złach, najwyraźniej przeznaczony na wyeksponowanie
jakichś nowych towarów. Mijając Lavender, skłonił się
lekką, ale nie odezwał się do niej ani słowem. Zdawała
sobie sprawę, że Barney pracuje i nie ma czasu na próż-
ne pogawędki, niemniej jednak poczuła się nieco zlek-
ceważona i zezłościła się na siebie, że przywiązuje do



tego wagę. Zabrała swoją paczkę, podziękowała panu Hammondowi za pomoc i ruszyła ku drzwiom.

Otwarli się, zanim do nich dotarła. Do sklepu weszły dwie dziewczyny, w których Lavender rozpoznała córki farmera z okolic Abbot Giles. Obydwie miały ciemne kręcone włosy i szczere, roześmiane twarze. Chichotały od progu i zaraz po wejściu skierowały się do stołu, na którym Barney rozkładał właśnie zimowe nakrycia głowy umieszczone na specjalnych stojakach na kapelusze. Lavender zatrzymała się, ciekawa, co będzie dalej. Nieoczekiwanie przyszło jej do głowy, że widok mężczyzny kalibru Barneya zajmującego się damskimi czepkami jest absurdalny. A zaraz potem doszła do wniosku, że bardzo jej się nie podobają rozchichotane, wdzięczące się dziewczęta, które robiły miny, zerkały zalotnie na Barneya spod rzęs i zadawały mu pytania przerywane perlistym śmiechem.

Kiedy tak stała w przejściu, do akcji przystąpił starszy pan Hammond, najwidoczniej niezbyt ubawiony całą sceną. Złajał Barneya, nie omieszkał mu wytknąć braku wprawy w eksponowaniu towarów, zastraszył dziewczęta jednym surowym spojrzeniem i zabrał się do przedstawiania czepków, miotając się od jednego do drugiego jak ptak czyszczący sobie piórka. Wyglądało na to, że podczas gdy syn i spadkobierca nie zdradzał inklinacji do zajmowania się tekstyliami, ojciec najwyraźniej był w swoim żywiole. Lavender wyszła na ulicę, po raz pierwszy zadając sobie w duchu pytanie, czy pan Hammond nie czuje się rozczarowany faktem, że jego najstarszy syn nie odziedziczył po nim



żyłki do handlu. Dla nikogo nie było tajemnicą, że

Hammond odnosi sukcesy w interesach, bo nie licząc magazynu w Northampton, był właścicielem całej sieci sklepów w okolicznych wioskach i wszystko wskazywało na to, że firma jest celem jego życia. Za to Barney nieodmiennie sprawiał wrażenie, że o wiele bardziej odpowiadałoby mu inne zajęcie.

Ruszyła z powrotem główną ulicą, mijając po drodze piekarnię i gospodę „Pod Aniołem”. Był piękny, słoneczny dzień i Lavender właśnie postanowiła, że po południu weźmie szkicownik i trochę porysuje na łonie natury, kiedy usłyszała za sobą kroki, a czyjś urywany głos zawołał:

- Panno Brabant!

Odwróciwszy się, zobaczyła EUn Hammond. Dziewczynka biegła środkiem drogi, chwytając powietrze, z twarzą zarumienioną z wysiłku. Córka Hammonda, mniej więcej piętnastoletnia, miała ciemne włosy i śniadą cerę tak samo jak Barney, który zawdzięczał tym cechom

swój tajemniczy wygląd. Lavender pomyślała, że EUn prawdopodobnie wyrośnie na prawdziwą piękność, ale nic w zachowaniu dziewczynki nie wskazywało na to, że jest tego świadoma. Uśmiechała się do niej z niekłamana sympatią.

- Och, panno Brabant, przepraszam, że panią zatrzymuję! Barney - mój brat - powiedział mi, że to pani dała kotkom dach nad głową, toteż chciałam pani za to podziękować!

Lavender odpowiedziała jej uśmiechem.

- Cieszę się, że mogłam się na coś przydać, panno

Hammond. Kotki są wprost zachwycające, nieprawdaz? Musi pani przyjść któregoś dnia do Hewly zobaczyć, jak urosły.

Twarz Ellen pokryła się rumieńcem.

- Och! Naprawdę mogę? Pani jest taka miła, panno Brabant! - Wtem posmutniała. - Ojciec chciał je potopić, wie pani! To najokrutniejsza rzecz, o jakiej słyszałam! Barney był taki dobry i powiedział, że je uratuje, ale ja miałam o tym nie mówić.

- Dość już, Ellen! Na pewno panna Brabant ma do załatwienia wiele innych spraw w miasteczku.

Żadna z nich nie zauważyła wcześniej Barneya Hammonda, który wynurzył się zza rogu gospody „Pod Aniołem”. Trzymał ręce w kieszeniach i wyglądał na odprężonego, lecz jego ciemne oczy patrzyły czujnie. Ellen zarumieniła się, wyczuwając naganę w jego głosie, i pospiesznie dygnęła.

- Proszę o wybaczenie, panno Brabant - bąknęła. - Nie chciałam zabierać pani czasu.

Barney skłonił się lekko Lavender i wziął siostrę pod ramię. Razem ruszyli w górę ulicy. Lavender odprowadziła wzrokiem oddalające się rodzeństwo, z zaskoczeniem uprzytamniając sobie, że jest bardzo zła. Nie była pewna, czy przyczyniło się do tego aroganckie zachowanie Barneya Hammonda, który bez pardonu przerwał im rozmowę, czy sugestia, że Ellen nie powinna absorbować jej uwagi swoją osobą. Tak czy inaczej, nie zamierzała puścić mu tego płazem.

- Panie Hammond!

Barney i Ellen zdążyli się oddalić zaledwie o kilka kro-

ków toteż oboje stanęli jak wryci, słysząc ten władczy ton Lavender, której zależało na tym, żeby nie sprawiać wrażenia osoby wynoszącej się nad innych, dodała grzecznie:

- Panie Hammond, chciałabym z panem porozmawiać, jeśli łaska.

Widziała, że Barney się zawahał. Po chwili pochylił się i powiedział coś cicho do Ellen. Kiedy dziewczynka pobiegła sama w górę ulicy, odwrócił się i podszedł bliżej. Jego twarz nie wyrażała niczego poza kurtuazyjną ciekawością, ale Lavender nie mogła się nie zastanawiać, co też się kryje za tą nieprzeniknioną maską.

- Słucham, panno Brabant?

Lavender poczuła się nieswojo. Odchrząknęła i wbiła w niego spojrzenie pełne surowości.

- Panie Hammond, nie powinien pan czynić siostrze wyrzutów. Nie było takiej potrzeby. Nie zrobiła nic złego. To bardzo miła dziewczynka.

Barney, ani na jotę nie zmieniając uprzejmego wyrazu twarzy, spojrzął jej prosto w oczy.

- Panno Brabant, pewien jestem, że ma pani jak najlepsze intencje, ale proszę, niech pani nie ośmiela Ellen. Pani życzliwe zainteresowanie wystarczyłoby, by zawrócić jej w głowie, a to tylko mogłoby doprowadzić do tego, że będzie pragnąć więcej, niż może otrzymać.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Ich spojrzenia spotkały się i Lavender uznała, że jemu nie chodzi o Ellen. Zmrużyła oczy i zmarszczyła czoło, usiłując wymyślić stosowną ripostę, zanim jednak zdołała się odezwać, Barney skłonił się pospiesznie i odszedł.

Serce Lavender waliło jak młotem. Odprowadzając wzrokiem wysoką sylwetkę mężczyzny, widziała, jak dogonił siostrę, zamienił z nią kilka słów, po czym wziął dziewczynkę za rękę i obydwójce poszli dalej, cały czas wymachując połączonymi dłońmi. Lavender miała łzy w oczach. Jak widać, nie musiała się martwić, że El len poczuje się urażona wymówką Barneya. Ta oznaka łączącej ich mocnej, rodzinnej więzi całkowicie temu przeczyła. To jej serce ścisnęło się z żalu. Nie było najmniejszych wątpliwości, że dostała ostrzeżenie, również przed okazywaniem niestosownej życzliwości. Jednak głos wewnętrzny kazał jej wierzyć, że chodzi o coś więcej.

Lavender płoneła ze wstydu na myśl, że Barney mógł kierować swoje słowa bezpośrednio do niej. Może uznał, że ona ma do niego słabość, i w ten sposób próbował dać jej do zrozumienia, że jej uczucia są wysoce niestosowne. Co prawda, już od dawna wyobrażała sobie, że jego zachowanie wobec niej odznacza się szczególnie serdecznością, i nawet jej się to spodobało.

A ostatniej nocy, kiedy spotkali się w lesie... Na wspomnienie tego, w jaki sposób zareagowała na ciepło jego dotyku i bliskość jego ciała, ogarnęła ją fala zażenowania. Zanim doszła do końca ulicy, gotowała się z wściekłości. To prawda, lubiła i podziwiała Barneya Hammonda, przyznała niechętnie w duchu, ale koniec z tym. Wątpiła, czy się do niego kiedykolwiek odezwie.

Lavender dawno temu przekonała się, że na uspokojenie skołatanego umysłu nie ma jak rysowanie. Pod-

czas ostatniej choroby ojca znajdowała w tym zajęciu wielką pociechę, a nawet, aczkolwiek z wahaniem, zabrała się do pracy nad ilustrowanym katalogiem flory obszarów leśnych opactwa Steepwood. Jej szkice były wręcz drobiazgowo dokładne, toteż wierzyła, że jej praca ma pewną wartość, choć nie ośmielała się liczyć na to, że będzie wystarczająco dobra do publikacji. Teraz jednak szukała w niej przede wszystkim pociechy, więc po lunchu wzięła szkicownik oraz kolorowe ołówki i wyruszyła do lasu.

Dzień był piękny. Promienie słoneczne przeciskały się pomiędzy konarami, tworząc cętkowane wzory pod drzewami, a liściasty baldachim rozbrzmiewał głosami przeróżnych ptaków, głośnym śmiechem zielonego dzięcioła i skrzeczeniem sójki. Liście zaczynały już opadać i szeleściły pod stopami. Spod tego brązowego poszycia tu i ówdzie wychylały się kapelusze grzybów. Rozłożyła koc nieopodal rzeki i naszkicowała kilka najbarwniejszych: lakówkę ametystową o żywym fioletowobłękitnym kapeluszu i pierścieniaka grynszpanowego, który przycupnął na porośniętej trawie polance.

Z czasem świeże powietrze i spokój odniosły upragniony skutek. Lavender poczuła się zdecydowanie lepiej. Narysowała jeszcze kępę wyki leśnej, której łodygi owinęły się wokół pnia drzewa rosnącego w pobliżu. Przyklekła, aby przenieść na papier detale: kwiaty o fioletowych żyłkach i grube strąki wypełnione czarnymi nasionami i dopiero, kiedy wstała z kłęczek, zobaczyła, że spódnicę ma wybrudzoną ziemią i całą w zielone

plamy od trawy. Słońce chyliło się ku zachodowi, co oznaczało, że przebywała w lesie od kilku godzin.

Przyjrzała się uważnie rysunkowi. Był naprawdę dobry. Proporcje zostały zachowane, a szczegóły oddane dokładnie, toteż z przyjemnością dołączyła go do swojej teczki. Może nawet pokaże Caroline, co zdziałała, jako że bratowa wykazywała żywe zainteresowanie botaniką.

Lavender spakowała torbę, otrzepała spódnicę i mocniej zawiązała pod brodą wstążki czepka. Włosy zdążyły się uwolnić z przytrzymujących je szpilek i wysunęły się spod falbanek - długie, jedwabiste blond pasy swobodnie powiewały na wietrze. Kuzynka Julia często jej powtarzała, że nie jest ładna, i Lavender w końcu uwierzyła, że to prawda, toteż nie przywiązywała zbytnej wagi do swego wyglądu, ale właśnie ostatnio przyszło jej do głowy, że jej fiołkowe oczy mogą uchodzić za ładne, a i figura jest całkiem, całkiem. Dziwnym zbiegiem okoliczności jej myśli zawędrowały od jej własnego wyglądu do wyglądu Barneya Hammonda, Uświadomiwszy to sobie, zaczęła pospiesznie szukać obiektu do kolejnego rysunku do swego katalogu.

Szła przed siebie, analizując zalety wilczomlecza groszkowego i perłówki wyniosłej - żadna z tych roślin nie olśniewała barwami, ale obydwie były ważne z punktu widzenia botaniki - kiedy do jej uszu doszedł bardzo dziwny dźwięk, toteż przystanęła, chcąc się w niego wsłuchać. Nie był to na pewno żaden z odgłosów lasu - w każdym razie nie wydawał jej się bardzo

znajomy i z pewnością nie należał do takich, które słyszało się często w Steepwood. Był to, niedający się z niczym pomylić, charakterystyczny odgłos uderzenia metalu o metal.

Lavender skierowała się w stronę, z której dobiegał ów dźwięk, i powolutku zaczęła się skradać wąską ścieżką, niemal całkowicie zarośniętą krzewami i napierającymi zewsząd drzewami. Szła tędy po raz pierwszy, wiedziała jednak, że zmierza w kierunku wielkiej polany Steepwood i nie musiała się obawiać, że zabłądzi. Bardziej lękała się tego, że ktoś może ją zobaczyć. Ciekawość jednak wzięła górę, starała się tylko iść cicho i ostrożnie. Po mniej więcej stu jardach las się przeredził i jej oczom ukazała się połać zielonej murawy, idealna na pojedynek. Walka rozgrywała się właśnie tutaj. Lavender podeszła tak blisko, na ile się odważyła, cały czas pozostając pod osłoną drzew. Wreszcie skryła się za grubym pniem i wyjrzała zza niego ostrożnie.

Niewiele widziała pojedynków na florety w swoim życiu, jako że nie było to zajęcie, które szlachetnie urodzone niewiasty znały z doświadczenia. Przed laty Lewisowi i Andrew zdarzało się staczać walki na niby na dziedzińcu Hewly Manor, ale Andrew był za leniwy, by traktować je poważnie, toteż Lewis bardzo szybko wygrywał. Lavender natychmiast się zorientowała, że ten pojedynek do takich nie należy. Zdawała sobie sprawę, że obydwaj mężczyźni oddają się swemu zajęciu raczej dla przyjemności niż na serio, bo zauważyła skórzane gałki na ostrzach floretów, niemniej rzucało się w oczach

że traktują bardzo serio to, co robią. Byli doświadczonymi szermierzami i walczyli zawzięcie i z determinacją, bez taryfy ulgowej.

Lavender wychyliła się nieco bardziej. Jednego z mężczyzn widziała po raz pierwszy w życiu. Jasno włosy olbrzym ruszał się wolniej od przeciwnika, za to górował nad nim siłą i zasięgiem. Drugi był zaledwie parę cali niższy, ciemnowłosy, gibki, masywny. Lavender pisnęła cicho i przycisnęła dłoń do ust. Nie mogło być mowy o pomyłce - to był Barney Hammond.

Na szczęście odgłosy pojedynku zagłuszyły mimowolny okrzyk Lavender, bo odkrycie jej obecności było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła. Stała bez ruchu, wsparta obydwoma rękami o pień i z zapartym tchem śledziła scenę, która rozgrywała się przed jej oczami. W tym momencie przypomniała sobie, jak tego właśnie ranka Barney układał czepek w sklepie. To było absurdalne. Tamten mężczyzna nie mógł być tym samym co ten - kiedy jednak w trakcie walki odwrócił się tak, że mogła znów zobaczyć jego twarz, Lavender przekonała się, że nie ma mowy o pomyłce. Zapominając o tym, że powinna się kryć, po prostu stała i patrzyła.

Poruszał się z szybkością i siłą, które oczarowały Lavender bez reszty. W jego pewności siebie i w umiejętnościach było coś zniewalającego. Spojrzeniem pełnym podziwu obrzuciła jego koszulę poznaczoną plamami potu, przylegającą do masywnych ramion i pleców i jak zahipnotyzowana prześliznęła się niżej, do dopasowanych spodni z kożłęczą skórą i bosych stóp. Rozpięta pod szyją koszula odsłaniała mocną, opaloną szy-

Ję a promienie słońca odbijały się w brązowych pasach włosów i sprawiały, że skóra wydawała się wręcz czekoladowa. Kiedy wreszcie udało mu się rozbroić przeciwnika ruchem, w wyniku którego floret tamtego poszybował wysoko w powietrze, odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

- Wspaniały pojedynek! Potrafisz to robić lepiej, James, gotów jestem się o to założyć!

Lavender patrzyła, jak jasnowłosy mężczyzna wyplątuje floret z krzaków i rzuca się na wznak na trawę. Śmiał się również.

- Przeklinam dzień, w którym po raz pierwszy skrzyżowałem z tobą broń, Barney! Chemie wyzwałbym cię na kolejną rundę w ramach rewanżu, ale obiecałem, że będę na przyjęciu w Jaffrey House, a nie zamierzam ryzykować spóźnienia! - Usiadł w trawie, wciąż szeroko uśmiechnięty i zaczął naciągać drugie buty. - Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście, że nie musisz uczestniczyć w takich imprezach, stary druhu!

Gdyby nie piękne niebieskie oczy niejakiej panny Sheldon. wątpię, czy zdołałbym to wytrzymać! - Westchnął.

- Lecz ona jest najcudowniejszą istotą.

- Daruj sobie. - Lavender spostrzegła, że Barney się śmieje. - Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, mówiłeś o niejakiej pannie Georgianie Cutler, która podobno bardzo przypadła ci do gustu!

- Wiem! - Jasnowłosy mężczyzna podniósł się z ziemi i pokręcił głową. - Nie jestem wzorem wierności! Ale lady Georgiana nie dorasta pannie Sheldon do pięt

- Rozwódź swoje żale gdzie indziej - doradził mu

Barney, podnosząc z trawy floret. - Ja muszę wracać do sklepu, a potem czeka mnie ślęczenie nad książkami, podczas gdy ty będziesz hulał, ile dusza zapragnie!

- Życie jest diabelnie niesprawiedliwe! - Drugi mężczyzna uśmiechnął się szeroko i poklepał swego towarzysza po plecach. - Ty musisz brać się do nauki, a ja do polowania na posag! Cóż, zobaczymy się niebawem w Northampton, bez wątpienia!

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie i mężczyzna odszedł w kierunku Jaffrey House, z obydwoma floretami pod pachą. Lavender stała bez ruchu, wpatrzona w Barneya, który tymczasem naciągnął buty i ruszył powoli przez murawę w kierunku drzew rosnących nieopodal. Miał spuszczoną głowę i ciemne włosy opadły mu na czoło. Odgarnął je machinalnie. Usłyszała, jak pogwizduje pod nosem skoczną melodyjkę.

Zamarła, gdy przechodził blisko jej kryjówki. Ze wszystkich dziwnych rzeczy, które miała okazję widzieć w Steepwood, ta z pewnością zaliczała się do najdziwniejszych. Już to, że Barney Hammond jest tak znakomitym szermierzem, było nadzwyczajne, bo nie mieściło jej się w głowie, że w programie zajęć, które miał jako dziecko, była szermierka. A jeszcze ta jego przyjaźń z arystokratą, który z tego co zdołała usłyszeć, zatrzymał się w Jaffrey House, rezydencji lorda Yardleya. Lavender słyszała, że lord ma gości, i gdyby państwo Brabantowie nie byli w żałobie, z pewnością również zaproszono by ich do towarzystwa. Zmarszczyła brwi. Bardzo dziwne. A może po prostu była snobką - znowu - skoro spodziewała się, że Barney dopasuje się

do jej oczekiwań. Naprawdę był niezwykle tajemniczym mężczyzną.

Wyciągając szyję, by spojrzeć na niego po raz ostatni, zanim zniknie za drzewami, dała krok do przodu. Tuż przy jej lewej kostce rozległ się trzask, coś szarpnęło ją mocno za spódnicę i upadła w trawę jak długa.

Baldachim z liści zawirował jej nad głową, czepek zsunął się i potoczył na polanę, a ona leżała bezwładnie z halkami zaplątanymi wokół kolan i czuła ostry ból z lewej nodze. Usiadła, cokolwiek niepewnie i pochyliła się do przodu, chcąc oszacować szkody.

Na spódnicy zatrzasnęła się jej zardzewiała żelazna pułapka, a ostre zęby szczyrzyły się do niej w pasudnej parodii uśmiechu. Lavender zrobiło się słabo, kiedy dotarło do niej, że o mały włos jej nie nadepnęła. Jeszcze parę cali i jej noga znalazłaby się między tymi metalowymi szczękami, które bez wątpienia pogruchołałyby jej kości. Zdarzało jej się widywać pułapki, samopały i potrzaski służące do łamania nóg ofiary, takie jak ten, zastawiony na kłusowników, ale nic miała pojęcia, że można natknąć się na coś takiego w lesie Steep. Nie wyobrażała sobie, kto mógłby zastawić taką pułapkę.

Najgorsze miało dopiero nadejść. Nigdzie nie zauważyła Barneya, ale wmawianie sobie, że nie usłyszała trzasku pułapki ani przeraźliwego krzyku ptaków, które wleciały na czubki drzew spłoszone tym nieoczekiwanym hałasem, nie miało zbyt dużego sensu. Lavender w popłochu próbowała wstać, jednak szybko była zmuszona usiąść na powrót, bo pod wpływem ciężaru pu-

łapki straciła równowagę. Nie mogła jej rozewrzeć, a na to by iść, wlokąc ją za sobą, była zbyt ciężka, aczkolwiek, gdyby było to możliwe, z pewnością rzuciłaby się do ucieczki, z pułapką czy bez. Usłyszała czyjeś zbliżające się kroki i zdała sobie sprawę, że muszą należeć do Barneya. Zamknęła oczy, straszliwie zażenowana.

Ktoś postawił stopę w trawie tuż przy niej, a po chwili rozległ się znajomy głos:

- Panna Brabant! Co, na litość boską...

Lavender otworzyła oczy. Wiatr targał gęstymi, ciemnymi włosami Barneya, który patrzył na nią z góry, jak się wydawało, z bardzo wysoka. Przez ramię miał przerzucony myśliwski surdut. Z tak bliskiej odległości wyraźnie widziała, że spodnie z koźlęcej skóry oblepiają mu uda, a wilgotna koszula wciąż przylega do umięśnionego torsu. Nagle zrobiło jej się gorąco, toteż znów zamknęła oczy.

Nie była pewna, co najbardziej ją krępuje w sytuacji, w której się właśnie znalazła. To, że została przyłapaną w tak mało szacownej pozycji przez tak atrakcyjnego mężczyznę, czy raczej fakt, że Barney się domyśli, iż go szpiegowała. Nie otwierała oczu, licząc bezsensownie na to, że on sobie pójdzie.

Nie uczynił tego. Lavender z ociąganiem uniosła powieki.

Pochwyciła jego spojrzenie wędrujące do ranki na jej nodze i obciągnęła spódnicę, najniżej jak się dało, ale on już zdążył dostrzec wiele mówiącą strużkę krwi. Zmarszczył brwi i ukląkł na jedno kolano w trawie tuż przy niej.

- Pani jest ranna! Czyżby się pani przewróciła i skaleczyła?

Pułapka była niemal całkowicie schowana pod spódnicą Lavender. Wskazała na nią dłonią.

- Jak pan widzi, miałam wypadek.

Spojrzenie Barneya przeniosło się z jej zarumienionej twarzy na zardzewiałą pułapkę. Przygryzł wargę. Lavender mogłaby przysiąc, że miał ochotę się rozeźmiać.

- O Boże. Rozumiem. Zapewne jest zbyt ciężka, aby zdołała pani pokuśtykać z nią do domu?

Twarz Lavender poczerwieniała jeszcze bardziej, tym razem z wściekłości.

- Pańska wesołość jest całkiem nie na miejscu, sir! Jakoś nic widzę nic zabawnego w tym, że ktoś krąży po lasach, zakładając pułapki, w dodatku na tyle mocne, by złamać komuś nogę! Jeśli nie ma pan do powiedzenia nic mądrzejszego, lepiej będzie, jeśli zostawi mnie pan w spokoju. Jakoś sobie poradzę, tak czy inaczej!

- Przepraszam. Zawsze może się pani pocieszyć myślą że nic sobie pani nie złamała. Aczkolwiek - jego wzrok na powrót powędrował ku kostce, którą Lavender próbowała ukryć pod spódnicą - zdawało mi się, że się pani zraniła.

- To nic takiego! - burknęła. Nie myślała, że jest rozpieszczona, niemniej była przekonana, że ma prawo trochę się nad sobą poużalać. To, że właśnie ten mężczyzna w tych okolicznościach nie miał dla niej ani odrobiny współczucia, doprowadziło ją do szału. Barney

wciąż przy niej klęczał i chciała, żeby sobie wreszcie poszedł.

- Moja siostra Ellen wpadła kiedyś w pułapkę zastawioną na człowieka w tutejszych lasach - zauważył od niechcienia. - Nie miała tyle szczęścia co pani, panno Brabant. Wpadła do dołu i jeden z kolców wbił jej się głęboko w ramię. Do dzisiejszego dnia ma w tym miejscu bliznę.

Lavender zamilkła. Nagle do oczu napłynęły jej łzy wywołane niedawnym szokiem i żalem nad sobą. Pociągnęła nosem i odwróciła głowę, żeby ich nie spostrzegł.

- Przykro mi - bąknęła, trochę sztywno - ale kto mógłby zrobić coś takiego?

- Markiz Sywell, tak mi się zdaje. - Barney zdążył już podnieść pułapkę i właśnie próbował rozwrzeć metalowe szczęki. Na próżno. - Zwykł czerpać wiele przyjemności z okaleczania i zabijania ludzi czy zwierząt, bez różnicy. To jedna z jego starych pułapek, jestem tego pewny. - Spojrzał na nią. - Przykro mi, ale nie dam rady jej otworzyć. Będzie pani musiała zdjąć spódnicę.

Powiedział to tak beznamiętnie, że sens jego słów nie dotarł do Lavender od razu. A kiedy tak się stało, z oburzenia zupełnie zapomniała o łzach. Spiorunowała go wzrokiem.

- Jak pan może proponować coś tak niedorzecznego, panie Hammond! Nie ma mowy!

Barney uśmiechnął się szeroko.

- Dajmy temu spokój, panno Brabant, nie pora na

udawanie skromnisi! Sądziłem, że ma pani więcej zdrowego rozsądku niż większość dam z pani środowiska, zdaje się jednak, że się myliłem! - Wstał. - Niech się pani nie przejmuję moimi uczuciami! Mam trzy siostry, toteż z pewnością nie uda się pani mnie zaszokować!

Lavender wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Nie pomyślała, że on zamierza się temu przyglądać.

- Ależ, panie Hammond, pan musi odejść!

- Panno Brabant - Barney uśmiechnął się do niej zagadkowo - jeśli mam pani pomóc, muszę zostać.

Lavender ponownie spróbowała stanąć na nogi, ale się zatoczyła, bo ciężar pułapki ciągnął ją ku ziemi. Barney natychmiast objął ją ramieniem. Czuła ciepło jego dłoni przez bawełniany materiał sukni.

- Proszę mi pozwolić sobie pomóc.

- Nie! - Lavender krzyknęła z przerażenia, gdy tylko poczuła ten dotyk. - Proszę stąd odejść! Doskonale poradzę sobie sama!

Uprzymiotniła sobie, że rzeczywiście zabrzało to tak, jakby była jedną z tych pustogłowych dziewcząt z towarzystwa, które miała w głębokiej pogardzie. Barney śmiał się z niej, widziała iskierki w tych jego ciemnych, głęboko osadzonych oczach.

- Jeśli panią puszczę, przewróci się pani. Proszę być rozsądną, panno Brabant Musi pani zdjąć spódnicę albo przynajmniej oderwać ten zaczepiony kawałek.

- Dziękuję panu - burknęła Lavender, zdając sobie sprawę ze swego kwaśnego tonu. - Zdążyłam dojść do tego samego wniosku! Jeśli stanie pan trochę dalej, panie Hammond, zrobię co trzeba!

Barney jeszcze raz się uśmiechnął i bardzo delikatnie ją puścił. Gdy tylko odzyskała równowagę, odkryła, że całkiem nieźle sobie radzi i nawet jest w stanie pokuśtykać pod osłonę pobliskiego dębu, ciągnąc pułapkę za sobą. Sprawdziwszy ukradkiem, czy Barney dotrzymuje słowa i stoi odwrócony do niej plecami, pospiesznie ściągnęła spódnicę trzęsącymi się rękami. Gdy tylko się od niej uwolniła, bez trudu oderwała kawał materiału, o który zaczepiła pułapka, i poprawiła to, co zostało ze spódnicy tak starannie, jak się dało. Skończywszy, uznała, że wygląda w miarę przyzwoicie, choć nieco dziwnie. Lewa strona spódnicy była troszkę krótsza, przez co ukazywała kilka cali halki i całkiem nieprzyzwoity kawałek kostki, ale przecież mogło być o wiele gorzej. Noga ją bolała i zesztyniała wskutek skaleczenia, lecz Lavender nabrała pewności, że da radę dokuśtykać do domu.

Barney znów coś pogwizdywał, zdaje się, że tę samą skoczną melodyjkę, którą słyszała wcześniej. Kiedy wyszła spod osłony drzew, odwrócił się, aby na nią popatrzeć, i Lavender się zarumieniła, gdy poczuła na sobie jego długie, badawcze spojrzenie.

- Zdoła pani dotrzeć do domu o własnych siłach, panno Brabant, czy może powinienem panią zanieść? - spytał. - Zauważyłem, że ma pani paskudną ranę na nodze.

- Poradzę sobie sama, dziękuję - zapewniła Lavender, której zrobiło się słabo na myśl, że Barney weźmie ją na ręce.

- Skoro pani odmawia, w takim razie poniosę przy-

najmniej pani torbę - zadeklarował Barney, pochylając się po torbę z rysunkami i ołówkami Lavender. - Nie chciałbym jeszcze bardziej obrażać pani wrażliwości.

- Nie musi mi pan towarzyszyć - upierała się Lavender, z najwyższym trudem panując nad sobą. - A jeśli zabraliśmy się do wyjaśniania nieporozumień między nami, panie Hammond, jestem zmuszona prosić, żeby nie traktował mnie pan tak protekcyjnie! Nie jestem jakimś dziewczątkiem o ptasim mózdzku, które jest gotowe zemdleć tylko dlatego, że przydarzył mu się drobny wypadek! Skoro już o tym mowa, pan zachowuje się zupełnie inaczej w sklepie pańskiego ojca niż tutaj, a mimo to ja nie wygłaszam żadnych niestosownych uwag!

Zapadła pełna napięcia cisza, którą przerywało tylko gruchanie leśnego gołębia. Po chwili Barney lekko skinął głową.

- Bardzo dobrze, panno Brabant. Przyjmę pani nagane... jeśli pozwoli mi pani odprowadzić się do domu.

Lavender niechętnie wzruszyła ramionami. Ruszyła przodem ku ścieżce, starając się nie utykać zbyt widocznie, i w zaciętym milczeniu zmagając się z krzakami jeżyn i kolcami dzikiej róży, które najwyraźniej zawzięły się, aby pozbawić ją resztek spódnicy. Zaczynała żałować, że słysząc odgłosy pojedynku, pozwoliła, by ciekawość wzięła górę.

W końcu dotarli do miejsca, w którym ścieżkę tarasowało przewrócone drzewo, toteż była zmuszona przyjmując pomoc Barneya. Od tej pory szedł obok niej. odsu-



wajac czubkiem buta zbłąkane gałęzie ze ścieżki i przytrzymując poplątane łodygi róż i powoju, kiedy tylko zachodziła obawa, że zaczepią o jej suknię. Lavender próbowała stłumić zdradzieckie uczucie ciepła, które ogarniało ją na ten widok, ale przecież nie mogła nie odczuwać wdzięczności. W końcu, po mniej więcej pięciu minutach, przerwał milczenie.

- Z pani uwagi o tym, że poza sklepem jestem kimś innym, wnioskuję, że widziała pani pojedynek. Czy tak, panno Brabant?

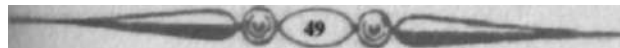
Lavender zerknęła ukradkiem na jego twarz i spłonęła rumieńcem.

- Przepraszam... to nie tak, że podglądałam, ale odgłosy pojedynku przyciągnęły moją uwagę, toteż zatrzymałam się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

- Rozumiem. - Po tonie Barneya można byłoby sądzić, że rozumiał stanowczo za dużo. - Z pewnością była pani zaskoczona?

- Cóż, ja... - Lavender w panice usiłowała wymyślić taki sposób wyrażenia swoich uczuć, żeby jej słowa nie zabrzmiały niegrzecznie. - Przypuszczam, że tak było w istocie. Nie spodziewałam się po panu czegoś takiego. - Urwała. - To znaczy, wyglądało na to, że jest pan znakomitym... - Znów przerwała speszona. Teraz wydało się, że przyglądała się im na tyle długo, by pokusić się o ocenę.

- Dziękuję pani. Bez wątpienia musiało się to pani wydać dziwne, tak się jednak składa, że fechtowałem się już jako wyrostek. James Oliver, mój partner sprzed paru minut, był również moim pierwszym przeciwni-



kiem. Poznałem go i paru jego arystokratycznych towarzyszy zabaw, kiedy miałem jedenaście lat, w tym oto lesie. - Posłał jej baczne spojrzenie. - Szydzili ze mnie, biednego wiejskiego chłopaka, i tak się zezłościłem, że wyzwiałem Jamesa na pojedynek. Niech pani sobie wyobrazi moje przerażenie, kiedy zaproponował, żebyśmy walczyli przy użyciu prawdziwej broni, jak dżentelmeni nie jak wieśniacy, jak się wyraził!

Lavender nie mogła się nie uśmiechnąć, słysząc jego kpiarski ton.

- I co się stało?

Zmarszczki śmiechu wokół oczu Barneya pogłębiły się.

- Cóż, mój styl walki bez wątpienia pozostawiał wiele do życzenia, krótko mówiąc był dość niekonwencjonalny, ale przy tej okazji odkryłem, że mam zdolności do szermierki. Z łatwością pokonałem Jamesa, a potem ani on, ani jego koledzy już się tak nie przechwalali! Tamtego dnia przysiągł, że pewnego dnia mnie pokona, ale do tej pory mu się nie udało!

- Wygląda na to, że pan Oliver jest pańskim dobrym przyjacielem, lepszym niż wówczas - zaryzykowała Lavender, bo jedną z rzeczy, które zwróciły jej uwagę, kiedy zobaczyła ich razem, było to, że wydawali się zaprzyjainieni.

arney wybuchnął śmiechem.

O, tak, z czasem nauczył się szacunku dla lepszych od siebie! Tak naprawdę James to poczciwy gość wielu lat zaliczam go do grona moich przyjaciół, zawałał się. - Niemniej jednak, panno Brabant. był-

bym zobowiązany, gdyby nie mówiła pani nikomu o tym, co pani tu widziała.

Lavender zatrzymała się, zbita z tropu.

- Oczywiście, skoro pan tak sobie życzy! Ale czy to przypadkiem nie jakiś przewrotny snobizm skłania pana do ukrywania faktu, że ma pan przyjaciół wśród arystokracji, panie Hammond?

Miała ochotę odgryźć sobie język zaraz po tym, jak wypowiedziała te słowa, bo zdawała sobie sprawę, że nie zna go na tyle dobrze, by zadawać mu tak osobiste, prowokacyjne pytania. Choć Lavender nie traciła czasu na ćwiczenie się w banałach i wykrętach powszechnych w towarzystwie, była przeświadczona, że pozostaje uprzejma, bez względu na okoliczności. Tym razem jednak niezwykle temat rozmowy skusił ją na tyle, że odważyła się spytać wprost. Zobaczyła, że Barney unosi brwi na jej szczerość, ale w żadnym razie nie robił wrażenia zaskoczonego i odpowiedział bez uników.

- Ależ nie. Prawdę mówiąc, mam inny powód, by nikomu nie mówić. Obawiam się, że gdyby dowiedział się o tym mój ojciec, nie omieszkałby się tym posłużyć dla swoich bezwstydných celów.

Lavender odwróciła głowę i ruszyła w dalszą drogę, nieco zbita z tropu. Dokładnie wiedziała, co chciał przez to powiedzieć. Arthur Hammond nie przepuszczał żadnej okazji do robienia interesów, toteż gdyby odkrył, że Barney ma tak wysoko postawionych przyjaciół, nie posiadałby się z radości. Bez wątplenia postarałby się wykorzystać ten fakt dla zwrócenia na siebie ich uwagi

i tym samym zniszczyłby więzi łączące z nimi jego syna.

- Czy to znaczy, że zachowywał pan to w sekrecie przez te wszystkie lata? - zadała kolejne pytanie, niezdołna powściągnąć ciekawości.

- O, tak, to tylko jeden z wielu sekretów! - odparł pogodnie Barney. Kiedy tak się jej przyglądał, w jego wzroku dostrzegła cień rozbawienia. - Ujmując rzecz najogólniej, panno Brabant, doszedłem do wniosku, że o pewnych sprawach lepiej nie mówić!

Lavender usiłowała dopasować to do tego, co, jak sądziła, wiedziała o nim do tej pory. To prawda, jej wiedza była oparta w przeważającej mierze na przypuszczeniach i domniemaniach na temat sklepu, jego ojca, jego życia. Tak samo jak on najwyraźniej widział w niej rozpieszczoną panienkę z towarzystwa, ona wyobrażała go sobie jako członka solidnej kupieckiej rodziny, który pewnego dnia miał przejąć prowadzenie interesów. Teraz, nagle okazało się, że żadne z jej wyobrażeń nie ma oparcia w rzeczywistości.

Doszli do przerwy w murze na skraju lasu i zatrzymali się na chwilę, wciąż w cieniu drzew. Osłepiające promienie słońca padały ukosem pomiędzy liśćmi. Lavender podniosła rękę, chcąc przysłonić oczy.

- Dziękuję, że niósł pan moją torbę. Jestem pewna, że dalej poradzę sobie sama.

- Proszę przynajmniej pozwolić sobie pomóc przejść przez ten przełom - powiedział cicho Barney. Zanim Lavender zdołała albo przyjąć jego propozy-

cję, albo odmówić, wziął ją na ręce i postawił na ziemi po drugiej stronie muru, zbitą z tropu i kipiącą oburzeniem. Przytrzymała się go, żeby odzyskać równowagę. Czuła pod palcami miękkiego materiału jego koszuli i jeszcze raz miała okazję się przekonać, jak silnie umięśniony jest Barney. Odskokczyła od niego jak oparzona.

- Doprawdy, sir!
- Panno Brabant! Chyba nie chciała pani ryzykować

kolejnego urazu?

Podał jej torbę z rysunkami.

- Pokaże mi pani któregoś dnia swoje rysunki? Jestem ich bardzo ciekaw.

Lavender popatrzyła na niego podejrzliwie, ale odniosła wrażenie, że mówił szczerze.

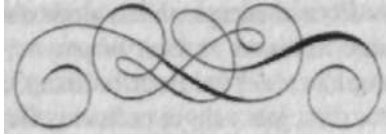
- Jeśli naprawdę chciałby pan je zobaczyć.

Barney błysnął zębami w uśmiechu.

- Dziękuję pani. Tutaj panią pożegnam, panno Brabant, jeśli jest pani pewna, że dalej zdoła pójść sama. proszę na siebie uważać, kiedy znów wybierze się pani do lasu. Nigdy nie wiadomo, co może człowieka tam spotkać.

Lavender poczuła, jak jej policzki znów pokrywają się rumieńcem. Patrzył na nią ze spokojem i w ułamku sekundy ogarnęło ją zażenowanie. Nie powiedział wprost, że tego popołudnia śledziła z ukrycia pojedynek, ale nagle jej nieczyste sumienie dało o sobie znać i nabrała pewności, że on wie - wie, że nie po raz pierwszy go obserwowała. Jakies dwa miesiące wcześniej wybrała się na przechadzkę po lesie w pobliżu rzeki. Widziała wówczas Barneya w stawie

wśród drzew. Pływał energicznie, a woda oblewała jego nagie, opalone ramiona i plecy. W pewnej chwili Lavender zapragnęła rozebrać się do bielizny, dołączyć do niego i... Poczuła, jak palą ją policzki. Odwróciła się i pobiegła w kierunku domu, nie zważając na podartą spódnicę, ból w nodze i zdumienie, które na pewno malowało się na twarzy Barneya, który obserwował jej p-----ną ucieczkę.



ROZDZIAŁ TRZECI

- Lavender, co najmniej od tygodnia obnosisz się ze skwaszoną miną! - zauważyła Carołine w rozmowie ziszwagierką dziesięć dni później. - Daję słowo, zasmucasz mnie, a byłam w doskonałym nastroju. Co się z tobą dzieje?

Lavender nawet nie podniosła głowy znad czytanej właśnie książki. Nie miała ochoty wystawiać się na dociekliwe pytania bratowej. Obie siedziały w salonie. Carołine haftowała, a Lavender bez entuzjazmu czytała *Rozważną i romantyczną*. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nic jej nie cieszy - i że ten ponury stan trwa od ostatniego nieszczęsnego spotkania z Barneyem Hammondem w lesie.

Zadrażnienie na nodze zagoiło się szybko, w odróżnieniu od jej zranionych uczuć. Miała przykrą świadomość, że zrobiła z siebie kompletną idiotkę. Już to, że dała się złapać w potrzask, było wystarczająco ośmieszające, a ucieczka w tak melodramatycznym stylu pogorszyła sytuację nieskończenie bardziej.

- Nic takiego się nie dzieje - odparła, nie siląc się na uprzejmość. - Przepraszam, jeśli mój ponury nastrój tak źle na ciebie działa. Przeniosę się do biblioteki.



Zrobiła taki ruch, jakby zamierzała wstać, ale Carołine wyciągnęła rękę, by ją zatrzymać.

- Nie obrażaj się! Tylko żartowałam. - Poklepała miejsce na sofie obok siebie i Lavender, chcąc nie chcąc, usiadła. - Tak naprawdę mam najlepsze nowiny pod słońcem! Na pewno słyszałaś, że Lewis musi na parę dni wyjechać do Northampton w interesach?

Lavender przytaknęła.

- Cóż, tak się doskonale złożyło, że właśnie dzisiaj rano dostałam list od lady Annę Covingham. Będą całą rodziną w Riding Park przez tydzień, licząc od piątku i zapraszają nas gorąco do siebie. To będzie właśnie to, czego nam potrzeba! Możemy zatrzymać się u nich, jeździć do Northampton i świetnie się bawić!

Lavender wierciła się niespokojnie na sofie.

- Nie jestem pewna - powiedziała wreszcie z wahaniem. - Nie mam teraz szczególnej ochoty na wizyty,

- Daję słowo, mówisz tak, jakbyś była wcieleniem nieśmiałości! Zdaję sobie sprawę, że nie bawiłaś się do-trze podczas debiutu w Londynie, ale w miłym towarzystwie z pewnością poczujesz się swobodnie, a państwo Covinghamowie nie są takimi snobami, żeby okazywać komuś niechęć. Coś o tym wiem, bo mnie zawsze traktowali przyjaźnie, nawet kiedy u nich pracowałam. Twarz jej posmutniała. - Naturalnie nie będę cie zmuszać do wyjazdu, jeśli nie masz ochoty. Skoro uważasz, że pobyt u nich nie sprawi ci przyjemności. w takim razie powinnaś zostać w domu.

Lavender pokręciła głową. Myśl o pozostaniu

w Hewly samej jednej wydała jej się stokroć gorsza niż perspektywa wyjazdu. Zirytowana na siebie, uśmiechnęła się do bratowej.

- Przepraszam, Caro. Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam. Zdaje się, że właśnie mam atak migreny! Zmiana scenerii na pewno dobrze mi zrobi.

- Doskonale! - Caroline uśmiechnęła się z ulgą. Zaraz napiszę do Anny. Zobaczysz, Lavender - z pewnością będziesz się świetnie bawić!

Pierwszy wieczór w Riding Park upłynął bardzo przyjemnie. Niewielkie towarzystwo składało się z nich samych, lady Annę Covingham i jej męża, lorda Freddiego oraz najmłodszej córki Covinghamów, Frances. która miała osiemnaście lat i była pełną życia brunetką. Lavender przypatrywała się jej nieufnie. Podczas pobytu w Londynie często spotykała dziewczęta takie jak Frances Covingham i aż nadto zdawała sobie sprawę, że nic jej z nimi nie łączy.

Lady Annę okazała się dokładnie taka, jak zapewniała Caroline. Drobna, ciemnowłosa i energiczna, promieniała niezwykłym ciepłem, toteż Lavender natychmiast poczuła się jak w domu. Lord Freddie był równie czarujący i wszyscy wydawali się nieprawdopodobnie uszczęśliwieni faktem, że znów mogą zobaczyć się z Caroline i mają okazję poznać jej nową rodzinę. Szczególne podekscytowanie na widok swojej dawnej nauczycielki okazała panna Covingham, która rzuciła się Caroline na szyję, nie kryjąc łez radości.

Zjedli kolację w gronie rodzinnym, bez ostentacyj-

nego popisywania się rodową porcelaną i srebrami, aczkolwiek lady Annę tłumaczyła się, że takie postępowanie nie jest przejawem braku szacunku dla gości, tylko po prostu uważają Caroline za członka rodziny. Wyjaśniła też, że za parę dni wydają uroczystą kolację i bal,

ale uznali, że będzie lepiej, jeśli do tego czasu w domu będą sami swoi. Dla podkreślenia swobodnej atmosfery dżentelmeni nie tkwili zbyt długo nad swoim portem, tylko szybko ponownie dołączyli do pań na herbatę serwowaną w salonie, gdzie panna Covingham wykonała kilka utworów Schuberta. Grała z dużym wdziękiem i znajomością rzeczy, toteż Lavender, która nigdy nie wykazywała szczególnych zdolności w tym kierunku, poczuła, że znów zaczyna upadać na duchu. Na szczęście nikomu nie przyszło do głowy poprosić ją o występ. bo po tym, co zademonstrowała Frances, jej gra z pewnością przywołałaby na myśl popisy słonią bawiącego się klawiszami.

Skończywszy, Frances podeszła do siedzenia w wykuszu okiennym i z uśmiechem zajęła miejsce obok Lavender. Ta odpowiedziała jej uśmiechem, jednakże nie zbyt pewnym.

- Doskonale pani gra, panno Covingham! Widać, że ma pani talent muzyczny!

Frances roześmiała się, a w jej dużych brązowych oczach rozbłysły iskierki.

- Prawdę mówiąc - zwierzyła się - całe uznanie za moją grę powinno przypaść w udziale pannie Whiston - to znaczy pani Brabant. Byłam okropną uczennicą chociaż od początku było wiadomo, że nigdy nic będę

wybitną pianistką, pani Brabant pracowała nade mną dotąd, aż przestałam przynosić wstyd! - Posłała przez pokój uśmiech swojej dawnej nauczycielce, pogrążonej teraz w rozmowie z lady Anną. - Och, tego dnia, kiedy panna Whiston od nas odeszła, było mi naprawdę smutno, bo wszystkie straciłyśmy najlepszą przyjaciółkę!

- Musiało jej pani bardzo brakować - zauważyła Lavender ostrożnie.

Frances obdarzyła ją olśniewającym uśmiechem.

- Och, i to jak! Widzi pani, moje obydwie siostry były już mężatkami, a ja czułam się taka samotna! Zawsze kłóciłyśmy się o to, która z nas zatrudni pannę Whiston, bo wszystkie byłyśmy do niej ogromnie przywiązane! Kiedy moja siostra Louisa wyszła za mąż, chciała, żeby panna Whiston zamieszkała z nią jako jej dama do towarzystwa, rozumie pani, ale Harriet i ja nie wyobrażałyśmy sobie, jak mogłybyśmy się bez niej obejść! A panna Whiston powiedziała, że lepiej będzie, jeśli Louisa i Cheverton spędzą trochę czasu sam na sam ze sobą. - Zmarszczyła brwi. - Louisa jest wybuchowa, wie pani, toteż ona i Cheverton bez przerwy się kłócili! Ale teraz żyją ze sobą we względnej zgodzie, no i mają dwoje rozkosznych dzieci, przypuszczam więc, że w końcu udało im się dojść do porozumienia.

- A pani druga siostra, panno Covingham - ma na imię Harriet, czy tak? Zdaje się, że ona również jest mężatką?

Małżeństwa siostr były najwidoczniej ulubionym tematem Frances, która powierzyła się przez chwilę i ulokowała wygodnie na wyściełanym siedzeniu w wyku-

szu, po czym bez oporów zaczęła się dzielić naprawdę interesującymi ploteczkami.

- O, tak, panno Brabant. Harriet wyszła za mąż za lorda Johna Farleya - dziedzica Stapleton, jak pani zapewne wie. Obawiam się jednak, że zupełnie do siebie nie pasują. - Okrągła buzia posmutniała. Frances przysunęła się bliżej do Lavender i zniżyła głos do szeptu. - Mama i ojciec wcale nie byli zadowoleni z tego małżeństwa, rozumie pani, ale Harri, która jest uparta jak osioł, zagroziła, że ucieknie i weźmie ślub potajemnie! Cóż, omal nie doprowadziła nas do obłądu! Mama dostała ataku duszności, a ojciec mიაտာł się po domu i groził, że obje narzeczonego szpicrutą. Dopiero panna Whiston wszystkich uspokoiła. Rozmawiała z Harriet, rozumie pani, ale nie zdołała jej przekonać! Podśluchiwałam pod drzwiami i usłyszałam, jak panna Whiston - to znaczy pani Brabant - mówi Harri, że Farley to kobieciarz, który ją unieszczęśliwi, jednak Harri była w nim zakochana po uszy i nie chciała tego słuchać. - Frances wzruszyła krągłymi białymi ramionami. - A więc ostatecznie ojciec dał swoją zgodę i wzięli ślub, a teraz - zniżyła głos jeszcze bardziej - on utrzymuje kochankę i wcale się z tym nie kryje, a Harri jest bardzo nieszczęśliwa.

Poprawiła się na siedzeniu i otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- No i co pani o tym myśli, panno Brabant?

- Przykro mi z powodu pani siostry - powiedziała Lavender zgodnie z prawdą, - To musi być straszne,

kochać mężczyznę, któremu aż tak bardzo na tobie nie zależy.

- Och, Harri wzięła sobie, że jest w nim zakochana - Frances przybrała pozę osoby zmęczonej życiem. Stanowczo zbyt poważną na jej wiek - ale to były zupełne bzdury! Cóż, teraz podoba jej się ktoś inny i na wet myśli o tym, czy z nim nie uciec. - Urwała, spostrzegłszy, że zarówno Caroline, jak i jej matka podsłuchują ich rozmowę. - Tak czy inaczej, nie powinnam tyle plotkować! Ale Harri bez ustanku sprawia mi kłopoty - dodała ponuro - bo tego roku miałam zadebiutować w towarzystwie, a przez to całe zamieszanie z powodu ślubu Harri mama uznała, że najlepiej będzie poczekać, aż będę starsza i nabiorę trochę rozsądku! Jej zdaniem wszystkie trzy jesteśmy uparte i lekkomyślne, a przecież ja nigdy nie zachowałabym się tak niemądrze!

Lavender roześmiała się. W duchu uznała, że niepodobna nie lubić Frances Covingham. Z jednej strony Frances uosabiała wszystko, czego Lavender najbardziej nie znosiła u młodych dam. Pełna temperamentu brunetka, ubrana zgodnie z najnowszą modą, nie miała żadnych poważnych zainteresowań, za to fascynowały ją stroje i plotki, które Lavender uważała za dość nużące. Z drugiej strony jednak miała dobre serce, a Caroline ciężką pracą zdołała wpoić jej wartości liczące się bardziej od pieniędzy i pozycji w towarzystwie, które należały jej się z tytułu urodzenia. Lavender uświadomiła sobie, że prostolinijność, serdeczność i życzliwość Frances w niczym nie przypominają wyniosłego sno-

bizmu, z którym stykała się co krok podczas towarzyskiego debiutu w Londynie.

Frances wygładziła zagniecenia na spódnicy.

- Proszę o wybaczenie, panno Brabant. Jestem taka gadatliwa! Niech mi pani opowie o sobie i o Hewly Manor. Zdaje się, że to czarujące miejsce.

- Och, o mnie nie warto mówić - powiedziała Lavender pospiesznie - za to o Hewly mogłabym rozmawiać godzinami! To piękna rezydencja i uwielbiam wędrować po posiadłości i po okolicy.

- Sama? - Niedowierzenie w głosie Frances walczyło o lepsze z podziwem. - A to dopiero!

- O, tak, bo okoliczne lasy i łąki są całkowicie bezpieczne.

Lavender przerwała nagle, przypomniałszy sobie, że niekiedy i w Steepwood coś może kogoś zaskoczyć.

- A to dopiero! - powtórzyła niepewnie panna Covingham. - Doprawdy, to brzmi niczym jakaś czarująca sielanka! - Ściągnęła brwi. - W takim razie będzie pani żał opuszczać Hewly, kiedy pani wyjdzie za mąż, panno Brabant.

Lavender lekko zmarszczyła czoło, jako że to twierdzenie wydało jej się zupełnym niepodobieństwem.

- Och, to się na pewno nie zdarzy, panno Covingham! Jestem już w wieku, w którym nie wychodzi się za mąż, a poza tym nie mam takiego zamiaru!

Zdaje się, że powiedziała coś nie do pomyślenia.

Frances bowiem wydała cichy okrzyk i złapała ją za ramię.

- Och, panno Brabant! - wyrzuciła z siebie jednym

tchem. - Ależ to niemożliwe! Oczywiście, że musi pani wyjść za męża!

Lavender uniosła brwi i spytała z uśmiechem:

- Naprawdę? Muszę? Dlaczego, panno Covingham?

- Cóż... - Frances wydawała się całkowicie zaskoczona tymi pytaniami. Lavender czekała cierpliwie, że tamta powie, że powinnością każdej panny na wydaniu jest upolowanie męża, kiedy jednak Frances wreszcie przemówiła, jej odpowiedź dosłownie zaparła Lavender dech.

- Bo jest pani taka ładna - oświadczyła z triumfem jej nowa przyjaciółka. - Och, panno Brabant, gdyby pani tego nie uczyniła, byłaby to czysta strata!

Później, kiedy już Frances powiedziała jej dobranoc, okraszając rozstanie licznymi zapewnieniami o swojej przyjaźni i obiecując nazajutrz pokazać jej posiadłość, Lavender leżała w swoim ogromnym łożu i w zadumie wpatrywała się w szkarłatny baldachim zwisający nad jej głową. Taka reakcja na komplement niezbyt dobrze świadczyła o kobiecie przekonanej o swoim rozsądku, a jednak kiedy Frances oświadczyła, że uważają ją za ładną, Lavender omal nie zapytała, czy jest tego pewna. Może zresztą była to prawda. Jej włosy miały przecież bardzo ciekawy, platynowy odcień - być może różniący się od tego, który był charakterystyczny dla złotowłosych londyńskich piękności, ale mimo to całkiem ładny. No i często słyszała, że fiołkowe oczy są jej największym atutem. Zasnęła z łagodnym uśmiechem na ustach i pograżyła się w zupełnie niestosownych marzeniach

o wstążkach, koronkach i sukniach z różowej i niebieskofiioletowej krepy, dobranych barwą do koloru oczu.

Nazajutrz była piękna pogoda, toteż kiedy Lewis wyruszył do Northampton, aby zobaczyć się ze swoim pełnomocnikiem, damy wzięły powóz i wybrały się na przejażdżkę po Riding Park. Rezydencja była istotnie wspaniała, a składały się na nią: elżbietański dwór z czerwonej cegły, pagórkowaty park i piękne jezioro. Lavender szczególnie spodobał się pawilon myśliwski usytuowany pomiędzy otoczonym murem ogrodem a parkiem, a Frances nie omieszkała jej zakomunikować, że miejsce to jest nawiedzane przez ducha pierwszego właściciela posiadłości, sir Thomasa Gleasona, którego podobno widywano w burzowe noce, jak przechadza się między pawilonem a domem.

- Mówią, że był filantropem, który ubolewa nad tym, iż pieniądze przekazane pod zarząd powierniczy z myślą o wspomżeniu ubogich, zostały skradzione przez bogaczy - wyznała, otwierając przy tym szeroko oczy. - Spaceruje z wysoką czapką wciśniętą pod pa--e, ma na sobie kryzę, kaftan i pończochy! I co pani o tym myśli, panno Brabant! Ja na pewno zemdlałabym ze stachu, gdybym go zobaczyła! Słowo daję!

- Mówią, że w Hewly też straszy - wtrąciła Caroline, siedząca na ławeczce naprzeciwko dziewcząt. -

Siwa dama, zdaje się, dobrze mówię, Lavender? Osobiście nigdy jej nie widziałam, ale podobno krąży po domu, kiedy ktoś w rodzinie ma umrzeć.

Frances zadrzała z udawanego przerażenia.

- Och, jakie to stylowe! Ależ to musi być nieszczęśliwa, zdesperowana istota!

Caroline i Lavender wymieniły uśmiechy.

- Czarujące stworzenie z tej Frances, prawda? - powiedziała Caroline później, kiedy, przebrawszy się do kolacji, zjawiła się w sypialni Lavender, chcąc zobaczyć, jak szwagierce idą przygotowania. - Bardzo liczyłam na to, że zostaniecie przyjaciółkami. Nie macie wprawdzie żadnych wspólnych zainteresowań, jednak gotowa jestem przysiąc, że uważasz ją za najśodszą dziewczynę pod słońcem.

Tego wieczoru Lavender spędziła przed lustrem więcej czasu niż zwykle, bo chciała wypróbować nową, oryginalną fryzurę, do której była potrzebna bładzielona przepaska kolorem dobrana do sukni. Uczesanie wymagało skomplikowanej procedury polegającej na zakręceniu włosów w loki i zebraniu ich u góry z jednej strony głowy. Ta sugestia kompletnie zaskoczyła, a następnie wytrąciła z równowagi jej pokojówkę. Na szczęście właśnie pojawiła się Caroline, która miała na tyle rozsądku, że wezwała do pomocy osobistą pokojówkę Frances. Ostateczny rezultat okazał się całkiem, całkiem, doszła do wniosku Lavender, odwracając się to w jedną, to w drugą stronę i podziwiając swoje odbicie w lustrze.

- Och, Frances to urocza dziewczyna - zgodziła się ze zdaniem bratowej, biorąc torebkę i wachlarz. - Obie cała, że pomoże mi się ubrać na piątkowy bal. A jutro wybieramy się razem na zakupy do Northampton. Caro, czy to nie świetna zabawa?

Po tych słowach, całkowicie nieświadoma rozbawionej i zaskoczonej miny Caroline, energicznym krokiem opuściła pokój i zeszła po schodach na kolację.

Następnego dnia całe towarzystwo wybrało się do Northampton. Choć Lavender była w tym mieście kilkakrotnie, po raz pierwszy wjeżdżała do niego od zachodu, przez most na rzece i Wzgórze Czarnego Lwa. Kiedy się przybliżali, całe miasto było widoczne przed nimi jak na dłoni i wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że to wyjątkowo piękny widok. Na niebie nie było ani jednej chmurki, toteż miedziane dachy domów lśniły, a kamienne mury jaśniały w słońcu.

Minęli kościół Świętego Piotra i wjechali na Koński Targ, a lady Annę poleciła stangretowi, żeby zatrzymał powóz w pobliżu sklepów bławatnych.

Lavender pochyliła się do przodu, chcąc lepiej widzieć mijane sklepy i domy.

- Budynki są bardzo ładne, nieprawdaż? Bardzo chciałabym przyjechać tu jeszcze raz, pochodzić po mieście i pozachwycać się architekturą! Z wielką przyjemnością pozawiedzałabym tutejsze kościoły, bo z tego co mi mówiono, wszystkie co do jednego są wprost wspaniałe.

Frances, która właśnie omawiała z matką zalety poszczególnych pracowni krawieckich i nowinki w obowiązującej modzie, przerwała w pół zdania, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Zwiedzanie kościołów... - dostrzegła wzrok lady Annę i się zreflektowała - cóż, jeśli tak bardzo ci na



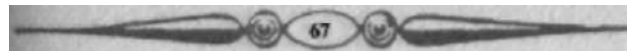
tym zależy, kochana Lavender, z przyjemnością będę ci towarzyszyć.

- To niezwykle szlachetne z twojej strony, Frances, ale musiałabym nie mieć sumienia, żeby wymagać od ciebie takiego poświęcenia! Doskonale rozumiem, że nie wszyscy muszą przepadać za zabytkowymi budowlami!

Frances spadł kamień z serca.

- Cóż, przynajmniej nie jestem miłośniczką zwiedzania, ale zapewniam cię, Lavender, że bardzo bym się cieszyła, gdybym mogła się z tobą wybrać. - Rozpromieniła się. - Oczywiście, sama mogłabym ci posłużyć za przewodniczkę! Pamiętam, że kościół Grobu Pańskiego jest jednym z nielicznych w kraju z okrągłą wieżą. - Skrzywiła się. - Pochodzi z... trzynastego wieku! Właśnie! Pani Brabant! Czy nie jest pani ze mnie dumna! - Na widok zdumionych spojrzeń pasażerów powozu roześmiała się. - Ojejku, nigdy nie będę sawantką, ale i tak potrafię zaskoczyć was wszystkich!

Wysiedli z powozu przy gospodzie „Pod Niedźwiedziem” i szybko się rozeszli, każdy w swoją stronę. Lord Freddie udał się do rusznikarza, a Lewis ustalił, że się tam z nim spotka, kiedy już odbędzie rozmowę ze swoim pełnomocnikiem. W tym czasie Frances i lady Annę miały udać się do sklepów, porobić ostatnie zakupy w związku ze zbliżającym się bale. Frances chciała też zajrzeć do modystki, do pasmanterii, sklepów z materiałami i do perfumerii, ale lady Annę pokręciła stanowczo głową, słysząc to ostatnie i powiedziała, że młode dziewczęta nie potrzebują pudru. Niezrażona



Frances wzięła Lavender pod ramię i z zapałem zaczęła ją namawiać do obejrzenia witryny pierwszego z licznych w mieście sklepów bławatnych.

- Och, spójrz tylko na te czepki! Jak myślisz, w którym byłoby mi bardziej do twarzy, w czerwonym czy zielonym?

Lavender przyjrzała się jej z namysłem.

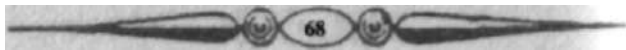
- Moim zdaniem zielony bardziej pasuje do twojej karnacji. Czerwony jest również ładny, ale zieleń doskonale harmonizuje z barwą twoich oczu.

Na Frances jej słowa wywarły wielkie wrażenie.

- Masz doskonały gust! Cóż, zobaczymy! - Pogrzebała w swojej torebce. - Obawiam się, że nie zostało mi zbyt wiele z kieszonkowego, ale to, co mam, powinno wystarczyć. Ale nie kupię go od razu, bo przed nami jeszcze mnóstwo sklepów.

Lavender, która nie zamierzała robić żadnych zakupów, za namową Frances nabyła niebrzydki pelerynekę i futrzaną muflę na zimę. Obserwowała z rozbawieniem, jak jej towarzyszka przebiega przez kolejne sklepy i z niesłabnącym zapałem gromadzi strusie pióra, jedwabne rękawiczki i haftowane chusteczki. Wreszcie, kiedy Frances wykazała nadmierne zainteresowanie pewnym tureckim turbanem, Lavender poczuła się zmuszona interweniować i zauważyła, że Frances wygląda w nim jak matrona.

- Nie rozumiem, jak możesz być taka oszczędna, Lavender - narzekała dziewczyna, przenosząc wzrok od własnego stosu zakupów na skromny pakunek nowej przyjaciółki. - Przecież przed zimą powinnaś zaopa



trzyć się we wszystkie niezbędne rzeczy! Z pewnością nawet najlepsze sklepy w Abbot Quincey nie mogą się równać z tutejszymi!

Lavender odwróciła się do niej plecami i udała, że ogląda niebieski szal.

- W Abbot Quincey mamy najlepszy sklep bławatny, jaki można sobie wyobrazić - powiedziała pochopnie. - Samego Arthura Hammonda.

- Hammonda! - pisnęła podniecona Frances. O mały włos byłabym zapomniała! Przed powrotem do gospody musimy koniecznie zajrzeć do jego magazynu!

Lavender ociągała się, zła na siebie, że coś ją podkuśliło, by wymienić to nazwisko. Nie miała ochoty ryzykować odwiedzin w sklepie Arthura Hammonda, aczkolwiek było mało prawdopodobne, że natknie się tam na Barneya.

- Ależ mamy całe mnóstwo rzeczy - powiedziała pospiesznie. - Jeśli kupisz coś jeszcze, grozi ci bankructwo!

Frances zbyła jej przestrozę machnięciem ręki.

- Bzdura! - Spiesznie ruszyła w stronę kontuaru, przy którym lady Annę właśnie oglądała haftowany muślin. - Mamo, wiem, że powinnyśmy wkrótce wracać, ale czy mogłybyśmy zajrzeć po drodze do magazynu Hammonda? Proszę cię... wiesz, że mają tam wszystko co najlepsze.

Subiekt przeszył Frances niechętnym wzrokiem na wzmiankę o konkurencji, lecz lady Annę ochoczo przystała na prośbę córki.



- Naturalnie, kochanie - odparła - ale tylko na chwilę, bo w przeciwnym razie panowie wyruszą do domu bez nas.

Lavender podeszła do Caroline, która odpoczywała na krześle we wnęce, czekając, aż pozostałe panie skończą zakupy.

- Masz ochotę iść do kolejnego sklepu, kochana Caroline? - spytała z troską. - Naprawdę nie jesteś za bardzo zmęczona? Jeśli wolałabyś już wracać do gospody, chętnie pójdę z tobą.

Caroline popatrzyła na nią uważnie.

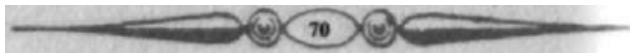
- Czuję się doskonale, zapewniam cię, Lavender, niemniej jestem ci wdzięczna za troskę o moje zdrowie. Z twej niechęci wnioskuje, że Frances zaproponowała, byśmy zajrzały do magazynu Hammonda, czy tak? Jeśli nie masz ochoty tam iść, żeby kupić sobie kolejną parę rękawiczek, naturalnie wrócę z tobą do gospody.

Lavender spłonęła rumieńcem. Nie miała pojęcia, jak bratowa domyśliła się jej obecnej niechęci do Hammondów, ani też nie zamierzała o to pytać.

- O, nie, przejdę się tam z wielką chęcią - zapewniała z udawaną bez troską. - Chodziło mi tylko o to, żebyś ty się za bardzo nie zmęczyła.

- To bardzo szlachetne z twojej strony, moja droga - powiedziała uśmiechnięta Caroline - a poza tym jestem pewna, że pana Hammonda nie ma dziś w Northampton.

Lavender wyskoczyła ze sklepu jak oparzona, nie chcąc dopuścić do tego, by Caroline upokorzyła ją jeszcze bardziej, co by się niechybnie stało, gdyby zaczęła

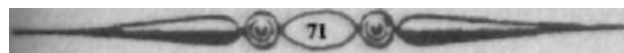


zadawać jej kłopotliwe pytania przy Frances. Chłodne powietrze na ulicy nieco ochłodziło jej rozpaloną twarz. Ze smutkiem uznała w duchu, że Caroline najwyraźniej ma dar jasnowidzenia. Mogłaby przysiąc, że przynajmniej przez dziesięć dni ani razu nie wspomniała o Hammondach, a już zwłaszcza o Barneyu Hammondzie. Nawet po powrocie do domu w strasznym stanie po wypadku w lesie udało jej się zręcznie przemilczeć fakt, że to Barney ją tam znalazł i odprowadził. Przeszyła gniewnym wzrokiem złoty szal w witrynie sklepu i powiedziała sobie, że zachowuje się niemądrze. Nie miała żadnego szczególnego powodu do unikania Barneya Hammonda ani też do szukania go. Powinna po prostu zachowywać się naturalnie.

Mimo wszystko, kiedy dotarły do drzwi magazynu, przekroczyła próg z wyjątkową niechęcią. Na domiar złego pierwszą osobą, jaką zobaczyli, był Arthur Hammond. Z początku wyglądał na zaskoczonego, ale w mgnieniu oka okazał obłudne zadowolenie na ich widok. Popędził ku drzwiom, omal nie przewracając po drodze jakiejś starszej pani, tak było mu spieszno, by je powitać.

- Szanowne panie! Jak się cieszę, że panie tu widzę! W czym mogę pomóc?

Nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że po chwili wszyscy subiekci biegali tam i z powrotem, mierzyli i cięli - koronki dla Caroline, cieniutki jedwab dla lady Annę, pończochy dla Frances - te ostatnie pan Hammond podał jej osobiście z obleśnym uśmiechem. Wszyscy inni klienci, ze swoimi flanelowymi halkami



i wstążkami, byli zmuszeni czekać, podczas gdy Hammond zacierał ręce i powtarzał, jaki to dla niego zażyty obsłużyć tak wyborną klientelę, aż w końcu Lavender demonstracyjnie wyszła ze sklepu, pełna obrzydzenia.

Stała na ulicy i wbiła wzrok w witrynę apteki w sąsiedztwie sklepu, oddychając z ulgą na myśl, że nie natknęła się na Barneya. Wtem ktoś powiedział tuż przy niej:

- Co słyhać, panno Brabant? Jak to miło spotkać panią w Northampton.

Stał przed nią Barney Hammond w błękitnym surducie o doskonałym kroju, płowozółtych spodniach i długich butach, które zdaniem Lavender wyglądały raczej na wyrób Hobysa z Londynu niż dzieło skądinąd doskonałych szewców z Northampton. Surdut opinał muskularne ramiona bez jednej zbytecznej zmarszczki i doskonale leżał na wysokiej sylwetce. Lavender zdała sobie sprawę, że przygląda się Barneyowi, i usiłowała oderwać wzrok, ale, jak się zdaje, nie była w stanie tego uczynić. Ciemne, falujące włosy, nieco przydługie, opadały mu na kołnierz surduta. Był świeżo ogolony i roztaczał wokół siebie bardzo subtelny, przyjemny aromat drogiej wody kolońskiej. Jednakże tak naprawdę jej zainteresowania nie wzbudziła żadna z tych rzeczy. Lavender zastanawiała się przez chwilę, aż w końcu doszła do wniosku, że pociąga ją w nim coś innego, wrażenie wielkiej siły, ujarzmionej i trzymanej pod kontrolą, lecz gotowej w każdej chwili wyrwać się na swobodę. Z całą pewnością nie nadawał się do roli dandysa, wy-

perfumowanego i gładkiego. Był na to zbyt męski. Zjawienie się Barneya wywołało kuszącą wizję; wyobraziła go sobie w stawie, jego brązowe, muskularne ciało, spływającą po nim wodę. Albo podczas pojedynku, kiedy poruszał się zwinnie i z gracją, a koszula przylgnęła mu do ciała.

Lavender przełknęła ślinę i zmusiła się do uprzejmego, zdawkowego uśmiechu. Ulice Northampton z pewnością nie były stosownym miejscem na takie zdróżni-myśli.

- Pan Hammond! Co u pana słyszać?

- Wszystko w porządku, dziękuję. - W głosie Barneya wyczuwało się wesołość. Nie powiedział nic więcej, tylko patrzył na nią tymi swoimi bardzo ciemnymi oczami, co wprawiło Lavender w zakłopotanie. Teraz było tak samo, czuła, jak jej i tak nadwątlone towarzyskie umiejętności całkiem zanikają. Była w stanie myśleć wyłącznie o tym, że kiedy widzieli się ostatnim razem, zrobiła z siebie kompletną idiotkę, a teraz wszystko wskazywało na to, że historia się powtórzy. Desperacko utkwiała wzrok w paczce, którą trzymała w rękach.

- Widzę, że był pan na zakupach - wyrzuciła z siebie koszmarnie protekcyjnym tonem. - Udało się panu nabyć coś ciekawego?

- Właśnie wracam z apteki, kupowałem lekarstwa dla matki - odparł Barney z uśmiechem. - Byłem w środku, kiedy panią zobaczyłem. Matka zawsze daje mi takie zlecenia. Święcie wierzy w szkockie pigułki doktora Andersona i jarzynowy syrop de Yelnosa!

- Na jakie choroby są skuteczne? - spytała Lavender, zafascynowana rozbawieniem brzmiącym w jego głosie i ciepłym spojrzeniem ciemnych oczu. Barney uśmiechnął się.

- Na wszystkie, jak mi się zdaje! - powiedział we-

- Moja matka z pewnością cierpi na wszystkie choroby znane ludzkości! Niech pani sobie wyobrazi, panno Brabant, że ma w domu egzemplarz *Przewodnika* po zdrowiu autorstwa Solomona i sprawdza wszystkie dolegliwości w nim opisane. Wynajdywanie wciąż nowych dostarcza jej wiele przyjemności.

Lavender zachichotała, ale spróbowała zamaskować to kaszlem.

- Jakoś nie słyszę współczucia w pańskim głosie.

- Nie. - Z twarzy Barneya znikło rozbawienie. - Przepraszam. Nie powinienem być z tego żartować. Prawdę mówiąc, aptekarstwo fascynuje mnie od zawsze. To prawda, w aptekach można dostać mnóstwo fałszywych lekarstw, niekiedy wręcz niebezpiecznych, jestem jednak przekonany, że w gruncie rzeczy chemicy i farmaceuci wykonują niezwykle pożyteczną pracę. Chciałbym... - Urwał i zrobił taki gest, jakby zamierzał odejść. - Proszę o wybaczenie, panno Brabant, staję się wyjątkowo męczący, kiedy zaczynam o tym mówić!

Lavender otworzyła usta, gotowa zaprzeczyć, ale w tym momencie podszedł do nich dżentelmen, w którym Lavender rozpoznała mężczyznę bez powodzenia pojedynkującego się z Barneyem na florety tamtego dnia w lesie. Był wysoki i jasnowłosy, a z bliska widać

było charakterystyczne wygięcie ust, świadczące o pogodnym usposobieniu. Barney bez wahania dokonał prezentacji.

- Panno Brabant, oto pan James Oliver, mój przyjaciel. Jamie, to panna Lavender Brabant.

Oliver skłonił się.

- Miło mi panią poznać, panno Brabant. Zapewne mieszka pani w jednej z wiosek w opactwie Steepwood? Zdaje się, że rozpoznaję nazwisko.

Lavender właśnie wyjaśniała, gdzie leży Hewly, kiedy w drzwiach sklepu pojawiła się reszta pań, gawędząc z ożywieniem o dokonanych zakupach. Damy, widząc, że Lavender ma towarzystwo, natychmiast przerwały rozmowę.

- Pan Hammond! Cóż za miła niespodzianka! - Caroline uśmiechnęła się do Barneya i wyciągnęła rękę na powitanie. - Co sprowadza pana do Northampton?

- Jestem tu w interesach - wyjaśnił Barney, pochylając się nad jej dłonią. - Jak się pani miewa? Szanowne panie...

Dokonano prezentacji. James Oliver wspomniał, że właśnie idą do księgarni, by odebrać bilety na wieczorny koncert, po czym wszyscy razem ruszyli w drogę, bo lady Annę poprosiła panów, aby towarzyszyli im do gospody „Pod Niedźwiedziem”.

James gawędził z Frances, natomiast lady Annę i Caroline rozmawiały z Barneyem. W głębi ducha Lavender była rozgoryczona. Wbrew zdrowemu rozsądkowi miała nadzieję, że Barney będzie szedł przy niej.

- Jak znajduje pan tutejsze rozrywki, panie Ham-

mond? - dopytywała się lady Annę. - Wprawdzie to niewielkie miasto, ale sprawia wrażenie tętniącego życiem.

Barney posłał jej ten swój leniwy uśmiech i Lavender była prawie pewna, że zauważyła, jak lady Annę zamrugała na ten widok. Zdaje się, że żadna kobieta nie była na to odporna.

- Z pewnością jest tu wiele do zobaczenia i do zrobienia, milady - mówił właśnie Barney, - Dzisiaj odbywa się koncert w sali ratusza, jak przed chwilą wspomniał James. Mieliśmy wybór między recitalem a występem iluzjonisty, ale ja wolę muzykę, bo za każdym razem próbuję podpatrzeć, w jaki sposób wykonuje się te wszystkie magiczne sztuczki. A to psuje całą zabawę.

- W takim razie ma pan umysł ścisły, panie Hammond - powiedziała lady Annę z uśmiechem. - Co do mnie, jestem zawsze tak zafascynowana zręcznością prestidigitatorów, że nigdy nie zastanawiam się nad tym, w jaki sposób robią to czy tamto.

Doszli do gospody, gdzie w prywatnym salonie czekali już na nich lord Freddie i Lewis. Kiedy panowie uścisnęli sobie dłonie, lady Annę nagle wpadł do głowy pewien pomysł.

- Panie Hammond, panie Oliver, czy piątkowy wieczór mają panowie zajęty? Jeśli nie, zapraszamy na nasz bal. Muszą panowie przyjść! Byłoby wspaniale!

Lavender raczej poczuła, niż zobaczyła szybkie spojrzenie Barneya skierowane wprost na nią. Wydało jej się oczywiste, że był rozdarty między uprzejmym kłamstwem a niechętnym przyjęciem zaproszenia. Serce jej

zamarło, bo doszła do wniosku, że na pewno będzie chciał odmówić przez wzgląd na nią.

- No cóż, milady, to bardzo miło z pani strony - zaczął - ale nie sądzę...

- Och, daj spokój, stary druhu - wtrącił się James, uśmiechając się uwodzicielsko do Frances. - Chyba nie chcesz rozczarować dam?

- Och, proszę obiecać, że panowie przyjdą. - Frances aż poróżnowiała, dołączając swe płynące prosto z serca błaganie, i za swoje trudy otrzymała mitygujące spojrzenie matki. Lavender nie odważyła się spojrzeć na Barneya ponownie.

- Jeśli chodzi o mnie, stawię się z największą przyjemnością - powiedział OHver szybko - i jestem pewny, że Barneyowi uda się oderwać od interesów, jeśli się przyłoży!

- W takim razie postanowione - oznajmiła stanowczo lady Annę Covingham, ale jej słowom towarzyszył ciepły uśmiech. - Czekamy na panów w Riding Park w piątek wieczorem. Naturalnie posłę panom zaproszenia.

Po pożegnaniach młodzi panowie udali się do księgarni Lacey'a. Frances siedząca przy Lavender dosłownie podskakiwała.

- Och, masz szczęście, że znasz pana Hammonda! To doprawdy niezwykle czarujący dżentelmen! A na dodatek bardzo przystojny.

Lavender uniosła brwi. Do tej chwili sądziła, że to James Oliver pochłonał uwagę Frances. Uświadomiła sobie, że zainteresowanie nowej przyjaciółki osobą Bar-

neya Hammonda wzbudza w niej uczucie zazdrości. Z pewnością Barney był bardzo przystojny, jednak nie życzyła sobie, żeby wszyscy tak myśleli. Tymczasem Frances trąkotała jak nakręcona.

- A pan Oliver! Daję słowo, miałyśmy nie lada szczęście, spotykając nie jednego, ale dwóch przystojnych dżentelmenów!

- Za to tutaj przytrafia nam się mniej radosne spotkanie - powiedziała Caroline oschle, kładąc dłoń na ramieniu Lavender. - Nie patrz teraz, kochanie. Mam wrażenie, że nasza kuzynka Julia jest w mieście!

Lavender odwróciła się i wyjrzała przez okno. Na podwórzu gospody zatrzymał się niewielki powozik podróżny, a jego pasażerowie właśnie wysiadali. Mężczyzna był mocno starszy, siwiejący i dystygowany. Na widok uwieszanej jego ramienia młodej kobiety Lavender zamarło serce.

- Och, nie, Caro, obawiam się, że masz rację! To naprawdę kuzynka Julia!

Kobieta miała na sobie jaskrawoniebieską suknię, całą z koronek, z pewnością odpowiedniejszą w buduarze niż w mieście. Dobrany do niej błękitny kapelusz obramowywał twarz o regularnych rysach i wielkich błękitnych oczach. Złociste loki potargał nieco wiatr.

Doskonałość miała skazę w postaci głębokiej zmarszczki na czole, a jej władczy głos, kiedy łąjała służącego, słychać było nawet w saloniku.

- Co to znaczy, że prywatny salon jest zajęty? Każ im, żeby poszli sobie gdzie indziej! My jesteśmy o wiele ważniejsi.

- Kto to taki? - szepnęła Frances Covingham do ucha Lavender, nie spuszczać oka z nieznajomej.

Wygląda jak kokota!

Annę Covingham, do której dotarł ten szept, posłała córce groźne spojrzenie.

- Frances, odejdz od okna.

- Obawiam się, że już za późno na ucieczkę - powiedziała Caroline grobowym głosem. - Idą tutaj.

W korytarzu dało się słyszeć kroki i za moment drzwi otworzyły się na oścież. Błękitne oczy Julii prześliznęły się po twarzach zebranych, po czym wydała piskliwy okrzyk.

- Niech mnie! Caroline? Lavender! Lewis!

Zrezygnowana Caroline już zrobiła krok w przód. gotowa uprzejmie powitać nowo przybyłych.

- Julia! Co słyszać? To doprawdy... niespodzianka

- To nasza daleka kuzynka - szepnęła Lavender do Frances. - Pani Chessford.

- Och, słyszałam o niej! - Frances rozbłysły oczy.

- Mama nazywają rajskim ptakiem udającym...

- Miło mi panią poznać, pani Chessford. - Annę Covingham spiesznie wystąpiła naprzód i wyciągnęła obydwie ręce w powitaniu. - Wszyscy wiele o pani słyszeliśmy! Zapewne liczyła pani, że prywatny salonik będzie wolny? W takim razie doskonale się składa, bo właśnie wyjeżdżamy.

Reszta towarzystwa pospiesznie zbierała zakupy. Lavender doszła do wniosku, że Julia sprawia wrażenie rozdartej wewnątrz, bo choć dziękowała wylewnie lady Annę za jej życzliwość, była najwyraźniej niezado-

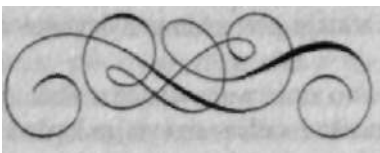
łona, że zostaje pozbawiona dystyngowanego towarzystwa.

- Na pewno złożę wam wizytę w Riding Park, obiecuję - wyrzuciła z siebie, chwytając lorda Freddiego za rękę. - To cudownie mieć znajomych w okolicy!

Lavender wydawało się, że widziała, jak Annę Covingham pobladła. Pospiesznie popędziła wszystkich do powozu i wkrótce z turkotem ruszyli w drogę powrotną do Riding Park.

- Najgorsze - powiedziała Caroline ponuro, zabijając głos w imieniu pozostałych - jest to, że Julia naprawdę pojawi się w Riding Park i niezwykle trudno będzie jej się pozbyć! Nie powinnam tego mówić, ale ona jest niczym dokuczliwa wysypka - nie dość, że pokrywa całe ciało, to jeszcze wprowadza w paskudny nastrój!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.



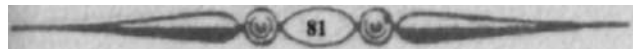
ROZDZIAŁ CZWARTY

- Ależ tu nudno - szepnęła Julia Chessford do ucha Lavender. - Liczyłam na znacznie wytworniejsze towarzystwo! Tymczasem widzę samych sąsiadów Covinghamów, a wśród gości nie ma ani jednego utytułowanego arystokraty!

Siedziały w sali balowej Riding Park, przyglądając się parom sunącym po parkiecie w takt dostojnego menueta. Na górze, na drewnianym balkonnie galerii przeznaczonym dla orkiestry, grał kwartet smyczkowy, po sali szedł szmer rozmów nasilający się w miarę przybywania gości, a służący krążyli wśród tłumu z tacami pełnymi kieliszków doskonałego szampana.

Lavender spojrzała na kuzynkę z bezbrzeżną niechęcią. Właśnie sobie pomyślała, jakie to miłe przyjęcie. Była przekonana, że Julia miała wyjątkowe szczęście, skoro w ogóle znalazła się w gronie zaproszonych.

Od przypadkowego spotkania w gospodzie Julia nieustannie narzucała im swoje towarzystwo. Wykorzystując sytuację, zaglądała tu dzień w dzień, na każdym kroku demonstrowała przesadną sympatię dla Caroline i Lavender, którą przyprawiała tym o mdłości, a na do-



miar złego zrobiła wszystko, by dostać się na bal, nie zwracając sobie nawet głowy pytaniem, czy gospodarze na pewno sobie tego życzą.

Julia dorastała w Hewly jako podopieczna admirała Brabanta i Lavender od samego początku zdawała sobie sprawę z tego, że to przebiegła, chytra dziewczyna, która zwykła wpraszać się do towarzystwa wyłącznie po to, żeby osiągnąć z tego jakąś korzyść. Julia zaręczyła się w tajemnicy z Lewisem, kiedy oboje byli jeszcze bardzo młodzi, ale rzuciła go dla jego starszego brata, Andre w, a wreszcie uciekła z najlepszym przyjacielem Andre w i potajemnie wzięła z nim ślub. Usłyszeli o niej ponownie wtedy, gdy pochowawszy męża i roztrwoniwszy jego fortunę, pojawiła się w Hewly, próbując wyłudzić pieniądze od swego opiekuna. Naturalnie nie omieszkała posłużyć się śmiertelną chorobą admirała jako pretekstem do ponownego narzucenia im się ze swoim towarzystwem. Przez pewien czas Lavender żywiła obawy, że Lewis znów ulegnie wdziękom Julii, toteż kamień spadł jej z serca, kiedy okazało się, że brat zdecydował się poślubić Caroline. Julia wyjechała z Hewly jak niepyszna, kiedy jej próby szantażowania admirała wyszły na jaw i przez blisko rok nie dawała znaku życia. A teraz pojawiła się znów jak zły szeląg.

- Dziwię się, że lady Annę pozwala swojej córce przestawać z handlarzami - ciągnęła Julia z szyderstwem w głosie, ruchem głowy wskazując na Frances Covingham, która właśnie tańczyła kotyliona z Barneyem Hammondem na przeciwległym końcu sali balowej. Lavender, podwójnie zirytowana, raz, wskutek

ogarniającej ją zazdrości, dwa - z powodu przychylnego niechęci do Julii, wierciła się niespokojnie na wyjątkowo niewygodnym krześle. Barney nie poprosił jej do tańca ani razu do tej pory - jeśli w ogóle zamierzał ją prosić - a fakt, że miał wielkie powodzenie wśród zaproszonych dam, nie wpłynął najlepiej na jej samopoczucie. Lavender pomyślała, że w wieczorowym stroju jest mu wyjątkowo do twarzy. Co więcej, jego ruchy świadczyły o bezwiednej pewności siebie i niewymuszonym wdzięku.

- Fakt, ubiera się jak dżentelmen - skomentowała Julia, wypowiadając na głos myśli Lavender - ale to chyba normalne, jeśli jest się synem bławatnika! Nieprawdopodobne! Handlarze z Northampton w sali balowej Covinghamów! Tyle że nawet największe pieniądze nie zdołają zdusić odoru sklepu.

- Cóż, naturalnie, ty wiesz o tym najlepiej, Julio! - wypaliła Lavender, którą komentarze kuzynki doprowadzały do szału. Wiedziała, że zachowuje się dziecinnie, uznała jednak, że skoro ojciec Julii zajmował się handlem, ona sama posunęła się stanowczo za daleko w swym snobizmie.

Julia jednakże miała skórę grubą jak słoń.

- Cóż, pewnie ta mała Covinghamów poluje na kogoś z majątkiem, a Hammond, jak przypuszczam, mógłby kupić każdego z obecnych w tej sali! Tylko co z tego, skoro ma nieodpowiednie pochodzenie? Może Covinghamowie nie są snobami, ale z pewnością nie dopuściliby do tego, by ich córka wyszła za sklepiarza.

- Myślę, że wysnuwasz zbyt daleko idące wnioski, Julio - powiedziała Lavender chłodno. - Panna Covingham zatańczyła z panem Hammondem jeden, jedyny raz i nic nie wskazuje na to, by zamierzała z nim uciec i wziąć ślub! Poza tym tańczyła dwukrotnie z panem Oliverem, a chyba nawet ty przyznasz, że to bardzo dobra partia!

- Tak... - Julia w zamyśleniu zmrużyła błękitne oczy. - Muszę wyznać, że sama mogłabym się w nim zakochać, bo jest bardzo przystojny i ma te wszystkie koneksje, których brakuje Hammondowi. Jednakże jest niepoprawnym flirciarzem, a do tego jego wierność trwa najwyżej jeden dzień.

Lavender przygryzła wargi, aby nie parsknąć śmiechem. Przyganiał kocioł garnkowi. Wszak niewierność kuzynki nie miała sobie równych.

Julia nie spuszczała oka z Frances i Barneya Hammonda przez cały czas trwania kotyliona.

- Naturalnie wszystkie dziewczęta z rodziny Covinghamów przejawiają skłonność do ucieczek. Harriet Covingham groziła, że ucieknie z Johnem Farleyem, a teraz chodzą słuchy, że zamierza uciec ze swoim ostatnim kochankiem.

Lavender westchnęła i znów zaczęła się wiercić. Marzyła o tym, by któryś z dżentelmenów zlitował się nad nią i poprosił ją do tańca albo żeby Caroline oderwała się od rozmowy z Anną Covingham i uwolniła ją od niechcianego towarzystwa kuzynki. Była wyjątkowo poirytowana faktem, że do tej pory nikt nie wyrażał chęci, by z nią zatańczyć, bo jej zdaniem wyglądała tego

wieczoru naprawdę ładnie. Frances pomogła jej wybrać wyjątkowo twarzową jedwabną suknię o barwie kwiatu lawendy, prostą, lecz stylową, a pokojówka ułożyła włosy Lavender w elegancki grecki kok. Była całkiem zadowolona ze swej powierzchowności, dopóki nie pojawiła się Julia, drobna i olśniewająco piękna w sukni z blad różowego jedwabiu, z burzą złocistych loków otaczających twarz. W spojrzeniu jej błękitnych oczu, które spoczęło na kuzynce, malowało się coś na kształt współczucia i Lavender straciła nieco ze spokojnej pewności siebie. A teraz jeszcze panowie nie prosili jej do tańca!

- Miała byś ochotę zatańczyć, Lavender?

Kiedy Lewis Brabant skłonił się przed siostrą, Julia uśmiechnęła się z wyższością.

- O Boże! Chyba nie zamierzasz tańczyć z własnym bratem? Jakże to niesmaczne!

Lewis zmierzył kuzynkę spojrzeniem pełnym pogardy.

- Do usług, Julio. Zdaje się, że lord Leverstoke właśnie się udał do pokoju gier. Jak to się stało, że nie zdołałaś go namówić na wspólny taniec?

Julia spłonęła rumieńcem. Najwyraźniej była przeźrażliwiona na punkcie swego starszawego wielbiciela, który, jak słyszała Lavender, był wciąż żonaty z inną. Lewis podał siostrze ramię i szybko się odwrócił.

- Nie musimy tańczyć - powiedział z uśmiechem, kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości od Julii - ale Caro zasugerowała, abym cię do niej przyprowadził, tak czy inaczej. Szkoda, że lady Annę czuła się w obo-

wiązku zaprosić Julię na dzisiejszy bal! Jak widać, nasza kuzynka pozostała nieznośna.

Lavender zachichotała.

- Nie byłeś zbyt uprzejmy - zbesztła brata. - Zdaje się, że lordowi Leverstoke naprawdę na niej zależy!

Lewis wzruszył szerokimi ramionami.

- Leverstoke zawsze miał kłopoty z właściwą oceną sytuacji. A poza tym nie ma za wiele pieniędzy, toteż nie spodziewam się, że Julia będzie na niego długo tracić czas. Na pewno wolałaby kogoś młodszego i bogatszego.

Lavender pobiegła wzrokiem do Barneya Hammonda, który tymczasem skończył tańczyć z Frances, i Annę Covingham przedstawiała go kolejnej spłonionej debutantce. Na ten widok Lavender posmutniała i popadła w zły humor. Szybko odwróciła głowę i zajęła miejsce obok Caroline, a Lewis udał się po szampana dla pań.

Bratowa przywitała ją z entuzjazmem.

- Doszliśmy do wniosku, że musimy cię ratować, moja droga, bo miałaś taką ponurą minę, że szkoda mówić! Kogo Julia wzięła sobie na cel tym razem?

Lavender uśmiechnęła się i poczuła trochę lepiej.

- Obawiam się, że była okrutna w stosunku do biednego pana Hammonda! Co za bezczelna hipokrytka! W końcu jej rodzony ojciec zrobił majątek na handlu!

- Widzę, że bardzo cię to poruszyło - zauważyła Caroline, unosząc brwi. Lavender uświadomiła sobie, że zapewne zdradziła więcej, niż zamierzała, toteż cała zarumieniona, spróbowała złagodzić swoją wypowiedź.

- Cóż, to wszystko jest takie niesprawiedliwe, Caro!

Pan Hammond ma doskonałe maniery i tylko dlatego, że jego ojciec jest bławatnikiem...

- Tak - Caroline wygładziła dół sukni o barwie burzyny - to jest niesprawiedliwe. Coś o tym wiem, bo przez wiele lat odnoszono się do mnie z lekceważeniem jako do kogoś w rodzaju lepszej służącej. - Uśmiechnęła się do Lavender. - Właśnie dlatego tak bardzo cenię Covinghamów, bo nigdy nie dali mi odczuć, że jestem pod jakimś względem gorsza od nich. Ale większość wytwornego towarzystwa nie jest tak wspaniałomyślna, to fakt! Boleję nad tymi wszystkimi snobami, których wciąż widzę wokół.

Lavender opuściła ramiona. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak dotkliwie odczuła kłopotliwą sytuację Bameya Hammonda, niemniej słowa Julii sprawiły, że ogarnęła ją wściekłość. A przecież Barney nie narzucił się Covinghamom, w przeciwieństwie do Julii. Lavender powiedziała sobie w duchu, że z całego serca nie cierpi zarozumiałej kuzynki, ale tkwiący gdzieś w głębi wewnętrzny głos spytał, czy ona sama zachowuje się lepiej. Przypomniała sobie swoje spotkanie z Barneyem tamtej pierwszej nocy w lesie i to, że uznała jego zachowanie za impertynenckie. Czy nie stało się tak dlatego, że dystans między synem bławatnika a córką admirała był dla niej oczywisty? A jednak jej uczucia względem niego nie były teraz tak jednoznaczne.

Tak mocno ścisnęła wachlarz, że złamała w nim dwa pióra. Wepchnęła go do torebki, jeszcze bardziej zła.

- Naturalnie - podjęła Caroline, gdy Lewis wrócił

do nich, niosąc napoje - Julia ma powód, by nie znosić pana Hammonda!

Lewis podał żonie kieliszek szampana i obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

- Bądź łaskawa go wyjawić, moja droga - powiedział z szerokim uśmiechem, dosiadając się do nich - bo Lavender i ja wprost umieramy z ciekawości!

- Cóż. - Caroline pochyliła się nieco ku przodowi, a w jej oczach rozbłysły wesołe iskierki. - Jestem przekonana, że nasza kuzynka zapalała niechęcią do pana Hammonda po tym jak - na chwilę zawiesiła głos - odrzucił jej umizgi!

Lewis z niejakim zdziwieniem unióśł brwi. Lavender gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Och, Caro, nie! Powiedz, że nie zalecała się do niego!

Caroline wzruszyła ramionami.

- Dlaczego nie? Z pewnością nie byłaby pierwszą, która tego próbowała.

- Masz jakiś dowód na poparcie tej teorii, moja droga? Może to tylko jakaś plotka?

Caroline wyglądała na ciężko urażoną.

- Ależ, Lewis! Przecież wiesz, że nie zajmuję się plotkami! - Pochyliła się ku nim jeszcze bardziej. - Widzicie, byliśmy pewnego dnia w sklepie pana Hammonda, a pan Barney Hammond pokazywał Julii wstążki i kokardy, kiedy nagle usłyszałam, jak Julia mówi, jaki z niego interesujący mężczyzna i jaką jest doskonałą reklamą dla sklepu ojca! - W oczach Caroline pojawiły się iskierki. - Cóż, wiedziałam, że nie powinnam

uczestniczyć w tej rozmowie, ale w tym momencie przysunęłam się bliżej.

- Jestem tego pewien - mruknął Lewis oschle.

Lavender poklepała bratową po rękę.

- Nie zwracaj na niego uwagi. Chcę usłyszeć, co stało się potem.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

- powiedział Lewis z ironią. Obie spiorunowały go wzrokiem.

- Jeśli chcesz zepsuć nam przyjemność, lepiej idź gdzie indziej, mój drogi! - Caroline skarciła męża, po czym odwróciła się do Lavender. - Cóż, po chwili Julia powiedziała, że ma dla niego specjalne zlecenie, i spytała, czy mógłby przyjść do Hewly i udzielić jej porady w cztery oczy. Nie sędzę, że coś opacznie zrozumiałam.

Lavender wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Caro! A pan Hammond...

Caroline zaczęła się śmiać.

- Do końca życia nie zapomnę jego reakcji. Barney Hammond powiedział, że jest jej wdzięczny za zainteresowanie i bardzo przeprasza, iż nie może uczynić zadość jej prośbie, bo starszymi klientkami zawsze zajmuje się jego ojciec. Nie wierzę, by Julia kiedykolwiek mu wybaczyła. Od tamtego incydentu zawsze prosiła mnie, żebym załatwiała jej sprawunki u Hammonda

Lavender parsknęła śmiechem. Nawet Lewis pospiesznie próbował stłumić śmiech. Świadomość, że Ju-

lia, która przez tyle czasu uprzykrzała im życie swoim aroganckim zachowaniem i złośliwymi uwagami, otrzymała odprawę, na co w pełni zasługiwała, sprawiła całej trójce wyjątkową przyjemność.

- O Boże, jakie to okropne. - powiedziała Lavender, ocierając łzy płynące z oczu. - Naprawdę nie powinniśmy się śmiać, ale... - Ramiona jej się trzęsły i na próżno próbowała opanować rozbawienie.

- Cóż - zauważył Lewis - w przyszłości będą odnosił się do Hammonda z jeszcze większą sympatią. Zawsze uważałem go za wyjątkowo rozsądnego młodego człowieka, a teraz mamy dowód, że jest tak w istocie.

Pół godziny później, kiedy Lavender zdążyła już pogodzić się z faktem, że przez cały wieczór będzie siedziała wśród przyzwoitek, skłonił się przed nią James Oliver, prosząc, by zechciała mu towarzyszyć w ludowym tańcu, do którego właśnie się szykowano. Zaraz potem została oblężona przez potencjalnych partnerów, zupełnie jakby całe towarzystwo czekało na sygnał ze strony jednego dżentelmena, aby ruszyć ławą. Była niezłą tancerką i dobrze się spisywała, a na dodatek doszła do wniosku, że uprzejma konwersacja wymagana przy takich okazjach nie kosztuje jej wiele wysiłku. Nie mogło być mowy o prawdziwej rozmowie, bo partnerzy co chwila musieli się rozdzielać, zgodnie z zasadami tańców, ale Lavender pomyślała, że ma to swoje zalety. Nasłuchiwała się wystarczająco dużo o sforze psów myśliwskich pana Henshawa i nie była zbyt zain-

teresowana nową dwukólką pana Saltona. Przypomniała sobie, jak protektorka podczas jej debiutu w Londynie mówiła, że dama powinna zawsze sprawiać wrażenie zafascynowanej tym, co mówi partner, ale uznała to za niedorzeczność. Szybko się zorientowała, że mężczyzna jest uważany za najbardziej czarującego, kiedy ma szczęście nosić tytuł hrabiego, a jeszcze lepiej księcia.

Pan Salton rozwodził się jeszcze nad wspaniałością swego zaprzęgu, kiedy Lavender zobaczyła, że Barney Hammond idzie przez salę w ich kierunku. Nie uszło jej uwagi, że zatańczył dwukrotnie z panną Covingham i że żywiółowa Frances rozstawała się z nim z wielką niechęcią.

Barney stanął przed nią i złożył ceremonialny ukłon, ale oczy mu się śmiały.

- Panno Brabant, na przekór wszystkiemu pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że jest pani wolna i obieca mi pani ostami taniec przed kolacją. Będę zaszczycony.

Lavender już miała się zgodzić, kiedy pan Salton chrząknął znacząco.

- Raczej na to nie licz, przyjacielu. W końcu w tych sprawach ważna jest hierarchia, wiesz, a co do tego, byś ty miał poprowadzić pannę Brabant... - Zawiesił głos i uśmiechnął się szyderczo.

Lavender spostrzegła, że Barney się zarumienił, usłyszawszy tę zniewagę, i zobaczyła błysk wściekłości w jego oczach, zanim stłumił gniew i posłał tamtemu obojętny uśmiech.

- Dziękuję za radę, mój drogi. - Nietrudno było wy-

czuć sarkazm w jego głosie. - Chciałem jednak zauważyć, że zwracałem się do panny Brabant.

Z powrotem odwrócił się do Lavender. Przez twarz przemknął mu cień niepewności, po czym wyprostował ramiona, zupełnie jakby przygotowywał się na przyjęcie ciosu. Ten krótki moment, który pozwolił Lavender dostrzec jego wrażliwość, sprawił, że przejęło ją dziwne, nieznanne dotychczas uczucie.

- Dziękuję panu, panie Hammond - odparła, lekko drżącym głosem. - Będę zaszczycona, mogąc z panem zatańczyć.

Muzycy już zaczęli grać. Barney podał jej ramię i poprowadził do najbliższej grupy.

- Dziękuję za życzliwość, panno Brabant - powiedział cicho, gdy zajęli swoje miejsca. - To było niezwykle szlachetne z pani strony.

Lavender już zdążyła dojść do siebie, toteż nie zamierzała znosić tej pokory w jego głosie.

- Nie jestem ani szlachetna, ani miła, panie Hammond - powiedziała rzeczowo. - Chyba że chodzi o ogólnie przyjęte znaczenie tych słów. Naprawdę chciałam z panem zatańczyć!

Barney przez chwilę wyglądał na zaskoczonego tak szczerym wyznaniem, ale szybko odzyskał głos.

- Cóż, w takim razie...

- I proszę już mi nie dziękować - zakończyła, dochodząc do wniosku, że jak ma wisieć, to niech przynajmniej wie za co - bo nie zrobiłam nic poza pofolgowaniem własnym skłonnościami. Właśnie tak. A teraz znów możemy się zachowywać swobodnie.

Twarz Barneya była poważna, wręcz posepna. Wyglądało na to, że nie potrafił tak łatwo zapomnieć o zniewagach pana Saltona.

- Czy to oznacza, że nie osądza pani ludzi tak jak reszta świata, panno Brabant, po randze, pozycji społecznej i tak dalej?

- Co za bzdury! - wypaliła Lavender, świadoma, że mówi zupełnie jak jej nieżyjący ojciec, admirał Brabant.

- Ładnie by wyglądało, gdybym stosowała się do zasad obowiązujących w towarzystwie, skoro należę do tych, którzy najbardziej je potępiają, bo tak się składa, że wolę książki od pozorów.

Barney wypogodził się, a nawet roześmiał.

- A jaką pozycję zajmują umiejętności i intelekt w oczach świata, panno Brabant?

- Cóż, bardzo poślednią, tak sędzę! Umiejętności kobiety są godne pochwały pod warunkiem, że ograniczają się do rysowania i gry na fortepianie, ale i tak nie mogą zastąpić urody.

- Mówi pani bez ogródek - skonstatował Barney z namysłem.

- Chodzi panu o zasady obowiązujące w społeczeństwie? Są tak głupie i zmienne, że zasługują na pogardę! - Lavender uśmiechnęła się do niego. Między jego brwiami dostrzegła niewielką zmarszczkę, która znikła, gdy ich spojrzenia się spotkały. Lavender ni stąd, ni zowąd zrobiło się bardzo gorąco. Raptownie umilkła, udając, że koncentruje się na krokach tańca.

Taniec z Barneyem rozpraszał ją bardziej, niż mogła

się spodziewać; dotyk jego ręki przywołał wspomnienia ich spotkania w lesie, a jego bliskość wprawiła ją w zakłopotanie tak samo jak wtedy. Lavender nawykła do kontroli nad swoimi emocjami, toteż uznała tę słabość za wielce niepokojącą.

- Może powinniśmy dostosować się do konwenatów i zmienić temat rozmowy, panie Hammond - powiedziała niespodziewanie. - Dobrze się pan bawi?

- Doskonale. Lord i lady Covingham są bardzo mili.

- Barney natychmiast wszedł w nową rolę. - Pani przyjaciółka, panna Covingham, to czarująca panna, nieprawdaż?

Lavender ogarnęło to samo złe przeczucie, które pamiętała z przyjęć i balów podczas pobytu w Londynie. Ilekroć dochodziła do wniosku, że wreszcie poznała sympatycznego mężczyznę, z którym da się rozsądnie porozmawiać, wychodziło na jaw, że on chciał rozprawić wyłącznie o jej towarzyszkach, naturalnie ładniejszych od niej. To, że Barney Hammond zachował się dokładnie tak samo, tylko pogorszyło sytuację.

- Och, Frances to najmiłsze stworzenie, jakie można sobie wyobrazić - przytaknęła, pozornie lekkim tonem - i moja dobra przyjaciółka. Od pierwszego dnia naszego pobytu w Riding Park.

- Powiedziała mi, że bardzo panią podziwia - oznajmił Barney z uśmiechem. - Przyznała, że chciałaby być przynajmniej w połowie tak starannie wykształcona, jak pani, choć zważywszy pani niedawne uwagi, zachodzi obawa, że nie potraktuje pani tego jak komplement!

Lavender uśmiechnęła się.

- Cóż, wiem, że Frances nie zwykła owijać w bawełnę, toteż jestem wdzięczna, że ceni moje umiejętności. Skoro jednak jej guwernantką była Caro, nic dziwnego, że dostrzega wartość wiedzy.

Rozległy się końcowe takty muzyki, tancerze wymienili ukłony i dygi, po czym nadeszła pora kolacji. Z drugiego końca sali pomachała do nich Caroline.

- Chcielibyście zjeść kolację z nami? - spytała, podchodząc i wsuwając rękę pod ramię Lavender. - Właśnie przytrafiło mi się coś zabawnego. Rozmawiałam z tym wstrętnym panem Saltonem. Był nawet całkiem miły do chwili, kiedy powiedziałam, że kiedyś pracowałam u Covinghamów. Wówczas drgnął, skłonił się lekko i powiedział, że omyłkowo wziął mnie za przyjaciółkę rodziny. Po czym szybko odszedł.

- A ja nie zdążyłem go zmieść z powierzchni ziemi - dokończył Lewis, z pewnym żąłem. - Bezczelny młokos!

- Annę mówiła mi, że niedawno odziedziczył majątek po wuju i napawa się swoim znaczeniem - dodała Caroline. - Mniejsza o to. Porozmawiajmy lepiej o czymś przyjemniejszym.

Gawędzili miło o Northampton, miejscowych rozrywkach i koncertach, aż kolacja dobiegła końca i Barney przeprosił towarzystwo, by zatańczyć z kolejną z protegowanych Annę Covingham.

- Pan Hammond ma dziś wielkie powodzenie - zauważyła Caroline, pozornie zdawkowo - i widać, że czuje się w tym otoczeniu jak u siebie. To doprawdy niezwykle młody człowiek. Nie sądzisz?

- O, tak, jest bardzo miły - przytaknęła Lavender skwapliwie, mając nadzieję, że w jej głosie nie wyczuwa się, iż obojętność jest udawana.

- No, nie brzmi to zbyt entuzjastycznie - zauważyła Caroline z błyskiem w oku.

Pech chciał, że pod koniec balu Lavender znów spotkała nieuprzejmego pana Saltona. Poszła na górę wziąć szal dla Caroline i w drodze powrotnej zatrzymała się w długiej galerii, chcąc się przyjrzeć portretom Covinghamów. Wisiał tam między innymi portret lady Annę jako młodej dziewczyny, w którym bez trudu dostrzegła podobieństwo, portret lorda Freddiego, a obok niego niewielki wizerunek jakiegoś dżentelmena w złoczonej ramie. Byłaby go minęła, bo wisiał w nieoświetlonym rogu, ale coś przyciągnęło jej uwagę. Podeszła bliżej.

Dżentelmen na obrazie był młody i ciemnowłosy, o nieprzeniknionym wyrazie twarzy, która wydała jej się dziwnie znajoma. Lavender właśnie zastanawiała się, kiedy i gdzie go widziała, gdy tuż obok usłyszała kroki i czyjeś ramię beczelnie objęło ją w tali. Odwróciła się szybko, stając twarzą w twarz z poczerwiałym panem Saltonem i wzdrygnęła się, bo poczuła odór wina w jego oddechu.

- Panna Brabant! Kręci się tu pani celowo, szanowna pani?

Lavender próbowała dać krok do tyłu, ale trzymał ją mocno.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi! - krzyknęła obrzydzeniem. - Proszę zostawić mnie w spokoju!



Pan Salton znacząco łypnął okiem.

- Nie ma potrzeby udawać wstydlivej, moja panno. Wiem, że czekała pani na mnie.

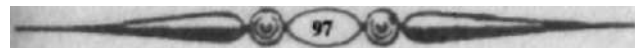
Niezdarnie pochylił się do przodu i Lavender poniewczasie uświadomiła sobie z przerażeniem, że zamierzają pocałować. Gwałtownie odwróciła głowę i jego wilgotne wargi dotknęły jej szyi. Zatrzęsa się z oburzenia.

- Panie Salton, zapomina się pan! Proszę mnie natychmiast puścić! - Próbowwała nadać swoim słowom ton władczości, ale zdawała sobie sprawę, że nie za bardzo jej to wychodzi, bo z oburzenia i zaskoczenia brakowało jej tchu. Walczyła, kopiąc go po łydkach najmocniej, jak zdołała w swoich balowych pantofelkach i odpychała jego nachalne ręce. To postępowanie, aczkolwiek zapewne niezbyt bolesne, okazało się skuteczne. Już i tak zarumienione oblicze pana Saltona poczerwieniało jeszcze bardziej, a wreszcie zawył z wściekłości, chwytając Lavender za nadgarstek.

- Ty mała złośnico! Zapłacisz za to.

- Czy mogę pani w czymś pomóc, panno Brabant? Pani Brabant posłała mnie po panią. Jest trochę zaniepokojona, bo znikła pani na dość długi czas.

Lavender na jedną pełną udreki chwilę zamknęła oczy. Ten spokojny głos mógł należeć tylko do Barneya Hammonda, któremu najwyraźniej przychodziło jej z pomocą weszło ostatnio w krew. Twarz jej płonęła z zakłopotania i wściekłości, że zastał ją w tak pożałowania godnej sytuacji. Pan Salton jeszcze pogorszył sprawę, ponieważ był tak pijany, że ledwie kojarzył, co się dzieje, i wciąż



ściskał jej nadgarstek. Zobaczyła, jak Barney zrobił srogą minę na widok podchmielonego Saltona, wciąż trzymającego ją za rękę. Kiedy podjęła kolejną próbę uwolnienia się, Barney odezwał się zdecydowanym tonem:

- Puść tę damę, Salton. Narzucasz się.

Pan Salton oderwał dłoń od nadgarstka Lavender i odwrócił się chwiejnie, stając przodem do nowego przeciwnika.

- Tylko nie waż się mówić mi, co powinienem robić, Hammond - rzekł szyderczo. - Co napuszony syn bławatnego kupca może wiedzieć o kulturalnym towarzystwie?

Na twarzy Barneya nie drgnął ani jeden mięsień.

- Moi przodkowie nie mają nic wspólnego z twoimi złymi manierami, Salton. Odsuń się.

Pan Salton zrobił krok do tyłu i gwałtownie zamachnął się na Barneya. Cios chybił celu, bo Salton był na tyle pijany, że ledwie widział. Lavender gwałtownie wciągnęła powietrze. Przez moment Barney robił wrażenie tak niebezpiecznego, że była pewna, iż zamierza uderzyć Saltona, a co więcej, że jego cios okaże się o wiele precyzyjniejszy. Barney zawahał się, położył rękę na ramieniu Saltona i po prostu pchnął młodszego mężczyznę. Wypity przez tamtego alkohol dopełnił dzieła. Salton zachwiał się, odbił od krawędzi framugi okiennej, po czym bezwładnie osunął się na ziemię. Lavender przycisnęła dłoń do ust.

- Och, nie! Jakie to straszne!

- Ale nieskończenie lepsze niż mogłoby być. - Barney zachował kamienny wyraz twarzy.

Przeszedł kilka kroków w jej kierunku.

- Mam nadzieję, że nic się pani nie stało, panno Brabant?

- Nic a nic, sir. Dziękuję za pospieszenie z pomocą. Przykro mi, że okazało się to konieczne.

- Mnie też - powiedział Barney dość ponuro. - Jeśli ktoś się snuje po słabo oświetlonych korytarzach, panno Brabant...

Lavender, która jeszcze nie zdołała w pełni otrząsnąć się z szoku i zakłopotania, gwałtownie zareagowała na tę niesprawiedliwość. Do tego momentu nawet nie przyszło jej do głowy, że ona ponosi jakąkolwiek winę za to, co się stało.

- Po prostu zatrzymałam się na chwilę, aby obejrzeć portrety. Nie mogłam wiedzieć, że da to panu Saltonowi prawo do narzucania mi się ze swoją osobą.

- Prawo nie, ale okazję na pewno - skorygował Barney, wymownie unosząc przy tym ciemne brwi. - Zdaje się, że pani ustawicznie pakuje się w tarapaty, nieprawdaż, panno Brabant? Spaceruje pani nocą po lesie, wpada w pułapki w biały dzień, prowokuje pijanego uwodziciela.

Lavender poczerwieniała z wściekłości. Nieopatrznie dała krok do przodu.

- Jak pan śmie! Pańskie spostrzeżenia dotyczące mojego zachowania są wysoce nieuprzejme.

Uświadomiła sobie, że pod wpływem gniewu przybliżyła się do niego o wiele bardziej, niż zamierzała i że gwałtownie budzi się w niej żywa świadomość jego obecności. Kolejne słowa uwięzły jej w gardle i tylko

wpatrywała się w te ciemne oczy, które nagle znalazły się tak blisko jej własnych. Uchwyciła moment, kiedy wyraz twarzy mu się zmienił. Teraz skupiał wzrok na niej, co miało ten skutek, że jej serce gwałtownie przyspieszyło rytm. Postąpił krok ku niej, ostatni krok. Stali teraz bardzo blisko siebie. Lavender nie mogła oderwać od niego wzroku.

Ręka Barneya spoczęła na jej ramieniu, kiedy na kamiennej posadzce korytarza dały się słyszeć czyjeś kroki. Raptownie odskoczyli od siebie i chwila minęła.

Usłyszeli głos Caroline.

- Tu jesteście! Już straciłam nadzieję, że dostanę mój szal. - Urwała, bo jej spojrzenie spoczęło na leżącej bez ruchu postaci pana Saltona. - O Boże... jak się domyślałam, to pana dzieło, panie Hammond?

Lavender usłyszała, jak Barney bierze głęboki oddech.

- Obawiam się, że niewiele się do tego przyczyniłem, milady - odezwał się. - Ten pan był na tyle pijany, że ledwie trzymał się na nogach.

Caroline cmoknęła z dezaprobatą.

- Cóż, niech tu leży, póki służący lorda Freddiego go stąd nie wyrzucą. Panie Hammond, czy będzie pan tak miły i zaprowadzi nas z powrotem na salę balową?

- Z przyjemnością. - Dwornie cofnął się o krok, przepuszczając Lavender przodem. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Barney unika patrzenia wprost na nią. Na jego twarzy malowała się obojętność.

- Chyba udam się na spoczynek - powiedziała szyb-

ko, - Nie mam ochoty więcej tańczyć. Dobrej nocy, panie Hammond. Dobrej nocy, Caro.

Uciekła, zanim Caroline zdążyła zaproponować, pośpiesznie pobiegła korytarzem do swego pokoju i tak jak stała, rzuciła się na łóżko. Leżąc na plecach, wpatrywała się w baldachim nad głową. Serce wciąż biło jej jak szalone, a podniecenie burzyło krew.

Jeszcze chwila, a Barney Hammond na pewno by ją pocałował. Była o tym przekonana. Chciała, żeby to zrobił, pragnęła znaleźć się w jego ramionach. Wciąż jeszcze drżała na tę myśl, wciąż czuła dotyk jego dłoni i widziała pełen napięcia wyraz jego ciemnych oczu. Przewróciła się na brzuch, wciskając rozpaloną twarz w poduszkę. Ten sam dreszcz przebiegł jej ciało, kiedy zobaczyła Barneya w stawie pośrodku lasu. Był tak niesamowicie przystojny, jak twierdziła Frances Covingham, nie dało się temu zaprzeczyć.

Leżała, wdychając słodki zapach lawendy unoszący się z pościeli i nasłuchując cichych dźwięków muzyki dobiegających z sali poniżej. Co się z nią działo? Podziwiać męczyznę o ujmującej powierzchowności albo chcieć porozmawiać z mężczyzną rozsądnym i prawnym to jedno. Ulec fascynacji, zarówno fizycznością, jak i intelektem, to zupełnie co innego. Nigdy dotąd nie doświadczyła czegoś podobnego, toteż wydało jej się to wyjątkowo krępujące. Lavender leżała bez ruchu, przywołując na pamięć dotyk Barneya, jego głos. Zadrżała. Wiedziała, że jest o włos od zakochania się i ta świadomość napełniła ją przerażeniem. Bo mimo swoich śmiałych wypowiedzi przeciwko snobom, zdawała sobie

sprawę, że tak nieodpowiednia partia nie wchodzi w grę.

- Och, Lavender, mówię ci, zakochałam się i jestem taka nieszczęśliwa! - Frances Covingham ze zdenerwowania podarła maleńką białą chusteczkę i była zmuszona pożyczyć znacznie większą chusteczkę od Lavender, aby otrzeć łzy. - Mama mnie ostrzegła. Delikatnie, jednak ostrzegła, że on jest za stary i całkiem nieodpowiedni dla mnie! Jestem tak zrozpaczona, że chyba rzucę się do jeziora!

Słowom Frances towarzyszyło spojrzenie przez ramię w kierunku jeziora w Riding Park, którego wody migotały lekko w słońcu. Było popołudnie, nazajutrz po balu. Obie siedziały na ławeczce, strategicznie ustawionej pod płaczącą wierzbą. Rodzina kaczek trzepotała skrzydłami i rozpryskiwała wodę na płyciźnie. Wokół panował spokój, ale Frances była daleka od spokoju. Jakiś czas temu zdecydowanie odciągnęła nową przyjaciółkę od reszty towarzystwa, żeby jej powierzyć tajemnice swego serca, ale Lavender nie czuła się najlepiej w roli powiernicy.

Nie za bardzo się wyspała, bo budziła się co chwila, a jej sny wypełniały obrazy Barneya Hammonda. Zdawała sobie sprawę, że w przeciwieństwie do Frances, która wprawdzie wyglądała na pogrążoną w smutku, ale przy tym była pełna wdzięku, ona sama robi wrażenie wy mi zerowanej. A wysłuchiwanie, jak Frances opowiada o swoich gorących uczuciach dla Barneya, omal nie złamało jej serca.

- Nigdy dotąd nie spotkałam tak interesującego

i ujmującego dżentelmena-ciągnęła Frances, a po policzku spłynęła jej kolejna łza. - Ostatniej nocy... to musiało być już po tym, jak udałaś się na spoczynek, najdroższa Lavender - usiedliśmy i rozmawialiśmy parę godzin! Było mi przyjemnie i byłam taka szczęśliwa.

Żałośnie pociągnęła nosem.

- Może twoja matka ustąpi. - Lavender czuła się jak zdrajczyni, choć nie była do końca pewna, czy wobec siebie, czy wobec przyjaciółki. - Chociaż, Frances, muszę przyznać, że lady Annę ma słuszość. Twój dziadek był księciem, a ty jesteś doskonałą partią, podczas gdy on...

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby być dla mnie nieodpowiedni! - sprzeciwiła się Frances z żarem. - Jest przystojny, potrafi się znaleźć w towarzystwie, a poza tym jego rodzina jest tak samo dobra, jak moja!

Lavender zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy coś uszło jej uwagi. Przyjaciółka wyglądała na tak zrozpaczoną, że nie chciała przyczyniać jej smutku, lecz nie mogła przejść do porządku dziennego nad tym, co właśnie usłyszała.

- A dziś rano mama oznajmiła mi, że nie wolno mi się z nim widywać - zakończyła Frances. - Jej zdaniem jestem za młoda, aby wychodzić za męża, a on ma reputację flirciarza.

Lavender popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Barneyowi Hammondowi można było zarzucić różne rzeczy, ale z pewnością nie to, że jest flirciarzem.

- Flirciarzem! Niemożliwe! Nigdy nie zauważyłam, żeby pan Hammond zachowywał się w ten sposób.

Frances szeroko otworzyła zielone oczy.

- Pan Hammond! Cóż, naturalnie, że pan Hammond nie jest flirciarzem. Ale słyszałam, że mówi się tak o panu Oliverze, aczkolwiek przy mnie - tu uroczo się zarumieniła - zachowywał się niezwykle przyzwoicie, choć nie miałabym nic przeciwko temu, gdyby tak nie było!

Lavender znów zmarszczyła brwi. Zaczynała ją boleć głowa. Słońce świeciło bardzo mocno.

- Przepraszam, Frances, czy to znaczy, że obiektem twoich uczuć jest pan Oliver, nie pan Hammond? Myślałam... - Urwała w pół zdania, dochodząc do wniosku, że nie ma sensu komplikować sprawy jeszcze bardziej. Frances już i tak wpatrywała się w nią oczami szeroko otwartymi z niedowierzania.

- Oczywiście, że pan Oliver! Któż by inny? Doprawdy, Lavender, czyżbyś nie słyszała słowa z tego, co mówiłam?

- Bez wątpienia to bardzo irytujące z mojej strony - zgodziła się pokornie Lavender - ale trochę się pogubiłam. Przecież zatańczyłaś kilka razy z panem Hammondem.

- Tak, i z panem Pottsem, i z tym obrzydliwym panem Sal tonem! Tylko co to ma do rzeczy, wytłumacz mi? Siedziałam i rozmawiałam z panem Olive'em... Jamesem - znów się zarumieniła - kilka godzin, a on był taki czarujący i taki dla mnie miły. Ale mama mówi, że to niepoprawny flirciarz i że nie pozwoli, by kolejna córka wyszła nieodpowiednio za męża i że - cicho pociągnęła nosem - nie wolno mi się z nim widywać!

Bezradnie trzymała w ręku przemoczoną chusteczkę, toteż Lavender pogrzebała w swojej ozdobnej torebce i wyciągnęła następną.

- Proszę bardzo. Jak dobrze się złożyło, że miałam przy sobie dwie chusteczki. Tylko błagam, nie płacz już, Frances, bo od tego nos robi ci się czerwony. Co by było, gdyby zajrzał tu pan Oliver z kurtuazyjną wizytą i zastał cię w takim stanie, z czerwonymi oczami?

Lavender wiedziała, że mówiąc tak, wydaje się nieczuła, ale był to bez wątpienia najlepszy sposób uspokojenia Frances, która na myśl, że mogłaby brzydko wyglądać, otarła oczy po raz ostatni i wzięła głęboki oddech.

- Sądzę, że masz rację. Melancholijna mina... bez łez... to jest to!

- Właśnie - przytaknęła Lavender z ożywieniem.
- Naprawdę mi przykro, że musisz cierpieć za brak rozwagi twojej siostry, Frances. Może lady Annę zmieni zdanie, kiedy zobaczy, jaka jesteś rozsądna. A jeśli pan Oliver okaże się stały w uczuciach - cóż, kto wie?

Frances chwyciła ją mocno za rękę.

- Lavender, zaniesiesz panu Oliverowi list ode mnie? Mogłabyś dać go panu Hammondowi, bo przecież się przyjaźnią, a pan Hammond mógłby przekazać go dalej.

Lavender zamarła. Najwidoczniej dla Frances rozsądne zachowanie oznaczało coś całkiem innego niż dla niej.

- Nie wydaje mi się, żeby to był dobry pomysł. Pomysł tylko, co by się stało, gdyby twoja mama odkryła, że prowadzisz potajemną korespondencję.

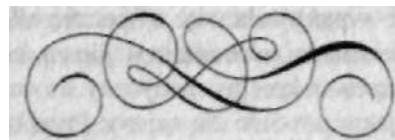
- Och, proszę! - Wielkie zielone oczy Frances wpatrywały się w nią błagalnie. - Przecież w pisaniu listów nie ma niczego złego. Wręcz przeciwnie, mama powinna pochwalić mnie za pracowitość, bo wie, że nie cierpię pisać.

Lavender wierciła się niespokojnie na ławeczce. Nie widziała zniechęcania kogokolwiek, wiedziała jednak, że podsycanie nadziei Frances nie ma sensu.

- Nie wydaje mi się, żeby twoja matka patrzyła na to w ten sposób. W dodatku to naprawdę nie jest dobry pomysł...

Lavender przerwała. Niełatwo jej przychodziło nakłanianie Frances do rozsądku, kiedy pomysł sam w sobie miał pewne zalety. Odgrywać rolę posłańca, krążącego z listami między Frances a Jamesem Oliverem i mieć pretekst do widywania Barneya Hammonda bez konieczności kupowania kolejnej pary niepotrzebnych rękawiczek... Energicznie pokręciła głową. Wiedziała, że teraz to ona zachowuje się niemądrze. Jeśli James Oliver był nieodpowiednim kandydatem do ręki wnuczki księcia, Barney Hammond był jeszcze mniej odpowiedni dla córki admirała. Poza tym Frances przynajmniej miała jakieś podstawy do przypuszczeń, że jej uczucia zostały odwzajemnione. Lavender wpatrywała się w mieniące się wody jeziora, uświadamiając sobie ze smutkiem, że ona nie ma żadnych przesłanek do uwierzenia, że Barney ją lubi. Był wobec niej uprzejmy,

nawet miły, a ona wyobraziła sobie, że chciał ją pocałować, ale to była... wyobraźnia. Czas najwyższy przyjąć do wiadomości.



ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyjechali z Riding Park dwa dni później, żegnani życzeniami szczęśliwej podróży i obietnicami odwiedzin ze strony całej rodziny Covinghamów. Frances wyściskała Lavender i przyrzekła, że będzie pisać, na co najbliżsi nie omieszkali jej przypomnieć, że na całym świecie nie znalazłoby się nikogo, kto by bardziej od niej nie znosił pisania listów. Covinghamowie zamierzali zostać jeszcze dwa do trzech tygodni na wsi, a następnie udawali się do Londynu na sezon jesienny i Frances nie wiedziała, czy ma się cieszyć z czekającego ją debiutu w towarzystwie, czy smucić z powodu nieuchronnego rozstania z panem Oliverem.

Powóz był wygodny, toteż Caroline trochę się zdrzemnęła podczas niespiesznej jazdy wąskimi wiejskimi drogami. Lavender wyglądała przez okno, a Lewis czytał książkę, jedną z tych, które odebrał w księgarni w Northampton, gdzie się na chwilę zatrzymali. Przy okazji wziął też paczkę dla Barneya Hammonda, bo księgarz, wiedząc, że Brabantowie mieszkają w Steep Abbot, spytał, czy nie mieliby nic przeciwko temu, by ją dostarczyć. Lavender wolałaby, żeby Lewis odmówił, ale brat, jak zwykle uczynny, ochoczo podjął się spełnienia prośby.

Lavender wpatrywała się w paczkę dla Barneya i wbrew sobie samej zachodziła w głowę, co też może zawierać. Zapewne kolejny medyczny słownik dla matki, a może jakąś powieść dla siostry. Przypomniała sobie, jak mówił o swoich studiach, i nagle zaczęła się zastanawiać, czy na pewno są to dzieła naukowe i czy to nie kolejny z sekretów Barneya. Może wieczorami przesiadywał w salonie pięknego domu, który Hammondowie mieli w Abbot Quincey, czytając Byrona. Próbowwała to sobie wyobrazić - co więcej, przez chwilę usiłowała ujrzeć tam również siebie, przed kominkiem, ze szkicami roślinek i licznymi opracowaniami z dziedziny botaniki. Wtem wyobraźnia postawiła jej przed oczami postać siedzącego tuż przy niej Arthura Hammonda. Aż się wstrząsnęła na ten widok. To było absolutnie nie do przyjęcia. Ta szczęśliwa młoda dama, który Barney uczyni swoją żoną, będzie musiała go bardzo kochać, by pogodzić się z faktem, że ma takiego teścia.

Lavender rozejrzała się po okolicznych polach. Żywopłoty i drzewa zmieniały barwy z czerwonej i złotej na brudny zimowy brąz. Zazwyczaj lubiła nadejście jesieni, teraz jednak świadomość przemijania przejęła ją smutkiem. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła, że Lewis przestał czytać i wpatruje się w nią z powagą.

- O co chodzi, siostrzyczko? Wyglądasz jakoś podejrzanie.

Lavender uśmiechnęła się, słysząc to określenie z czasów dzieciństwa.

- Zapewne skutek rozstania z dobrymi znajomymi.

Nie spodziewałam się, że nasz pobyt w Riding Park okaże się tak przyjemny, bawiłam się tam wprost doskonale.

Lewis skinął głową.

- To prawda, było wyjątkowo miło. A teraz znów jesteśmy skazani na swoje własne towarzystwo.

- Cóż, wystarczy! - Lavender nagle poweselała. - Chętnie znów zobaczę stare kąty, a poza tym, jeśli będzie nam brakowało towarzystwa, zawsze możemy zaprościć kuzynkę Julię.

Roześmieli się jednocześnie.

- Śmiecie się, śmiecie - powiedziała Caroline sennie, prostując się w swoim kąciku - ale na własne uszy słyszałam, jak zapowiadała, że nas odwiedzi. A w końcu jest naszą kuzynką, mimo wszystkich swoich przywar!

Zaczęli rozmawiać o balu.

- Dziwne, prawda - zauważyła Caroline, gdy wówczas posuwał się naprzód, podskakując na wybojach i nabierając szybkości - jak Arthur Hammond mógł spłodzić tak czarującego syna jak Barney? Można byłoby pomyśleć, że nie mają ze sobą nic wspólnego.

Słowa bratowej przywołały Lavender na pamięć pewien obraz z przeszłości, obraz jej samej pijącej popołudniową herbatę w towarzystwie Nanny Pryor w małym domku na krańcu posiadłości, dokąd niania przeniosła się na stare lata. Było to dwa lata temu, może trzy. Gawędziły o tym i owym i w pewnej chwili Lavender mimochodem napomknęła, jakie to dziwne, że Hammondowie mają charakterystyczne ciemne włosy i szła-

chętnie rysy, z wyjątkiem samego Arthura Hammonda, jasnowłosego i rumianego. Nanny Pryor nalała herbaty do porcelanowych filiżanek w kwiaty i powiedziała, że wszyscy mężczyźni z rodziny Hammondów byli jasnowłosi, dopóki dziadek Arthura Hammonda nie poślubił Hiszpanki i że Barney Hammond odziedziczył urodę po matce. Lavender doskonale pamiętała tajemniczą minę Nanny Pryor, minę, która zawsze poprzedzała jakąś sensacyjną plotkę. A potem niania rzeczywiście oświadczyła, że tak naprawdę Barney Hammond jest siostrzeńcem Hammonda, nie jego synem.

- Słyszałam, że Barney nie jest synem Hammonda - powiedziała Lavender w zamyśleniu, zatrzymując się w pół zdania na widok zdumionych min Lewisa i Caroline. - W każdym razie takie krążą pogłoski - dodała z pewnym wahaniem - ale nie mam pojęcia, czy to prawda.

Lewis zmarszczył brwi.

- Nigdy nie słyszałem tej historii, Lavender. Skąd o tym wiesz?

- Od Nanny Pryor - wyjaśniła, rumieniąc się ze wstydu, że powtarza plotki. - Niania powiedziała, że matką Barneya była Eliza Hammond, a to by znaczyło, że Arthur Hammond jest jego wujem, nie ojcem. Nikt nie wiedział, kto jest prawdziwym ojcem Barneya, są jednak tacy, którzy twierdzą, że to markiz Sywell.

Lewis gwizdnał przez zęby.

- Cóż, w okolicy jest mnóstwo bękartów Sywella, to fakt! A co się stało z Elizą Hammond?

- Umarła tuż po porodzie i nikomu nie wyjawiała

imienia swego kochanka - odparła Lavender. - W każdym razie tak powiedziała Nanny Pryor. Jak widać, Hammondowie uznali dziecko za swoje i nigdy do tego nie wracali. Prawie zapomniałam o całej historii, aż do teraz.

Caroline uniosła brwi.

- Intrygujące! To z pewnością by wyjaśniało, dlaczego Hammond traktuje Barneya raczej jak wybijającego się kierownika sklepu niż rodzzonego syna.

Pozostali spojrzeli na nią pytająco.

- Cóż - ciągnęła Caroline - czyżbyście nigdy nie zauważyli, że Hammond posłał swego drugiego syna - swego najstarszego syna, jeśli ta historia jest prawdziwa - na uniwersytet, podczas gdy biedny Barney musi pracować w sklepie? Hammondowi tak dobrze się powodzi i tak się pnie w górę, że wychowuje swoje dzieci na damy i dżentelmenów. Chłopcy mają guwernera, dziewczynki guwernantkę, a ich ojciec najwyraźniej sądzi, że sklep nie jest dla nich wystarczająco dobrym miejscem. Swoją drogą, jaki człowiek uważałby inaczej, gdyby osiągnął to co on? A dzięki takiemu ustawienu spraw ma wszystko co najlepsze w obydwu światach, bo podczas gdy rodzone dzieci mogą odziedziczyć jego fortunę, Barney będzie tu tkwił i prowadził interesy.

Lavender odwróciła się i wyjrzała przez okno. Nie chciała, żeby twarz ją zdradziła. Wcześniej nie poświęcała tej starej historii wiele uwagi, bo w wioskach otaczających opactwo zawsze krążyły plotki, ale teraz zaczęła się zastanawiać - i oburzyła się w imieniu Bar-

neya. Nie widziała powodu, dla którego miałaby cierpieć podwójnie, raz przez to, że był nieślubnym dzieckiem, a po drugie, bo był zobowiązany pracować u Hammonda i w ten sposób zarabiać na utrzymanie. To by tłumaczyło, dlaczego miał tak wiele sekretów przed swoją rodziną, a właściwie przybranymi rodzicami, od których różnił się jak dzień od nocy.

- Nie widzę wielu korzyści wynikających z faktu, że jest się kolejnym bękartem Sywella - mówił właśnie Lewis. - Z tamtej strony raczej nie da się odziedziczyć ani urody, ani wdzięku!

- Jak myślicie, czy kiedykolwiek się dowiemy, kto zamordował markiza? - spytała mimochodem Caroline, wstrząsając się lekko. - Okropność! Na samą myśl o tym czuję, jak ciarki chodzą mi po plecach!

Lavender znów odwróciła się do okna. W tej rozmowie z pewnością nie zamierzała brać udziału. Znadto gryzło ją sumienie. Były pewne fakty, o których wiedziała, takie, o których chętnie by posłuchał przedstawiciel władz prowadzący dochodzenie w sprawie morderstwa markiza. Ale ona nigdy o nich nie powie.

- Doprawdy, staliśmy się takimi samymi plotkarzami jak wszyscy inni w tym kraju - zauważyła Caroline, ziewając. - To na pewno wpływ Covinghamów! Boże, ależ jestem zmęczona! Na szczęście jesteśmy już prawie w domu!

Powóz zbliżał się właśnie do Steep Abbot. Lavender ulokowała się wygodniej na siedzeniu i obserwowała drzewa lasu Steep, tłoczące się na poboczach drogi. W

oddali widać było zakole rzeki. Ten znajomy, jakże piękny widok nieco złagodził ból w jej sercu. Jednakże nie miała najmniejszych wątpliwości, że lekarstwo na tę niedyspozycję znajduje się w jej własnych rękach. Powinna za wszelką cenę unikać Barneya Hammonda, przynajmniej do czasu kiedy ta bezsensowna słabość do niego przeminie. Dopiero wówczas będzie mogła traktować go tak jak wszystkich innych. Teraz było to niemożliwe.

Następnego dnia Lavender udała się na spacer do Abbot Quincey, wbrew temu, co sobie obiecała i co leżało w jej własnym interesie. Lewis początkowo miał zamiar zaprząć dwukólkę i objechać posiadłość, a potem zajechać do Abbot Quincey, aby dostarczyć książki Barneyowi i odbyć parę innych wizyt. Tak się jednak złożyło, że z samego rana przyjechał do niego dzierżawca Hewlton, z farmy odległej o trzy mile od dworu, chcąc omówić dość pilną sprawę zwałonego drzewa, które uszkodziło mur otaczający posiadłość. Obaj mężczyźni zamknęli się w gabinecie, a Caroline delikatnie zasugerowała szwagierce, aby udała się z wizytą do pani Perceval - a przy okazji przekazała książki.

Lavender chciała odmówić, ale nie przychodziła jej do głowy żadna sensowna wymówka. Z jednej strony miała ochotę zwierzyć się Caroline i opowiedzieć jej o tym, co się z nią dzieje, z drugiej nie mogła zebrać myśli i nie miała pojęcia, co właściwie miałaby powiedzieć. Ostatecznie zgodziła się i wzięła paczkę z książ-

kami dla Barneya i prezent dla lady Perceval, czyli kosz jabłek.

Barney obsługiwał klientów w sklepie. Kiedy weszła do środka, właśnie podawał pakunek jakiejś starszej pani, a następnie wyszedł zza kontuaru, by przytrzymać jej drzwi i pożegnać się z nią paroma miłymi słowami i uśmiechem. Lavender skryła się za belą nankinu przed wzrokiem Arthura Hammonda, który dotąd jej nie spostrzegł. Zaczekała, aż Barney wróci na swoje miejsce, po czym wyskoczyła zza beli materiału i przechyliła się przez kontuar.

- Panie Hammond! - syknęła.

Barney uniósł brwi, z lekka rozbawiony.

- Panna Brabant? Coś nie w porządku?

Lavender zmarszczyła brwi.

- Niech się pan przybliży!

Barney posłusznie nachylił się nad kontuarem.

- Tak, panno Brabant?

- Mam dla pana książki - szepnęła Lavender. - Pomyślałam, że nie chciałby pan, żeby pański ojciec zobaczył.

Barney zerknął przez ramię na Arthura Hammonda, który właśnie drapował na słupie zwój cieniutkiego jedwabiu i nucił coś pod nosem.

- Książki z Northampton? - szepnął Barney.

Lavender przytaknęła skinieniem głowy, chociaż tak naprawdę nie skupiała się na jego słowach. Zauważyła, że Barney ma bardzo ciemne, brązowe oczy z czarnymi otoczkami wokół tęczówek. Miał też niewiarygodnie gęste, czarne rzęsy, a jego włosy sprawiały wrażenie takich miękkich i jedwabistych.

- Panno Brabant! - powiedział Barney surowo i Lavender zarumieniła się.

- Tak?

Barney wyglądał na trochę poirytowanego.

- Rozwinę teraz na ladzie zwój batystu. Proszę wsunąć książki pod spód.

Lavender sięgnęła po omacku do koszyka, zerknęła szybko na Arthura Hammonda, żeby się upewnić, czy nie patrzy, po czym wsunęła paczkę pod materiał.

- Dziękuję pani! - Barney obdarzył ją tym swoim chwytającym za serce uśmiechem. Wtem spojrzał ponad jej ramieniem i jego uśmiech znikł. - Nie odpowiada pani, panno Brabant? - spytał, nagle oficjalnie. - Może woli pani jedwab? Proszę spojrzeć, jest udrapowany na słupie.

Lavender wyczuła raczej, niż zobaczyła Arthura Hammonda, który stał tuż za nimi. Odwróciła się i posłała mu olśniewający uśmiech.

- Pan Hammond! Pański magazyn w Northampton zrobił na nas wielkie wrażenie, sir. Lady Annę Covingham twierdzi, że to najlepszy sklep w mieście. - Skierowała się w stronę drzwi, nie przestając mówić, i ku swojej uldze zobaczyła, że Barney już zdążył zsunąć książki pod ladę, poza zasięg wzroku. Arthur Hammond, pusząc się jak paw i pławiąc w jej pochlebstwach, odprowadził ją do wyjścia przy akompaniencie mnóstwa fałszywych komplementów i podziękowań, nie zauważywszy, że niczego nie kupiła.

Pospiesznie wyszła ze sklepu i ruszyła w kierunku gospody „Pod Aniołem”. Dopiero kiedy tam doszła, za-

trzymała się, by zaczerpnąć tchu. Pomyślała, że nie jest stworzona do oszukiwania, nawet tak prostego jak to przed paroma chwilami. Pod wpływem tych rozważań zaczęła się zastanawiać, dlaczego Barney musi ukrywać naukowe pasje przed ojcem, i wkrótce doszła do wniosku, że skoro Arthur Hammond postanowił, iż jego adoptowany syn powinien poświęcić całą uwagę pracy w sklepie, nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że Barney ma również inne zainteresowania.

Zwolniła kroku, a w końcu przystanęła i zaczęła poprawiać czepek. Dzień był słoneczny, lecz w powietrzu czuło się wilgoć, inaczej niż ostatnio. Naturalnie nie wzięła parasolki, mimo przypomnienia Caroline.

Zza pleców dobiegł ją odgłos kroków. Lavender odwróciła się i zobaczyła Ellen Hammond spieszącą drogą ku niej, tak samo jak kiedyś, na drugi dzień po tym, jak Lavender zaopiekowała się kotkami.

- Panno Brabant! - Ellen brakowało tchu. - Barney prosił mnie, żebym przekazała pani wiadomość. Dziękuję pani za przyniesienie książek i pyta, czy mogłaby pani zrobić to znów, kiedy przyjdzie następna dostawa. - Zarumieniła się. - Widzi pani, nasz ojciec nie pochwała studiów Barneya...

- Rozumiem - przerwała Lavender szybko. Ciekawe, co też takiego Barney studiuje w takim sekrecie. Popadła w rozterkę, bo z jednej strony to, że została wciągnięta w spisek z jego udziałem, było w jakimś sensie pociągające, nawet jeśli rzecz dotyczyła czegoś tak niewinnego jak kilku tajemniczych książek. Z drugiej zaś miała pełną świadomość, że to niemądra sła-

bość, kusząca, bo doprowadzi do kolejnych spotkań. Ale Ellen patrzyła na nią tak błagalnie, że nie potrafiła odmówić.

- Przekaż, proszę, bratu, że nie widzę najmniejszych przeszkód, by książki dla niego przychodziły na adres Hewly Manor - powiedziała.

Ellen uśmiechnęła się do niej promiennie.

- Och, dziękuję, panno Brabant. Jest pani taka miła!

Kawałek drogi przeszły razem. Ellen zwierzyła jej się z całą szczerością, jak ciężko pracuje Barney i jak czasami czyta do późnej nocy, ślęcząc nad książkami przy świecy. Lavender zrewanżowała się opowieścią o tym, że kociaki rosą jak na drożdżach, żywiąc się resztkami z kuchni, dostarczonymi im przez pobłażliwych służących i że są zbyt leniwe, aby zająć się łapaniem myszy, buszujących w stodole nieopodal domu. Rozstały się jak najlepsze przyjaciółki, przy bramie wjazdowej do Perceval Hall i Lavender przyglądała się przez chwilę, jak dziewczynka biegnie drogą, z powrotem do miasta. Ona sama szła o wiele wolniej. Nie miała wątpliwości, że rozsądniej byłoby nie zgadzać się na prośbę Barneya, dać sobie z tym spokój, unikać go. Na nieszczęście w całą sprawę wdało się jej serce, toteż rozsądek nie miał tu nic do powiedzenia.

Następna dostawa książek przyszła po dziesięciu dniach. Lavender spędziła popołudnie z Caroline w ogrodzie, gdzie bratowa naradzała się z Bekonem, ogrodnikiem, w związku z planowanymi zmianami. Lewis i Caroline zamierzali przywrócić ogrodowi wy-

gład sprzed stu lat, kiedy to Hewly było częścią posiadłości Percevalów. Wówczas, jak Belton bez ustanku im przypominał, ogrody Hewly Manor uchodziły za jedne z najpiękniejszych w hrabstwie Northampton.

Był kolejny upalny dzień i słońce stało nisko na horyzoncie, kiedy Lavender postanowiła wracać do domu. Pół dnia przebywała w sadzie, gdzie lubaszki, orzechy i renklody dawały jakieś takie schronienie przed wyjątkowo palącymi promieniami słońca. Chociaż rozmawiała ze znajomością tematu o drzewach owocowych i inspektach z Caroline i Beltonem, głowę miała zajęta obmyślaniami, jak i kiedy skontaktować się z Barneyem. Nazajutrz przypadała niedziela. Zapewne wszyscy okoliczni mieszkańcy spotkają się w kościele w Abbot Quincey, tyle że udanie się na mszę z paczką książek pod pachą raczej nie wchodziło w grę.

Wyłożona kamiennymi płytami sień dworu dawała przyjemny chłód, a poza tym panował w niej taki mrok, że Lavender z początku nie dostrzegła postaci czekającej cierpliwie u podnóża schodów. Kiedy mężczyzna się poruszył, podskoczyła i z biciem serca skonstratowała, że to Barney Hammond we własnej osobie.

- Panno Brabant! - Barney szybko podszedł i skinął głową na powitanie. - Proszę wybaczyć, że panią niepokoję. Dołożyłem wszelkich starań, żeby dostarczyć pani zamówienie zaraz po nadejściu towaru.

Podał jej paczkę zawiniętą w brązowy papier i przewiazaną wstążką. Lavender wzięła ją automatycznie, wyglądając na lekko zdezorientowaną.

- Moje zamówienie? - powtórzyła. - Ale ja nie...

Barney posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Jedna z pokojówek czyściła właśnie poręcz schodów. Wytrwale wycierała ją z kurzu i przybliżała się do nich coraz bardziej.

- Och, to zamówienie! - zawołała Lavender. Miała nadzieję, że jej okrzyk nie zabrzmiał zbyt egzaltowanie. - Jak to miło z pana strony, panie Hammond. Nie spodziewałam się, że zostanie zrealizowane tak szybko.

- Zechce pani otworzyć paczkę i sprawdzić, czy towar jest odpowiedniej jakości?

Lavender z wahaniem rozwiązała wstążkę. W środku znajdował się delikatny jak pajęczyna szal z błękitnego jedwabiu w odcieniu pasującym do jej oczu. Przeniosła wzrok na Barneya i spostrzegła, że się uśmiecha.

- Jest piękny! Ale...

- Zastanawiałem się właśnie - powiedział Barney szybko - czy nie ma pani nic do zwrotu dla mnie, panno Brabant? Wspominała pani, że ten batyst, który pani kupiła ostatnio, ma jakąś wadę.

- Och, rzeczywiście - potwierdziła Lavender, domyślając się, o co mu chodzi. Początkowo nie mogła zrozumieć, czemu Barney dostarczył jej ten szal, teraz jednak musiała przyznać, że to całkiem niezła wymówka. - Właśnie dziś obejrzałam go dokładnie. Przykro mi, ale uważam, że powinnam go panu zwrócić.

- Chętnie poczekam, jeśli byłaby pani taka uprzejma, by mi oddać towar - zadeklarował Barney. - Jednakże, jeśli to pani nie odpowiada, może... później?

Lavender zastanawiała się przez chwilę. Rosie po-

lerowała poręcz z taką energią, że Lavender zaczęła się obawiać, że zetrze nie tylko kurz. Mogła naturalnie odprawić pokojówkę i porozmawiać z Barneyem bez świadków, ale wywołałoby to tylko niepotrzebne domysły w pomieszczeniach dla służby. Z pewnością zaś nie mogła zaprosić go do salonu, bo kiedy bławatnik dostarczał towar, takie rzeczy po prostu nie miały miejsca. Przygryzła wargę. Sytuacja była wyjątkowo sztuczna, co działało jej na nerwy. A już fakt, że Barney obsługuje ją w ten sposób, uznała za wyjątkowo niewłaściwy.

- Gdyby był pan tak uprzejmy i przyszedł innym razem, sir. Muszę odnaleźć materiał i zapakować go, a nie chciałabym narażać pana na czekanie.

- Chętnie przyjdę nieco później - powiedział Barney znacząco. - Po kolacji? Może moglibyśmy się spotkać w tym samym miejscu co kiedyś, panno Brabant.

Lavender odprowadziła go do wyjścia i patrzyła, jak przecina wyżwirowany podjazd. Była przekonana, że go dobrze rozumiała. Będzie czekał na nią później w lesie - a ona z pewnością tam przyjdzie.

Kiedy wieczorem Lavender wymknęła się furtką, za którą kończyły się ogrody Hewly, a zaczynał las, Barney już czekał w cieniu drzew. Ściemniało się i niebo przybrało ciemnoniebieską barwę, a na jego tle rysowały się czarne kontury rozłożystych konarów. Barney wyszedł jej na spotkanie i przytrzymał furtkę. Lavender słyszała szmer strumyka płynącego w pobliżu i świst

wiatru w gałęziach, czuła nikły, orzeźwiający zapach lasu. Wieczór był piękny.

Bez słowa wyrównali krok i ruszyli ścieżką biegnącą skrajem lasu. Pod nogami szeleściły zesłoroczne liście. Lavender nie pozostała obojętna na radosne podniecenie i aurę tajemniczości. Ta mieszanina uderzała do głowy. Zapragnęła wziąć Barneya za rękę i biec przez las, póki starczy tchu.

- Ma pani książki? - spytał Barney.

- Tak. - Podała mu paczkę zapakowaną w brązowy papier. - Przyniosłam też szal, bo pomyślałam...

- To był prezent - wyjaśnił Barney. - W podziękę za pani pomoc, panno Brabant. - Z jego tonu wynikało, że sprawa nie podlega dyskusji.

- Och! - Lavender uśmiechnęła się nieśmiało. Jeszcze nigdy nie otrzymała prezentu od mężczyzny, toteż nie była pewna, czy powinna go przyjąć. - Cóż... - dołożyła starań, żeby jej głos zabrzmiał rzeczowo - ..oto pańskie książki! Tym razem paczka jest naprawdę ciężka! O czym traktują te wszystkie tomy, które pan kupuje, panie Hammond?

Barney zawahał się.

- To prace z dziedziny medycyny, panno Brabant. Księgarz z Northampton zamawia je dla mnie w Londynie.

- Studiujecie pan medycynę?

Barney roześmiał się.

- Nie, to nie tak! Studiuję farmację, panno Brabant, zastosowania medykamentów i leczniczych preparatów chemicznych. To dlatego, kiedy tylko mam okazję, za-

glądam do apteki w Northampton i dlatego zamawiam te wszystkie książki. - Poklepał paczkę trzymaną pod pachą. - Mam nadzieję, że to nowe londyńskie wydanie *Farmakopei*, bo czekam na nie już od dłuższego czasu.

- Od dawna studiuje pan te prace? - dociekała Lavender.

- Och, od zawsze! Mam trochę starych książek przyrodniczych o leczniczych właściwościach ziół. - Barney uśmiechnął się. - Od tego się wszystko zaczęło, a zawsze chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o lekach i ich składnikach.

- Chciałby pan wydawać lekarstwa... zostać aptekarzem?

Barney znów wybuchnął śmiechem.

- Wolałbym raczej być farmaceutą! Opracowanie nowych leków interesuje mnie bardziej niż ich przepisywanie! Tyle że jestem zupełnym samoukiem, jak zapewne pani się domyśla, i chociaż od jakiegoś czasu prowadzę korespondencję z pewnym londyńskim farmaceutą, upłynie mnóstwo czasu, zanim uda mi się zrealizować moje plany! Pewnego dnia zamierzam zostać członkiem Królewskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, ale...

Na chwilę zawiesił głos, po czym ostrożnie mówił dalej:

- Cóż, jest jeszcze sieć sklepów bławatnych, a mój ojciec ma co do mnie inne plany. - Znów przerwał. - Proszę mi wybaczyć, panno Brabant! Była pani aż nadto miła, że zgodziła się pani odbierać książki przeznaczone

dla mnie, lecz nie powinienem zanudzać pani swoimi planami.

- To nie jest nudne - powiedziała Lavender ciepło - a poza tym na pewno już pan wie, że ja też interesuję się botaniką. Z prawdziwą przyjemnością obejrzałabym pana stare książki.

- Mogę je pani pożyczyć, jeśli to panią interesuje - odrzekł Barney z uśmiechem. - Tak, nie zapomniałem, że rysowała pani rośliny tego dnia, kiedy wpadła pani w potrzask! A ja, jeśli chce pani wiedzieć, często zbieram korzenie, korę i liście do moich preparatów. Mam poważne obawy, że bez przerwy robię sobie wagary, zamiast tkwić w sklepie!

- To dlatego ciągle chodzi pan po lesie... - zaczęła Lavender, ale przerwała w pół zdania, uświadamiając sobie, że rozmowa zaczyna zbaczać w niepożądanym kierunku. Wszystkie jej myśli zdawały się nieuchronnie powracać do tego momentu, kiedy ujrzała go w leśnym stawie, a o tym wolałaby zapomnieć. - Sądziłam, że większość lekarstw wytwarza się z roślin rosnących na antypodach, a nie w naszych lasach - powiedziała popieszczeniście. - Na przykład ipekakuanę sprowadzamy z Brazylii.

Barney zerknął na nią z ukosa.

- Jest pani bardzo dobrze zorientowana, panno Brabant. Tak, to prawda, że wiele lekarstw zostało przywiezionych przez badaczy i kupców, nie oznacza to jednak, że nie powinniśmy szukać własnych.

- Ludzie używali ziół od pokoleń, tak sędzę - zauważyła Lavender w zamyśleniu. - Nanny Pryor robi

ziołową nalewkę, o której mówi, że jest niezawodna na gorączkę.

- Właśnie. Ostatnio słyszałem o pewnym aptekarzu z hrabstwa Shrop, który wyleczył puchlinę wodną wyciągiem z liści naparstnicy. - Barney zmarszczył brwi.

- Myślę jednak, że w tych sprawach trzeba zachować szczególną ostrożność. Wiele z tych roślin może okazać się trujące, jeśli nie przestrzeżę się określonej dawki.

- Rozumiem, że nie chciałby pan zatruć mieszkańców Abbot Quincey dla dobra nauki - zachichotała Lavender. - Czy ktokolwiek odważył się zażywać pana preparaty, panie Hammond?

- Nie, bo zachowuję moją pracę w sekrecie. Nie mogę pochwalić się żadnymi sukcesami, bo nie mam pojęcia, czy moje środki są skuteczne.

Roześmieli się jednocześnie.

- Chyba aptekarze używają nie tylko wyciągów z roślin - podjęła Lavender po chwili. - Zdaje się, że wykorzystują również zwierzęta, prawda? Tłuszcz z kozła i psi łój.

- Teraz mówi pani jak czarownica - zauważył Barney. - Chociaż to prawda, że niektóre stare leki sporządza się na bazie takich składników. Kiedyś przez parę godzin siedziałem nad rzeką, usiłując złapać czaplę w sieć, bo chciałem zrobić lekarstwo, wykorzystując tłuszcz z czapli, ale - pokręcił głową - kiedy w końcu mi się to udało, nie miałem pojęcia, co począć dalej, toteż wypuściłem ją na wolność ku swemu i jej zadowoleniu. Jakoś nie mogłem skrzywdzić tego biednego stworzenia!

- Nawet dla dobra nauki?

- Nawet, panno Brabant! - Barney uśmiechnął się. - Może nie mam w sobie bezwzględności, niezbędnej do osiągnięcia sukcesu.

- Sukces za wszelką cenę niekoniecznie oznacza zwycięstwo - zauważyła Lavender, wciąż z uśmiechem wyczuwalnym w głosie - a poza tym nie wierzę w skuteczność' tłuszczu z czapli, choć pamiętam, jak Nanny Pryor zaklinała się, że na płuca nie ma nic lepszego od gęsiego smalcu!

Doszli do końca muru wyznaczającego granice Hewly, znacznie dalej, niż Lavender zamierzała. Zawahała się. To było takie łatwe. I miłe. Spacer z Barneyem w świetle księżycy i ich rozmowa sprawiały jej taką przyjemność, że nie chciała, aby się to skończyło. Oczarowana, poznawała inne oblicze tego człowieka czynu, odkrywała jego sekrety. Z wielką niechęcią myślała o nieuchronnym rozstaniu i powrocie do domu.

- Panno Brabant. - Barney stał oparty o mur i przyglądał się jej uważnie. - Skoro już mówimy o spacerach po lesie, jest coś, o co chciałbym panią zapytać. Muszę wyznaczyć, że od jakiegoś czasu nie daje mi to spać.

Lavender z udanym zaskoczeniem wzruszyła ramionami.

- W takim razie niech pan pyta.

Barney zawahał się. Wyglądało na to, że nie wie, jak się do tego zabrać, i szuka odpowiednich słów,

- Było to w czerwcu. Wieczorem wybrałem się do lasu, po rośliny. Wracałem drogą obok stawu i tuż przy brzegu zobaczyłem panią.

Lavender wpatrywała się w niego bez słowa. Nagle zrobiło jej się zimno. Chłodny wiatr poruszał liśćmi i chłodził po plecach, aż przeszły ją ciarki.

- Wykopywała pani coś z ziemi małym rydlem - ciągnął Barney, utkwivszy wzrok w jej poblądłej twarzy. - Zdaje się tym samym, którym posługuje się pani przy wykopywaniu ciekawych okazów roślinek. Nie widziałem dokładnie, co pani odkopuje, ale odniosłem wrażenie, że to węzełek z rzeczami, które w świetle księżycy wyglądały na ciemne i poplamione. Zabrała je pani i poniosła w kierunku domu, panno Brabant. I szła pani bardzo ostrożnie, co jakiś czas oglądała się pani za siebie i kryła pod drzewami. Wyznaję, że mnie to zaciekało. - Wyprostował się. - Bardzo zaciekało, bo dzień wcześniej odnaleziono ciało zamordowanego markiza Sywell.

Lavender gwałtownie się odwróciła i wbiła wzrok w pograżające się w mroku ogrody. Od samego początku bała się, że dojdzie do czegoś takiego. Dałaby głowę, że tamtej nocy była nad wodą sama, bo idąc pospiesznie w stronę stawu, nikogo nie widziała. Tak jak mówił Barney, kryła się pod drzewami i sprawdzała, czy nikt za nią nie podąża. On jednak ją widział i przez cztery miesiące nie powiedział ani słowa. Aż do teraz.

- Cóż, panno Brabant? - W jej myśli wdarł się głos Barneya. Wciąż mówił cicho, lecz z naciskiem. - Czyżbym się mylił, zakładając, że między tym morderstwem a pani osobliwymi, tajemniczymi działaniami zachodzi jakiś związek? Jak może to pani wyjaśnić?

- Ja... - Lavender odchrząknęła. Nie chciała go okłamywać, a na dodatek w tym momencie w głowie miała kompletną pustkę. Nie potrafiła wymyślić żadnej historyjki na usprawiedliwienie wydarzeń, których był mimowolnym świadkiem. - To prawda, byłam tam - powiedziała słabym głosem - ale nie mogę wyjaśnić dlaczego.

Barney przeniósł ciężar ciała na drugą nogę.

- Naprawdę? Cóż, jeśli nie mnie, z pewnością wyjaśni to pani władzom badającym sprawę morderstwa. O ile wiem, dotychczas nie dokonano zbyt wielu postępów w dochodzeniu i odrobina pomocy byłaby wskazana.

Lavender gwałtownie obróciła się twarzą do niego.

- Nie robi pan tego!

- Nie? - Barney unióśł brwi. - To prawda, Sywell nie obchodzi mnie bardziej niż kogokolwiek innego, ale morderstwo... - Pokręcił głową. - Wprawdzie niektórzy mogliby powiedzieć, że sobie na to zasłużył.

- Oczywiście, że sobie zasłużył! - wybuchnęła Lavender. - Wie pan tak samo dobrze jak ja, że ten człowiek był diabłem wcielonym - szalonym, despotycznym, okrutnym potworem w ludzkiej skórze, który gwałcił, bił i maltretował każdego, kto wpadł mu w ręce! Dobrze się stało, że w końcu się od niego uwolnił!

Barney westchnął.

- Nie mogę się z panią nie zgodzić, ale... Dla dobra tych, którzy nie śpią spokojnie w swoich łóżkach w obawie przed kolejnym atakiem - i dla tych, na kto-

rych może paść podejrzenie... panno Brabant, musi pani powiedzieć, co pani wie.

- Nie mogę! - Lavender znów odwróciła się do niego plecami, zaciskając pięści. - Nie zrobię tego! To niesprawiedliwe.

Barney postąpił krok w jej stronę.

- W takim razie proszę mi przynajmniej powiedzieć, kogo pani chroni.

- Nie! Nie powiem nic.

- Czyżby chodziło o pani brata?

Lavender obróciła się gwałtownie i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Lewisa? Co on, u licha, mógłby mieć z tym wspólnego?

Barney przybrał wielce wymowną minę.

- Kto wie? Mamy wielu kandydatów do roli mordercy Sywella, nieprawdaż, panno Brabant? Służący, których gnębił, wieśniacy, których doprowadził do ruiny, mężowie, którym przyprawił rogi. Sywell mógł, na przykład, próbować okraść pani ojca z jego posiadłości po tym, jak admirał zapadł na zdrowiu, a kiedy pani brat to odkrył, mógł zagrozić Sywellowi i... - Barney przerwał, wzruszając ramionami. - Jest tak samo dobrym kandydatem jak wszyscy pozostali.

- Bzdura! - krzyknęła Lavender. Głos jej drżał. Przycisnęła obydwie ręce do chropowatego kamienia, z którego zbudowano mur otaczający posiadłość. - Niech się pan nigdy nie waży rozpowiadać takich rzeczy.

- Nie mam takiego zamiaru - przyznał Barney. -

Ale proszę zrozumieć, że pani zachowanie jest mocno podejrzone, panno Brabant! Gdyby ktokolwiek się dowiedział... ..

- Wystarczy, żeby pan zachował milczenie. - Lavender przysunęła się bliżej i utkwiała wzrok w jego twarzy. - Nikt poza panem mnie nie widział, nikt nie wie.

- Jest pani tego pewna, panno Brabant? - Głos Barneya był wyprany z jakichkolwiek emocji. - Przecież nawet pani nie wiedziała, że ja tam byłem.

Lavender położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jestem pewna. A skoro ja zachowuję dla siebie pańskie sekrety, pan powinien zachować moje.

Nagle zapadła cisza. Barney wpatrywał się z góry w Lavender. Kiedy przemówił, pomyślała, że w jego głosie wyczuwa coś w rodzaju rozbawienia.

- Och, panno Brabant, co to ma znaczyć? Szantaż? Porównuje pani moje sekretne studia z pani pragnieniem chronienia mordercy?

Cofnął się o krok i rozłożył ręce w geście rezygnacji.

- Proszę w takim razie wszystko opowiedzieć - zdecydował. - Założę się, że nie wzbudzi pani nawet połowy zamieszania, do jakiego z pewnością dojdzie, kiedy powiem przedstawicielowi władz, że osłania pani mordercę.

Lavender znów chwyciła go za ramię.

- Proszę! Nie robi pan tego!

- Boi się pani o siebie czy o kogoś innego? - spytał Barney ostro.

- To nie tak. - Lavender aż się skrzywiła, próbując

znaleźć takie wyjaśnienie sytuacji, które nie wiązałyby się ze zdradzeniem wszystkich sekretów. - Chodzi tylko o to, że moje oświadczenie przysporzyłoby wiele niepotrzebnych kłopotów i cierpień. A nikt nie opłakuje śmierci Sywella.

- Tyle że nie do pani należy wyrokowanie, czy ktoś powinien być za to ukarany, czy nie - powiedział Barney, tym razem naprawdę zły. - Musi pani bardzo zależeć na tym kimś.

- Nie w taki sposób, jak pan myśli - zaprotestowała Lavender. - Ale jestem gotowa na wszystko, żeby zapobiec ujawnieniu prawdy. Proszę...

- Co właściwie pani proponuje, panno Brabant? - Ton Barneya stał się nagle podejrzanie łagodny. - Chce pani pozostać przy szantażu czy uciec się do przekupstwa? Wybór należy do pani!

Lavender przeszła go groźnym wzrokiem.

- Nie zamierzałam nikogo szantażować ani przekupywać! Świetnie pan o tym wie.

Barney roześmiał się drwiąco.

- Naprawdę? Odnoszę wrażenie, panno Brabant, że nie znam pani tak dobrze, jak mi się wydawało. Ale jest na to sposób.

W tym momencie Lavender ku swemu najwyższemu zdumieniu uświadomiła sobie, że on zamierza ją pocałować. Była zupełnie zdezorientowana. Bronienie siebie samej przed jego oskarżeniami pochłoneń ją na tyle, że nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby potrzebować ochrony przed czymś innym, bardziej niebezpiecznym. Chociaż wydawało jej się, że Barney pocałuje ją

na balu u Covinghamów, tak się nie stało i tak naprawdę nie przypuszczała, że kiedykolwiek do tego dojdzie. Od czasu do czasu myślała o tym z lekkim przyjemnym dreszczykiem jako o czymś zakazanym i nieprawdopodobnym. Ale teraz...

Jednak mimo tej całej zatrważającej świadomości nie odsunęła się od Barneya. Czuła, jak ramieniem obejmują jej talię i przyciągają do siebie. Czuła jego duże dłonie na swoim smukłym ciele, lecz dotyk jego warg okazał się delikatny, co całkowicie ją rozbroiło.

Miała znikome doświadczenie, jeśli chodzi o mężczyzn, a zalotnicy, których poznała podczas pobytu w Londynie, bardzo szybko ją znudzili. Z pewnością nigdy w życiu nie przeżywała tak czysto fizycznych doznań, które tylko Barney był w stanie w niej wzbudzić, doznań, które narastały przez całe ich spotkanie. Nawet nie była w stanie sobie wyobrazić czegoś takiego.

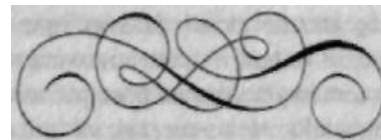
Kiedy Barney wreszcie ją puścił, zmysłowe podniecenie musowało w jej krwiobiegu jak szampan. Przez chwilę nie pamiętała, gdzie jest, i poczuła rozczarowanie i dziwną pustkę, gdy uwolnił ją z objęć. Wyciągnęła ku niemu dłoń. Uchwycił ją i pocałował, po czym puścił.

- Nie - mówił cicho, ochryple. - Lavender, nie wolno nam. To moja wina i przepraszam.

Lavender chciała mu się rzucić w ramiona i przekonać, żeby zmienił zdanie, ale Barney już się od niej odsunął, cofając się w cień drzew.

- Czas na mnie. Wybacz mi.

Rozumiała, co miał na myśli. Ona była córką admirała Brabanta i nie mogła należeć do niego, ale przed chwilą nie miało to znaczenia. Tym razem od niego nie uciekła. Odwróciła się i odeszła powoli, nie spiesząc się. I ani razu nie obejrzała się za siebie.



ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lavender leżała na plecach w trawie pod jabłoniemi, zapatrzona w bladoniebieskie niebo prześwitujące między gałęziami. Jakiś czas temu pozbyła się słomkowego kapelusza i rozpuszczone włosy spłynęły jej na ramiona. Zamiast włożyć którąś ze swoich zwyczajnych, gładkich sukien, zdecydowała się na batystową, w różowo-białe pasy, której nie zakładała przynajmniej od pięciu lat. Była to jedna z tych, które Julia skrytykowała jako niemodne i stanowczo za infantylne dla kogoś w jej wieku, toteż Lavender wrzuciła ją na dno szafy, mimo że podobały jej się jasne, pogodne kolory. Teraz, leżąc w sadzie, zachodziła w głowę, jak mogła być tak niemądra, by słuchać rad złośliwej kuzynki.

Był kolejny dzień babiego lata i wszyscy utrzymywali, że pogoda popsuje się lada chwila, wraz z nadejściem burzy. W trawie wokół Lavender walały się porzucane kolorowe kredki, papier, niedokończony rysunek świerzbnicy polnej, no i naturalnie książka *Rozważna i romantyczna*. Z początku Lavender próbowała zająć się rysowaniem, wkrótce jednak doszła do wniosku, że w takim upale wymaga to zbyt wiele wysiłku, toteż przekreśliła się na brzuch i zabrała do czytania książki. Pochłonawszy opowieść o Elinor i Mariannie,

pomyślała, że jeszcze przed dziesięcioma dniami porównywała się ze starszą z sióstr, rozsądną i praktyczną, podczas gdy teraz była gotowa postąpić wbrew całemu światu, nie oglądając się na nic, tak jak młodsza z nich.

Jak doszło do takiej transformacji? Lavender rozmazonym wzrokiem śledziła niewielkie białe chmurki płynące po niebie. Może zmiana dokonywała się już od jakiegoś czasu, a może nastąpiła nagle. Nie była pewna.

Po jej debiucie towarzyskim w Londynie wydarzyło się tak wiele nieszczęść - wkrótce po śmierci matki zmarł starszy brat, a potem ta długa choroba ojca. I przez cały ten czas Julia tkwiła tu jak dokuczliwy rzep, odbierając Lavender pewność siebie i podważając jej pozycję w jej własnym domu, jako że była od niej starsza. Dopiero po powrocie Lewisa i jego ślubie z Caroline w Hewly Manor znów zapanował spokój.

A teraz... Lavender pokręciła głową, a kąciki jej ust wygięły się w lekkim uśmiechu. Teraz był Barney Hammond. Już kiedyś przychodziło jej do głowy, że ją lubi, a teraz zdobyła pewność, że jest tak w istocie. Nieważne, że się pokłócili, kiedy niezręcznie próbowała go nakłonić do zachowania jej sekretu; wiedziała, że z łatwością może to naprawić, opowiadając mu o wszystkim. Lavender długo i często myślała o spotkaniu w lesie przed dwoma dniami i wspomnienie pocałunku rozgrzewało ją o wiele bardziej niż słońce, które teraz prażyło z prawie bezchmurnego nieba. Oplatające ją ramiona Barneya kołysły i podniecały jednocześnie, były obietnicą tego, co miało wkrótce nadejść, lekarstwem na zgryzotę. Rozumiała jego opór, przekonanie, że nie

jest dla niej wystarczająco dobry, i zamierzała się temu przeciwstawić ze wszystkich sił. Był wspaniałym człowiekiem i wreszcie zdała sobie w pełni sprawę z tego, że jego pochodzenie, praca w handlu czy różnica klas między nimi nie mają najmniejszego znaczenia, jeśli naprawdę są sobie przeznaczeni. Odnajdzie go i powie mu to.

Ciepło zadziałało niczym środek nasenny. Lavender, ukojona monotonnym brzęczeniem pszczół, zapadła w sen i spała dotąd, aż słońce zaczęło się zniżać, a jego miejsce zajął chłodny wieczorny wietrzyk. W pewnej chwili drgnęła lekko, otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że nagle zimno wzięło się stąd, iż padł na nią cień. Kiedy się poruszył, popołudniowe słońce przygrzało ponownie.

- Powiedziano mi, że panią tu znajduję.

Lavender zmrużyła oczy, chroniąc je przed czerwonymi promieniami słońca. Nagle była w stanie myśleć tylko o tym, że ma potargane włosy, a sukienka jest straszliwie zmięta, bo pogmiotła ją w trakcie czytania książki.

Przypomniała sobie ostatnią spójną myśl przed zaśnięciem. Postanowiła odszukać Barneya i powiedzieć mu, co czuje. Jego zjawienie się w tym momencie, zanim zdążyła obmyślić, jak się do tego zabrać, z pewnością nie należało do planu.

Usiadła i zaczęła wyciągać z włosów suche źdźbła trawy. Czuła na sobie taksujący wzrok Barneya, przesuwnący się po jej twarzy i sylwetce ze skupieniem, które przywołało szkarłatny rumieniec na jej już i tak

splonione policzki. Niespodziewany gość przysiadł na pobliskim pniu.

- Bardzo ładnie pani dziś wygląda. Do twarzy pani w różowym.

Nie były to gładkie słowa galanta z towarzystwa, niemniej Lavender zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Dziękuję. Czy pan... czy pan chciał się ze mną widzieć?

- Tak. - Barney najwyraźniej był jakiś nieswój. Nagle zmienił ton na oficjalny. - Chciałem przeprosić za moje zachowanie tamtego wieczoru, panno Brabant. Obawiam się, że wzbudziłem w pani odrazę.

- Och, nie! - weszła mu w słowo Lavender. Nie zdołała się powstrzymać, bo w cichości ducha liczyła na to, że on powtórzy tamto zachowanie wiele razy. - Panie Hammond...

- Proszę mnie wysłuchać. - Na twarzy Barney a nie drgnął ani jeden mięsień. - Panno Brabant, zachowałem się wobec pani w sposób niegodny dżentelmena.

- Proszę! - Lavender zerwała się na nogi. - Proszę nie mówić nic więcej!

Zdawała sobie sprawę, że Barney wziął jej zażenowanie za skromność właściwą damie, podczas gdy w rzeczywistości nie chciała słuchać, jak on się przed nią poniża. Zanim zdążyła naprawić błędne wrażenie, wstał z miejsca.

- Tak, skoro już powiedziałem, co miałem do powiedzenia, powinienem panią pożegnać. Przedtem jednak chciałbym pani podziękować, panno Brabant, za pani życzliwe uwagi o mojej pracy. Nigdy o tym nie za-

pomnę. - Sięgnął do kieszeni i wyjął niewielką książkę.

- Wspominała pani, że chciałaby zobaczyć stare książki przyrodnicze, które mam w zbiorach. Oto jedna z nich, całkowicie dla mnie nieprzydatna, bo nie znam łaciny. Byłbym zaszczycony, gdyby zechciała ją pani ode mnie przyjąć.

- Och! - Lavender wzięła książeczkę do ręki, wyczuwając gładkość starej skórzanej oprawy pod palcami. - Nie może mi pan dawać czegoś takiego! Jest na pewno bardzo cenna.

Barney wzruszył ramionami.

- Odziedziczyłem ją po matce, ale, jak już mówiłem, i tak nie jestem w stanie jej czytać. Lepiej, żeby dostała się komuś, kto w pełni doceni jej wartość. - Uniósł brew. - To mój podarunek pożegnalny, panno Brabant.

Skłonił się pospiesznie, gotów odwrócić się i odejść. Łzy zapiekły Lavender w gardle. Zrozumiała, że to pożegnanie na zawsze. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie mogą się już spotykać - że byłoby niemądrze i niestosownie utrzymywać stosunki, które nigdy nie doprowadziłyby do niczego więcej. Przed kilkoma dniami gotowa była się z nim zgodzić, teraz jednak nie mogła tak potulnie pozwolić mu odejść.

- Panie Hammond, jeśli mamy... nie spotykać się więcej, chciałabym skorzystać z tej okazji i coś panu powiedzieć. Czy uczyni mi pan ten zaszczyt i wysłucha mnie?

Barney zawahał się. Lavender wyczuwała jego opór, ale liczyła na jego wrodzone dobre maniere. Chyba jej nie odmówi? Wstrzymała oddech.

- Dobrze, panno Brabant - zgodził się wreszcie, aczkolwiek z niechęcią - ale nie mam za wiele czasu.

Lavender uśmiechnęła się do niego z widoczną ulgą.

- Rozumiem. I dziękuję panu! Tam pod drzewami jest ławeczka. Czy możemy...

Doszli do kamiennej ławki na końcu sadu. Barney pomógł jej zająć miejsce, po czym usiadł w przyzwoitej odległości trzech stóp. Nie patrzył na nią, tylko trzymał wzrok utkwiony ponuro w ozdobnie poprzycinanych krzewach, rosnących wzdłuż ścieżki w różanym ogrodzie poniżej. Lavender odchrząknęła.

- Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem - zaczęła ostrożnie - robił mi pan wyrzuty, że niepotrzebnie zachowuję sekrety. Ponieważ, o ile dobrze zrozumiałam, nie będziemy już mieli okazji rozmawiać tak jak teraz, chciałabym, żeby pan się o czymś dowiedział.

Barney oderwał wzrok od ozdobnych krzewów i utkwił go w jej twarzy.

- Tak, panno Brabant?

- Chodzi o tę noc, kiedy widział mnie pan przy stawie w lesie. - Lavender wzięła głęboki oddech. - Nie mylił się pan, panie Hammond. Rzeczywiście, gdy mnie pan zobaczył, wykopywałam tobołek z ubraniami z jamy w ziemi tuż przy brzegu rzeki. Przyniosłam go do domu i spaliłam pod kuchnią. - Zerknęła na niego z ukosa, próbując wyczytać coś z jego twarzy. Barney patrzył na nią bacznie, lecz nie powiedział ani słowa. Dziwne, ale przez to milczenie wszystko wydawało się jeszcze trudniejsze.

- Była to moja druga wyprawa nad staw w ciągu

tych dwóch dni - ciągnęła powoli Lavender. - Byłam ara również poprzedniej nocy, w noc śmierci markiza Sywella, chociaż wówczas jeszcze o tym nie wiedziałam. Czekałam, aż rozkwitnie kwiat jednej nocy. - Na moment zamilkła, zamyślona. - Inaczej czartawa pospolita, jak pan zapewne wie, a ja słyszałam kiedyś, że zakwita przy świetle księżycy, myślę jednak, że to tylko taka legenda, bo z całą pewnością tego nie widziałam.

- A co pani zobaczyła w zamian?

Spokojne pytanie Barneya z powrotem naprowadziło Lavender na właściwy temat.

- Och! Tak, naturalnie. Zobaczyłam jakiegoś człowieka idącego w stronę stawu, myjącego się w wodzie i zakopującego coś przy brzegu. Myślałam... nie miałam pewności. - Uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. - Nie byłam w stanie rozpoznać, kto to może być.

Barney w zamyśleniu zmrużył oczy.

- Niemniej kogoś pani podejrzewa. Domyślam się.

Lavender zadrżała, chociaż słońce wciąż rzucało ciepły blask. Objęła się ramionami.

- Tak, podejrzewam, lecz nie mam pewności. Widziałam tylko zarysy męskiej sylwetki, choć wydało mi się, że go rozpoznaję. To, co rozgrywało się przed moimi oczami, bardzo mnie zaintrygowało. Było już całkiem ciemno, a rzeczy wyglądały jak kupka szmat. Naturalnie zastanawiałam się, co on takiego robi. A następnego dnia usłyszałam o zamordowaniu markiza Sywella i pomyślałam...

- Pomyślała pani, że widziała pani mordercę? I po-

szła pani nad staw po raz drugi, żeby zobaczyć, co pani tam znajdzie?

- Tak. - Lavender skrzywiła się. - Wiem, to niemiędre z mojej strony. Powinnam była wszystko zostawić, jak było, ale ciekawość... - Wzruszyła ramionami. - Przy brzegu znalazłam schowane ubranie, całe zakrwawione, pomyślałam więc, że kimkolwiek był ten, którego widziałam, to on musiał zabić markiza tamtej nocy.

Barney kręcił głową.

- Dlaczego zabrała pani te rzeczy? I w dodatku je spaliła! Tym samym stała się pani współwinna.

- Wiem! - westchnęła ciężko Lavender. - Siedziałam przez, jak mi się wydawało, całe godziny, ściskając w rękach zakrwawione ubranie i myślałam, co by się stało, gdybym powiedziała komukolwiek o tym, co widziałam. - Nieznacznie machnęła ręką. - Och, nie dlatego milczałam, że bałam się skandalu czy czegoś w tym rodzaju, skoro jednak nie miałam pewności, kogo widziałam tamtej nocy, nie chciałam rzucać oskarżenia na niewinnego człowieka. - Pokręciła głową. - W końcu doszłam do wniosku, że nie powinnam nikomu o tym mówić.

Barney przysunął się trochę bliżej.

- Ale dlaczego spaliła pani jego ubranie? Dlaczego po prostu nie zostawiła go pani tam, gdzie było?

- Bałam się, że ktoś się na nie natknie! Wielu ludzi chodzi nad staw. - Lavender urwała, bo nagle przypomniała sobie, jak podglądała pływającego Barneya. - Nie przemyślałam tego zbyt dobrze - podjęła pośpiesznie - bo gdy tylko rzeczy zostały spalone i nie został po nich

żaden ślad, nagle przyszło mi do głowy, że właściciel może po nie wrócić i ich nie znajdzie. A ja raczej nie będę mogła go uspokoić.

Barney uśmiechnął się.

- I tym sposobem zapędziła się pani w pułapkę. Lavender, to jasne, że pani wie, kim jest morderca, a w każdym razie kim jest człowiek, którego widziała pani tamtej nocy. Gotów jestem się założyć, że zachowuje pani milczenie między innymi dlatego, by go chronić, choć udaje pani, że nie wie, kto to jest! To musi być ktoś, dla kogo ma pani wiele szacunku. Powie mi pani, kto to taki?

Lavender pokręciła przecząco głową. Uwaga Barneya była trafna, bo rzeczywiście podejrzewała, kim jest morderca, i faktycznie darzyła tę osobę wielkim szacunkiem, jednak mimo wszystko...

- To nie byłoby w porządku - powiedziała z zażenowaniem. - Nie chcę oskarżać niewinnego człowieka, a pewności nie mam. - Przeciągnęła długie źdźbło trawy pomiędzy palcami. - Kiedy rozmawialiśmy o tym ostatnim razem, panie Hammond, oświadczył mi pan, że podjęcie tej decyzji nie należy do mnie. Cóż, opowiedziałam wszystko, co wiem, a teraz może mnie pan zadenuncjować, jeśli ma pan ochotę!

Zapadła cisza, w której słychać było tylko ciche, monotonne gruchanie białych gołębi na dachu rezydencji. Po długiej chwili Barney spytał:

- Dlaczego mi pani o tym opowiedziała, panno Brabant?

Lavender umknęła wzrokiem przed tym badawczym

spojrzeniem. Prawda wyglądała tak, że uczyniła to, ponieważ go kochała i nie mogła znieść myśli, że będzie ją źle oceniał. Pierwszego powiedzieć nie mogła, ale może drugie...

- Zależało mi na tym, żeby poznał pan prawdę- wyznała, nie odrywając oczu od wiatrowskazu na stajni, aby uniknąć wzroku Barneya. - Nie mogłam pogodzić się z tym, że uwierzy pan, iż kogoś niesłusznie osłaniam. A skoro mam nie zobaczyć pana już nigdy więcej, nie mogłam dopuścić, by pan źle o mnie myślał.

- Nie zrobię tego. - Na moment Barney nakrył dłonią jej rękę leżącą na ciepłym kamieniu ławki. Lavender spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich przyprawiające o zawrót głowy połączenie miłości i pożądania. Na ten widok zaschło jej w gardle, a serce gwałtownie przyspieszyło rytm, lecz po chwili twarz Barneya zastygła w kamienną maskę i podjął, rozmyślnie obojętnym tonem:

- Dziękuję, że mi pani o wszystkim opowiedziała. Zachowam pani sekret dla siebie, panno Brabant. - Uśmiechnął się lekko. - Nie pozostaje mi nic innego, jak zaufać pani ocenie sytuacji i uwierzyć, że postępuje pani słusznie, zachowując milczenie. - Wzruszył ramionami. - Cóż, niech więc tak będzie. Znajomość z panią była dla mnie wielkim zaszczytem, panno Brabant, teraz jednak naprawdę muszę już iść.

Lavender odprowadzała wzrokiem wysoką postać wśród drzew, na ścieżce obsadzonej ozdobnie poprzycinanymi krzewami i wzdłuż ściany domu aż do wybiegu przy stajniach. Po paru minutach znalazł się na

podjeździe i na pożegnanie uniósł dłoń, dziękując stajennemu. Lavender pomyślała o jego wrodzonym aurytecie i niewymuszonej uprzejmości wobec wszystkich bez wyjątku i wzburzyła się w duchu na myśl o dzielących ich barierach urodzenia i pochodzenia. Zdał sobie z nich sprawę i postanowił pogodzić się z nieuniknionym, wyrzekając się jej. A ponieważ uczynił to z taką godnością, Lavender nie mogła się mu przeciwstawić.

Zapowiadana od dawna burza z piorunami nadeszła jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Po kolacji wszyscy troje przenieśli się do biblioteki, gdzie przy zaciągniętych zasłonach i zapalonych świecach słuchali deszczu tłukącego o okiennice i piorunów uderzających coraz bliżej i bliżej.

Lavender zrezygnowała z lektury swojej ulubionej *Rozważnej i romantycznej* na rzecz czegoś bardziej stylowego i po krótkim namyśle sięgnęła po *Marmiona* sir Waltera Scotta. Caroline szyła i rozmawiała o postępach w wojnie na kontynencie amerykańskim z Lewi- sem, który czytał im na głos najnowsze doniesienia opublikowane w prasie.

- Faktem jest, że Amerykanie dysponują równie dobrą flotą, jak nasza, jeśli nie lepszą - stwierdził sucho, odwróciwszy kolejną stronę. - Wiem, że naszej admiralicji trudno się z tym pogodzić, ale ci z nas, którzy mieli okazję pełnić służbę na ostatnich szczeblach, od wielu lat dostrzegali nadchodzące zmiany. - Pokręcił głową. - Czeka ich szok, obawiam się.

Lavender wypuściła z rąk książkę, która opadła jej na kolana, a sama wpatrywała się w zamyśleniu w płomyki świec.

Spodziewała się, że po ostatnim spotkaniu z Barneyem przeżyje załamanie nerwowe, tymczasem ku swemu zaskoczeniu była pełna życia. Zupełnie jakby nie do końca zaakceptowała fakt, że nie mogą być razem, i liczyła na to, że sytuacja sama się rozwiąże, i to wkrótce. Nie kwestionując tego dziwnego założenia, siedziała cicho i z zadowoleniem przysłuchiwała się rozmowie Lewisa z Caroline i grzmotom nad głową.

Nie był to wieczór odpowiedni na składanie wizyt, toteż wszyscy drgnęli, kiedy zadzwieczał dzwonek, napędzając hałasem cichy dom. Caroline złożyła robótkę w porządną kostkę i wstała.

- Na litość boską, kto to może być? W samym środku burzy? Wiem, wiem, Covinghamowie zapowiadali, że odwiedzą nas w drodze do Londynu, ale to z pewnością nie oni! Lewis...

Drzwi się otworzyły i wszedł Kimber. Kamerdyner skłonił się zebranym.

- Kapitanie Brabant, w sieni czeka pewien dżentelmen, sir Thomas Kenton, W drodze złapała go burza, więc przybył tutaj w poszukiwaniu schronienia.

Lewis powoli wyszedł do sieni, a Caroline i Lavender ruszyły za nim. Stał tam starszy dżentelmen, wsparty na lasce ze złotą gałką, w kałuży wody ściekającej na podłogę z podróżnego płaszcza. Wtem potężna błyskawica oświetliła dom, przyćmiewając światło świec.

Dżentelmen pojaśniał na widok całej trójki, uśmiechnął się łagodnie i zamrugał niebieskimi oczami krótkowidza. Był wątły i zdaniem Lavender przypominał starego uczonego, który z jakiegoś niewiadomego powodu wyruszył w drogę w najgorszy wieczór w roku.

- Czy mam przyjemność z kapitanem Brabantem? - Nieznajomy skinął głową Lewisowi. - Sir Thomas Kenton, do pańskich usług. Szanowne panie. - Skłonił się ze staromodną kurtuazją przed Lavender i Caroline, po czym ponownie zwrócił się do Lewisa. - Przepraszam za to najście, sir, ale jestem w podróży i pilnie potrzebuję pomocy. Czystym trafem natknąłem się na pański dom. Mógłby pan mi powiedzieć, gdzie jest najbliższa gospoda? Jeden z moich koni cugowych okulał i obawiam się, że w tej sytuacji nie zdołam dotrzeć do domu, choć to zaledwie dziesięć mil.

Lewis uśmiechnął się.

- Mógłbym panu wskazać drogę do gospody, lecz nie śmiałybym odmówić panu schronienia w taką noc jak ta. Musi pan zostać tutaj, przynajmniej dopóki burza nie minie. Mój masztalerz dopilnuje, żeby pańskie konie jak najszybciej znalazły się w stajni.

Sir Thomas wyglądał na zmartwionego i uradowanego razem.

- Och, doprawdy, nie chciałbym nadużywać pańskiej gościnności.

- Nie ma mowy o żadnym nadużywaniu, sir - odezwała się Caroline, podchodząc bliżej i ujmując niespodziewanego gościa pod ramię. - Kimber, proszę, weź płaszcz naszego gościa. Sir Thomasie, napije się pan

z nami wina? Zapraszam do biblioteki i proszę nam opowiedzieć, jak to się stało, że znalazł się pan w samym środku burzy.

Kiedy wszyscy wrócili do pokoju, Caroline usadziła sir Thomasa w fotelu przy kominku i osobiście przyniosła mu kieliszek madery. W świetle płomieni widać było, że ich gość jest rzeczywiście delikatnej konstrukcji, z grzywą śnieżnobiałych włosów i o twarzy tak pomarszczonej jak skorupka orzecha włoskiego. Jednakże kiedy się uśmiechał, wywierał wyjątkowo miłe wrażenie, a jego leniwy, ciepły uśmiech wydawał się Lavender dziwnie znajomy. Na próżno łamała sobie głowę, podobieństwo pozostało nieuchwytnie.

Sir Thomas grzał sobie ręce przy kominku i wspominał.

- Zdaje się, że ostatni raz byłem w Hewly jakieś dwadzieścia lat temu, może więcej? Zapomniałem. Musiało to być, jeszcze zanim pański ojciec kupił tę rezydencję, kapitanie, bo o ile pamiętam, stanowiła kiedyś część posiadłości Percevalów,

- Rzeczywiście tak było. - Lewis uśmiechnął się. - Ja też odnoszę wrażenie, że już się kiedyś spotkaliśmy. Na jednym z przyjęć ogrodowych w Perceval Hall, zdaje się? Było to przed wielu laty, a pan przyniósł ze sobą latawca własnego wynalazku i puszczał go pan na trawniku.

Sir Thomas wyglądał na uszczęśliwionego.

- Naturalnie! Tak, teraz sobie przypominam - to pan był tym poważnym chłopcem, który zadawał tak wiele pytań! Miał pan też starszego brata, który bardziej

interesował się zwierzętami i małą siostrzyczką - śliczne, urocze dziecko o platynowych włosach.

- Pewnie chodzi o Julię - wtrąciła Lavender.

Caroline spojrzała na nią z miną świadcząca o poirytowaniu.

- Sądzę raczej, że sir Thomas ma na myśli ciebie, Lavender!

Sir Thomas entuzjastycznie przytaknął.

- Teraz wszystko sobie przypominam! Latawiec utknął na drzewie i jeden z chłopców państwa Perceval wspiął się nań, by go uwolnić i spadł, i bał się, że złamał sobie nogę. - Pokiwał głową. - Ach, co to były za czasy!

- Był z pana prawdziwy wynalazca, sir - zauważył Lewis. - Pamiętam, jak mój ojciec mówił, że zaprojektował pan okręt wojenny w miniaturze, niezwykle precyzyjnej, i że admiralicja powinna była zlecić zbudowanie go w naturalnej wielkości.

- Tak, cóż... - Sir Thomas dopił wino i uśmiechnął się promiennie do Caroline, gdy ponownie napełniła mu kieliszek. - Obawiam się, że te dni już dawno przeminęły! Wciąż jednak mam moje książki. Nie za często bywam ostatnio w towarzystwie.

- A pańska rodzina? - zaryzykowała Lavender i zrobiło jej się przykro, kiedy sir Thomas ze smutkiem pokiwał głową.

- Wszyscy odeszli, moje dziecko. Młodszy syn zmarł dawno temu, był dzikim, szalonym chłopcem. - Przez twarz przemknął mu cień, - Obawiam się, że odziedziczył po mnie niespokojnego ducha, bo ciągle

wyruszał na poszukiwanie tego czy tamtego. Chciał studiować medycynę. Kłóciliśmy się o to zawzięcie, bo uważałem, że to zajęcie niegodne dżentelmena. - Sir Thomas znowu pokiwał głową. - Cóż, byłem wówczas upartym starym bigotem. Ostatecznie John wyjechał za granicę, zachorował na febrę i nie zobaczyłem go już nigdy.

Zapadła cisza, którą zakłócało tylko trzaskanie ognia na kominku.

- Nie jest dobrze, jeśli mężczyzna przeżyje swoich synów - powiedział w końcu sir Thomas. - Kiedy nie jest się otoczonym rodziną, człowiek czuje się bardzo stary. - Podniósł się z fotela i uśmiechnął się do nich łągodnie. - W każdym razie dobrze widzieć nowe życie w tym domu. Proszę opowiedzieć mi o swoich planach, pani Brabant.

Przyjemnie spędzili dłuższy czas, rozmawiając o odnowieniu domu i ogrodu, po czym Caroline delikatnie nakłoniła sir Thomasa do zatrzymania się u nich na noc. Ponieważ deszcz wciąż padał, gościa nie trzeba było zbyt namawiać, poprosił tylko o jakąś książkę, którą mógłby wziąć ze sobą do pokoju.

- Widzę, że nietatwo mi będzie wybrać - zauważył, patrząc po półkach. Zatrzymał się przy *Republice* Platona. Wziął ją, ale po chwili odłożył i z czułym uśmiechem sięgnął po *Iliadę*. - Zbyt wojownicza na ten etap życia, być może... coś spokojniejszego byłoby lepsze, tak myślę. Architektura albo rolnictwo.

- Mam doskonałą książkę poświęconą botanice. - Lavender podała mu cienki tomik, podarunek od Bar-

neya. - Może nie ma pan ochoty na wieczorne czytanie po łacinie, jednak warto się potrudzić. Pełno w niej wprost fascynujących...

Przerwała, widząc wyraz twarzy sir Thomasa, na której malowały się zdziwienie i podejrzliwość. Trzymał niewielką książkę w dłoni i wpatrywał się w nią, zupełnie jakby zobaczył ducha. Przejechał ręką przez gęstą strzechę białych włosów.

- Och, ale z pewnością... To przecież ta, którą my... myślałem...

Przeniósł wzrok od Lavender na książkę, po czym przewrócił kilka stron.

- Nie może być mowy o pomyłce. To z pewnością ta sama! A na początku...

Cofnął się do strony tytułowej.

- Tak przypuszczałem!

Zebrani patrzyli na niego z konsternacją.

- Sir Thomasie? - odezwała się Caroline.

Gość triumfalnie uniósł książkę do góry tak, że światło padło na stronę tytułową.

- Herb Kentonów - oświadczył. - Tak myślałem!

Po była jedna z moich najcenniejszych książek, lecz pewnego dnia John pożyczył ją ode mnie i nigdy już jej nie zobaczyłem. Ze wszystkich najdziwniejszych zbiegów okoliczności ten jest najbardziej niezwykły! Ale, ale - zmarszczył brwi - jak weszła pani w jej posiadanie, moja droga?

- To prezent od przyjaciela - wyjaśniła Lavender pospiesznie, świadoma, że zarówno Lewis, jak i Caroline wpatrują się w nią z ciekawością. - Widziałam ten

herb, ale nie znałam pochodzenia książki. Ona nie jest dla mnie taka ważna. Jeśli jest pańska, musi ją pan wziąć.

Sir Thomas był najwidoczniej wstrząśnięty.

- Moja droga, nie mam najmniejszego zamiaru jej pani pozbawiać. Pani przyjaciel z pewnością wszedł w jej posiadanie w uczciwy sposób. - Wcisnął książkę do rąk Lavender. - Zaklinam, niech ją pani zatrzyma.

- Och, nie! - Lavender zwróciła mu ją, nagle zdeperowana. - Sir...

- Jestem pewien, że cała zagadka da się z łatwością wyjaśnić - wtrącił Lewis, nieświadomie utrudniając siostrze sytuację. - Lavender, skąd masz tę książkę?

- To po prostu prezent. Proszę, nie zwracaj sobie głowy.

- Jesteś dziwnie tajemnicza w tej kwestii. Prezent od kogo?

- Od pana Hammonda! - wypaliła, cała zarumieniona. Bardzo chciała tego uniknąć, bo przyznanie, że Barney dawał jej prezenty, wydawało jej się zanadto osobiste. Próbowała sobie przypomnieć, co powiedział o pochodzeniu książki. - Może kupił ją od księgarza w Northampton! Nie pamiętam.

- Nikt nie sugeruje, że ją ukradł - zaznaczyła Caroline łagodnie. - Spytamy pana Hammonda, w jaki sposób wszedł w jej posiadanie, i zagadka się wyjaśni. - Zwróciła się do sir Thomasa, który wciąż obracał książkę w dłoniach. - Tymczasem, drogi panie, skoro to stary przyjaciel, proszę na nowo ją odkrywać i czerpać z tego przyjemność. Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze?

Sir Thomas zapewnił ją, że ma wszystko, czego mu potrzeba, i niedługo potem zebrani udali się na spoczynek. Burza wciąż przetaczała się w oddali, a Lavender leżała bezsennie przez czas jakiś, myśląc o książce i o jej pochodzeniu. Sir Thomas powiedział, że syn pożyczyl ją od niego, ale to, gdzie była od tej pory i w jaki sposób trafiła do rąk Bameya Hammonda, pozostawało tajemnicą. Teraz przypomniała sobie, jak Barney mówił, że odziedziczył tę książkę po matce i że nie rozumie łaciny. Ciekawe, czy Eliza Hammond czytała po łacinie? W zamyśleniu zmarszczyła brwi.

Lavender przewróciła się na drugi bok i uderzyła pięścią w poduszkę, żeby nadać jej lepszy kształt. Dotyk wykrochmalonego płótna przyjemnie chłodził jej rozpalone policzki. Chyba było za wcześnie na odszukanie Barneya, skoro tak dobitnie oświadczył jej, że nie mogą się więcej widywać. Teraz jednak sprawy przedstawiały inaczej. Musiała mu powiedzieć o sir Thomasie i spytać, jakim sposobem książka z herbem Kentonów znalazła się w jego biblioteczkę.

Następnego ranka było pochmurno, ale ciepło, a nawet parno, bo burza nie zdołała zneutralizować wilgoci, która zawisała nad okolicą niczym koc. Caroline wdychała i narzekała, że ubranie się do niej lepi i że upał ją obezwładnia. Lavender zdecydowała się skryć w lesie ze swoimi szkicami, póki nie zdecyduje, kiedy znów zwrócić się do Barneya.

Wszyscy siedzieli jeszcze przy śniadaniu, gdy ich uszu doszedł turkot powozu na podjeździe i stuk kołatk

chwilę później. W powietrzu niósł się piskliwy kobiecy głos. Caroline i Lavender wymienili spojrzenia.

- Kolejni goście! - powiedziała Caroline, unosząc przy tym brwi. - Jakie to zabawne! Siedzimy sobie spokojnie w rodzinnym gronie, a tu nagle...

- To brzmi jak... - zaczęła Lavender. W tym momencie drzwi pokoju śniadaniowego gwałtownie się otworzyły i na progu stanęła Julia Chessford, doskonale dziewczyna w kremowej satynowej sukni i dobranej do niej pelerynce obszytej koronkami.

- Moi drodzy! - Szeroko otworzyła ramiona i na jedną okropną chwilę Lavender przejął lęk, że nowo przybyła zamierza uściskać ich wszystkich. - Obiecałam, że przyjadę z wizytą, i oto jestem!

Lavender zauważyła, że Lewis ma trudności z zachowaniem powagi.

- Rzeczywiście mówiłaś, Julio - rzekł - ale nie jestem wcale pewny, czy ci wierzyliśmy!

Jeśli się wzięło pod uwagę fakt, że pani Chessford poprzednio opuściła Hewly Manor jak niepyszna, wydawało się dość dziwne, że miała czelność wrócić tu i oczekiwać serdecznego powitania. Niedobrze się również stało, że sir Thomas Kenton był mimowolnym świadkiem tej sceny, bo w tej sytuacji Lewis nie mógł powiedzieć kuzynce, żeby się zabierała, i to już. Zaraz zresztą wezwały go obowiązki. Julia przyciągnęła krzesło do stołu śniadaniowego i wdzięcznie poprosiła pokojówkę o przyniesienie jej czegoś do jedzenia.

- Jajka na maśle, tak jak lubię, Rosie, i filiżankę czekolady - nie za słodkiej, nie za gorzkiej.

Caroline pochwyciła wzrok Lavender i skrzywiła się. Powiedziała bezgłośnie: puste kieszenie. Obydwie podejrzewały, nie bez podstaw, że to nie tęsknota za ich towarzystwem skłoniła panią Chessford do szukania schronienia w Hewly, tylko fakt, że jako nałogowa hazardzistka prawdopodobnie splukana się do cna. Lavender westchnęła i zaczęła grzebać widelcem w talerzu. Przyjazd Julii wyraźnie popsuł jej apetyt. Ich nowy gość właśnie dziwił się z udawaną naiwnością, że Lewis i Caroline jeszcze nie przeprowadzili remontu domu, który wyglądał nędznie już wtedy, gdy była tu ostatnio. Po chwili obdarzyła swoim najbardziej olśniewającym uśmiechem sir Thomasa i zaczęła wypytywać nic nie podejrzewającego baroneta o jego posiadłość i majątek. Sir Thomas odpowiadał jej z tą samą dwornością, jaką zademonstrował wcześniej, najwidoczniej całkiem nieświadomy tego, że jest poddawany ocenie jako potencjalny kandydat na męża.

Caroline wzięła Lavender pod ramię i dosłownie wyciągnęła ją z pokoju śniadaniowego.

- Czy ona nie jest bezwstydna? - Otarła łzy śmiechu z oczu. - Podejrzewam, że Julia jednak straciła narzeczonego i bierze biednego sir Thomasa pod uwagę w charakterze następcy.

Lavender ramiona się trzęsły.

- Bez wątpienia uzna go za idealnego kandydata - starszy, bogaty i bezdzietny. O Boże, Caro, chyba nie powinnyśmy były zostawiać tego biedaka z nią samą. Zaręczą się przed końcem śniadania.

Jednakże sir Thomas okazał się zadziwiająco odpór-

ny na wdzięki Julii. Kiedy odważyły się powrócić do pokoju, wygłaszał właśnie wykład na temat ulepszeń w ogrodach w Kenton, który przerwał na chwilę, aby wyjaśnić im, że jego czarująca towarzysza pytała, czym się interesuje.

Julia białą dłonią tłumiła ziewnięcia i tak kierowała rozmową, by otrzymać zaproszenie do Kenton Hall, ale na próżno. Sir Thomas obiecał przesłać jej rozprawę na temat reformy rolnej, serdecznie podziękował Caroline za gościnność i oświadczył, że musi się zbierać do domu. Przy pożegnaniu ze staromodną galanterią ucałował dłoń Lavender.

- Dziękuję za pożyczenie tej botanicznej książki, moja droga - powiedział z błyskiem w oku. - Bardzo mnie uradowało ponowne odkrycie takiego skarbu. Teraz należy do pani i mam nadzieję, że lektura sprawi pani przyjemność. A jeśli ma pani ochotę zapoznać się z resztą mojej biblioteki, z radością powitam panią w Kenton Hall.

Julia wydeła wargi, skoro tylko drzwi się za nim zamknęły.

- Co za beznadziejny stary nudziarz. I jaka szkoda! Cóż, tylko pomyślcie, po jego śmierci posiadłość przynosząca dziesięć tysięcy rocznie dostanie się jakiemuś dalekiemu kuzynowi. Boże, gdyby mi się udało zdobyć zainteresowanie sir Thomasa!

- Ja skupiłabym się raczej na tym dalekim kuzynie, Julio - zauważyła Caroline, siadając i nalewając sobie kolejną filiżankę czekolady z dzbanka stojącego na stoliku. - Będzie młodszy i może bardziej podatny na two-

je wdzięki. Obawiam się, że sir Thomasa interesuje tylko jego ziemia i książki, a ty, niestety, nigdy nie zdołałabyś współzawodniczyć z Platonem.

Julia rozpromieniła się

- Och, doskonały pomysł, Caro. Muszę się wszystkiego dowiedzieć. A teraz powiedzcie mi, jakie przyjemności macie zamiar sprawić mi dzisiaj?

Caroline spróbowała wyglądać na skruszoną, lecz niezbyt jej się to udało.

- Obawiam się, że upała bardzo mnie meczy, Julio, oteż zapewne będę odpoczywać w swoim pokoju. A ty, Lavender?

- Zamierzam dziś popracować nad szkicami, kuzynko Julio. Jeśli masz ochotę towarzyszyć mi w lesie, bardzo proszę.

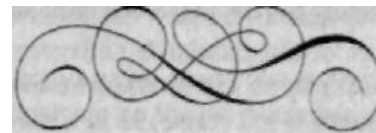
Julia wzdrygnęła się lekko.

- Boże, ależ to nieprzyjemne. Upała i muchy. - Błękitne oczy rozbłyły złośliwie. - Dziwię się, że wciąż zajmujesz się tymi nudnymi szkicami. Chociaż kiedy dama nie ma szansy na zamążpójście i założenie rodziny, powinna chyba mieć jakieś hobby. Tak sobie myślę, że pojedę do Abbot Quincey i złożę wizytę pani Perceval. Na pewno będzie zachwycona, gdy mnie znów zobaczy.

Lavender i Caroline wymieniły spojrzenia. Obydwie pamiętały, że kiedy Julia ostatni raz próbowała odwiedzić ich arystokratycznych sąsiadów, większość z nich z niewiadomego powodu była nieobecna.

- Jak sobie życzysz, Julio - odrzekła Caroline, po

czym odwróciła się do Lavender. - Tylko nie zmęcz się za bardzo spacerem, moja droga. Na dworze jest bardzo gorąco. I uważaj, gdzie idziesz. Wiem, wiem, myślisz, że las jest całkiem bezpieczny, ale ja doświadczyłam w nim tylu dziwnych przygód, że mam prawo twierdzić, iż jest wręcz przeciwnie!



ROZDZIAŁ SIÓDMY

Popołudnie było upalne. Lavender z trudem brnęła przez zalaną słońcem łąkę, z teczką rysunków wciśniętą pod pachę, a drugą ręką przytrzymywała spódnicę. Czuła, jak materiał sukienki przykleja się jej do pleców i pożałowała, że nie włożyła czegoś lżejszego. Kto by się podziwiał takich upałów na początku października!

Cały ranek zszedł jej na rysowaniu roślin do kolekcji, toteż teraz, po południu, była śpiąca i niezbyt skora do dalszej pracy. Nie miała jednak ochoty wracać do domu, gdzie Julia bez wątpienia zdażyła już poczuć się jak u siebie i zgodnie ze swoim zwyczajem zabrała się do psucia krwi domownikom.

Zawędrowała aż do rzeki, przyciągana szumem chłodnej wody uderzającej o głazy. Tutaj pod drzewami zalegał cień, lecz powietrze było tak samo nieruchome i wilgotne jak na łące. Lavender oparła teczkę o pień drzewa i ruszyła w kierunku stawu. Miała wieką chęć wskoczyć do wody, tak jak stała, ale wrodzona skromność stanęła temu na przeszkodzie, aczkolwiek kąpiel na pewno by ją orzeźwiła. Zdecydowała, że przemycie rąk i twarzy musi jej wystarczyć, rozpięła guziczki przy wysokim kołnierzyku sukni,

żeby przynajmniej poczuć powiew wiatru na rozgrzanej skórze.

Kiedy zbliżyła się do stawu, okazało się, że nie jest sama. Ktoś najwyraźniej wpadł na ten sam pomysł co ona, tyle że w przeciwieństwie do niej, nie miał oporów przez rozebraniem się i wskoczeniem do wody. Zdawała sobie sprawę, że powinna się zbierać, i to szybko, jednak stała i patrzyła przez chwilę, o ułamek sekundy za długo.

Kiedy tak zwlekała z odejściem, zobaczyła, że ten ktoś dopływa do brzegu i wychodzi z wody. Był to Barney Hammond. Nie sposób było nie rozpoznać jego barczystej, proporcjonalnie zbudowanej sylwetki, ciemnych włosów, lśniących od ściekających po nich kropli wody. Był nagi od pasa w górę, bosy, a prze-moczone spodnie oblepiały muskularne nogi. Uniósł ręce, aby otrzeć wodę z twarzy, i Lavender wstrzymała oddech, obserwując, jak w mglistym świetle jego skóra zmienia odcień ze złotego na ciemny brąz. Serce waliło jej jak młotem, a dziwne podniecenie, pod-skórny prąd zmysłowej rozkoszy, wzburzyło krew, tak samo jak wówczas, kiedy ją pocałował. Lavender utkwiała w nim wzrok, a Barney uniósł głowę i popatrzył wprost na nią.

W tym momencie nagle przypomniała sobie wszystkie jakże słuszne powody, dla których nie powinna była czaić się w lesie i podglądać półnagich mężczyzn. Pospiesznie zrobiła w tył zwrot i ruszyła w drogę powrotną po swoją teczkę, doskonale zdając sobie sprawę, że on idzie za nią. Jej spódnica przykrywała kostki, a po-

zycie lasu zaścielały gałęzie i krzaki jeżyn, które zaczepiały o materiał i utrudniały marsz. Barney zrównał się z nią po paru krokach, tak przynajmniej jej się wydawało, chwycił ją za ramię i bez najmniejszego wysiłku odwrócił twarzą do siebie.

- Panna Brabant! - Nawet nie miał zadyszki. - Dlaczego pani ucieka?

Zabrzmiało to raczej jak wyzwanie niż pytanie. Lavender uniosła podbródek.

- Oddalałam się, sir, bo o ile dobrze zrozumiałam, nie chce pan się ze mną widywać, a poza tym - popa---yła na niego znacząco, nie mogąc się powstrzymać - nie jest pan odpowiednio ubrany, żeby rozmawiać z damą!

Barney zerknął w dół, na swoje spodnie, wciąż przyklejone do ud i uśmiechnął się szeroko.

- Jakoś nie przejmowała się pani tym tak bard/o wcześniej, kiedy to podglądała mnie pani w lesie albo w stawie!

Lavender otworzyła usta, gotowa zaprotestować, ale zamknęła je na powrót. Jej twarz spłonęła rumieńcem. Przecież nie mogła zaprzeczyć, że widziała, jak poje-dynkował się z Jamesem Oliverem, a co do reszty... Od samego początku podejrzewała, że fakt, iż widziała go w stawie już wcześniej, nie był dla niego tajemnicą. A damie nie godziło się zostać przyłapaną na szpiegowaniu.

- Ja... ja bardzo przepraszam - zdołała wykrztusić.
- Naprawdę nie miałam zamiaru rozmyślnie pana podglądać.

Barney uniósł brwi w geście świadczącym o niedowierzaniu znacznie wymowniej niż jakiegokolwiek słowa.

- Doprawdy? - powiedział, przeciągając samogłoski. - Cóż, jeśli sama zamierzała pani wziąć kąpiel, czemu w takim razie pani tego nie robi? - Skinął ręką za siebie, w stronę stawu. - Tam jest wystarczająco dużo miejsca dla dwojga!

Lavender otworzyła szeroko oczy.

- Och, nie mogłabym! To nie byłoby właściwe.

- Mniej właściwe niż podglądanie z ukrycia? - spytał Barney z nieznacznym uśmiechem. - Ma pani dziwaczne poglądy na to, co jest właściwe, a co nie, panno Brabant!

Lavender przygryzła wargę. Zdaje się, że nie zamierzała tak łatwo jej darować.

- Już mówiłam, to był przypadek,

- Rzeczywiście, tak pani powiedziała.

- W lesie spotyka się wielu ludzi i widzi wiele rzeczy! - wypaliła Lavender, dotknięta do żywego jego sarkazmem.

Barney uśmiechnął się szeroko i jego zęby zabłysły śnieżną bielą na tle opalanej twarzy. Jedną ręką oparł się o pień najbliższego drzewa. Lavender utkwiała wzrok w odległej kępie dębów i jesionów. Wiedziała, że jest pod obserwacją, ale nie mogła spojrzeć mu w oczy. A już z pewnością nie chciała patrzeć niżej, gdzie na nagim torsie wciąż lśniły pojedyncze krople wody, albo jeszcze niżej, gdzie wilgotne spodnie oblepiały jego ciało niczym druga skóra, upodabniając je do doskonale pięknej klasycznej rzeźby.

- Muszę już iść - powiedziała cicho. - Jest stanowczo za gorąco na spacer po lesie.

Co prawda, to prawda. Powietrze wokół nich zdawało się parować odurzającym zmysłowym żarem.

- Już zaczęła pani rozpinąć suknię, jak widzę - zauważył Barney obojętnie, utkwivszy wzrok we wgłębieniu poniżej szyi Lavender, gdzie, o czym świetnie wiedziała, tętno pulsowało jej jak szalone. - Na pewno nie da się pani skusić na krótką kąpiel w stawie?

Lavender miała wrażenie, że się dusi. To, czego chciała, a to, co jak doskonale wiedziała, powinna zrobić, pozostawało w sprzeczności. Odchrząknęła.

- Nie, naprawdę powinnam iść.

Jej słowa zabrzmiały nieprzekonująco nawet dla niej samej, Barney zignorował je, wyprostował się i podszedł bliżej.

- W takim razie proszę przynajmniej zdjąć czepek. Tu słońce prawie nie dociera, a pani będzie o wiele przyjemniej, jeśli poczuje pani podmuch powietrza na twarzy.

Wyciągnął rękę, chwycił koniec jednej ze wstążek i pociągnął lekko, aż węzeł się rozplatał. Lavender poczuła, jak czepek zsuwa jej się z głowy i po chwili opada na trawę. Miał rację - tego dnia prawie nie było wia-
---, czuła jedynie leciutki ciepły powiew na rozgrzanej warzy.

Rankiem splotła włosy w warkocz i upięła do góry szpilkami, a teraz zobaczyła, jak Barney ponownie unosi rękę i metodycznie wyciąga szpilki, w których zło-

tych łebkach odbija się słońce. Czuła jego palce we włosach, czuła, jak zagarnia dłońią platynowe pasma i jak miękko opadają jej na ramiona. Ani on, ani ona nie powiedzieli ani słowa.

Barney przez moment przytrzymał garść jedwabistych pasm, po czym puścił je wolno i obserwował, jak mu się prześlizgują między palcami.

- Tak jest lepiej. Chciałem znów je zobaczyć. Tak pięknie pani wyglądała wczoraj, w trawie, z rozpuszczonymi włosami.

- Nie powinien pan. - Słowa, które się z niej wydobyły, nie były głośniejsze od szeptu. Drżała na całym ciele, bała się, że kolana zaraz się pod nią ugną. Zdawała sobie sprawę, że oddycha za szybko i za płytko, a w dodatku nie mogła oderwać od niego wzroku ze strachu i fascynacji tym, co zrobi za chwilę.

Barney odgarnął długie pasma włosów z jej szyi, muskając palcami skórę w miejscu, które odsłoniła, rozpinając kołnierz. Kiedy zabrał się do odpinania maleńkich perłowych guziczków biegnących w dół stanika, Lavender przeszedł dreszcz. Gardło miała wysuszone, a skóra ją paliła i była lepka od potu. Kręciło jej się w głowie, była bliska omdlenia i mogła myśleć wyłącznie o tym, że pragnie, by Barney ją pocałował, i że ból, który czuje w głębi ciała, jest nie do zniesienia, toteż zrobiłaby wszystko, żeby go złągodzić.

Twarz Barneya wyrażała głębokie skupienie, a dłoń powędrowała niżej, rozpinając kolejny guzik, drugi, trzeci. Jego spojrzenie utkwilo w miejscu, gdzie był wi-

doczny brzeżek białej batystowej bielizny, a tuż nad nim lekka wypukłość piersi.

Lavender wydała stłumiony pisk, coś pośredniego między cichym okrzykiem a jękiem i wyciągnęła rękę, ale czy po to, by zatrzymać jego palce, czy po to, by mu pomóc, nie miała pojęcia. Ostatecznie chwycił jej dłoń i ponownie przesunął na swoje miejsce u jej boku z tym samym wyrazem całkowitego skupienia na twarzy. Plecami opierała się o drzewo; czuła pod dłońmi szorstką korę pnia, którego się przytrzymała dla zachowania równowagi. Barney do tego czasu zdążył już rozpiąć guziki prawie do talii i zsuwał tkaninę z ramion, aż w końcu suknia opadła zmięta na ziemię i Lavender została w samej bieliźnie. Ona, która zaledwie przed dziesięcioma minutami rozważała pomysł rozebrania się do bielizny i wykapania w chłodnym stawie, ale ostatecznie go odrzuciła, zadrżała konwulsyjnie, kiedy uświadomiła sobie, co się z nią dzieje.

Marzyła za tym, aby dotknąć Barneya. Bliskość jego muskularnego opalonego ciała to więcej niż mogła znieść, toteż znów wyciągnęła ku niemu dłoń, tym razem wzdychając z ulgą, kiedy wziął ją w ramiona.

Mówił tak cicho, że ledwie go słyszała.

- Och, Lavender... Tak bardzo tego pragnąłem.

Ona pragnęła tego również. Kiedy ich usta się spotkały, zamknęła oczy, zapominając o wszystkim poza smakowaniem i dotykiem.

Pocałunek był niemal brutalny, nasycony długo tłumionymi emocjami. Lavender rozchyliła wargi, odpowiadają-

jąc na jego żądania z równą żarliwością. Przytuliła się jeszcze mocniej i przesunęła dłońmi po jego nagich plecach, zachwycona jękiem, który wyrwał się mu pod wpływem tej pieśczoły. Skórę miał gładką i chłodną, wciąż lekko wilgotną od wody. Pocałował ją znów, gwałtownie, pożądliwie, zadzierając jej podbródek tak, by móc badać słodycz jej ust. Przywarł wargami do kącika jej ust, potem do słodkiego zagłębienia poniżej szyi, a potem...

Lavender wygięła się w łuk, dręczona pożądaniem, aż wreszcie poczuła dłonie Barneya obejmujące jej piersi przez cienką bieliznę, poczuła, jak rozsuwa materiał na boki, pochyla głowę i bierze jeden wrażliwy koniuszek do ust. Przeszyła ją niebywała rozkosz. Jego zarost lekko podrapał odsłoniętą skórę i spazmatycznie złapała powietrze.

Padli na trawę i trwali tak przez dłuższą chwilę, oszołomieni, we władzy pożądania, zaledwie parę cali od siebie.

Lavender otworzyła oczy. Leżała na plecach, wpatrzona w baldachim z zielonych liści na tle błękitnego nieba. Barney, wsparty na łokciu obok niej, wciąż przyglądał się jej w pożądliwym skupieniu. Dostrzegła drobne złote włoski na jego ręku, wysunęła palec i przejechała nim wzdłuż ramienia. Było ciepłe w dotyku, pachniało słońcem i świeżym powietrzem. Barney uśmiechnął się, tym nieodgadnionym, sennym uśmiechem, od którego przejął ją dreszcz. Znów wziął ją w ramiona, wsunął dłoń w rozsznurowany stanik i palcami na powrót muskał jej piersi. Lavender odchyliła głowę, włosy rozsypały się wokół twarzy.

- Pocałuj mnie jeszcze.

Usłyszała śmiech Barneya. Mówił ochryple.

- Jesteś pewna, że właśnie tego chcesz, Lavender? Pochylił się nad nią i zaczął całować delikatną skórę na jej piersiach. - A może czegoś więcej?

Głos Lavender przeszedł w westchnienie. Zamknęła oczy,

- Och.

Znów ją całował. Złączeni w uścisku, nie dostrzegali niczego, nie słyszeli nikogo. Dopiero kiedy czapła, trzepocząc z całej siły skrzydłami, zerwała się z wody, i wszystkie inne ptaki sfrunęły z drzew, Lavender poruszyła się lekko i oderwała od Barneya.

- Czy ktoś tu był?

Szczególny nastrój został zmacony. Usiedli. Pośród ciemnych drzew nie dostrzegli nikogo, ale Lavender drżała. Jej spojrzenie padło na ubranie w nieładzie i trzęsącymi się palcami poprawiła bieliznę. Była jak odrętwiała - nie żałowała tego, co zrobiła, co więcej, nawet nie myślała jasno. Wiedziała jedno: chciała, żeby Barney się z nią kochał, chciała tego bez względu na wszystko, lecz ta chwila należała do przeszłości.

Powietrze było wciąż gorące i parne, brzęczały pszczoły, ale teraz wyglądało to raczej na wstęp do kolejnej burzy z piorunami. Lavender podniosła suknię z trawy i usiłowała pozapinać maleńkie guziczki.

Barney przyglądał się jej z nieodgadnioną miną. Po chwili wstał i podszedł bliżej. Na pewno widział, jak bardzo drży, a ręce trzęsą jej się tak, że nie może trafić w dziurki.

- Pozwól mi, proszę - przemówił spokojnie, po czym zapiął je tak samo szybko i sprawnie, jak rozpiął. Skończył i cofnął się o krok.

Lavender nagle uświadomiła sobie, że jest bliska płaczu. Nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje, lecz miała łzy w oczach i czuła, że lada chwila popłynie ciurkiem.

- Proszę, nie...

- Kochanie. - Barney zignorował jej słowa i opór ciała i wziął ją w ramiona. Kiedy poczuł, że się odpreżyła, powiedział z ustami w jej włosach:

- Lavender, po tym, jak pocałowałem cię ostatnim razem, przysiągłem sobie, że to się więcej nie powtórzy - Odsunął ją trochę od siebie i jedną dłonią musnął jej policzek. - Przeprosiłem cię wtedy, ale wcale nie było mi przykro i teraz też nie jest. Gdybym miał jakiś wybór... - Powoli pokręcił głową. - Tyle że my nie mamy wyboru. Nie możemy się spotykać.

Lavender uniosła głowę, a w jej fiołkowych oczach nagle zapłonął gniew.

- Nie można powiedzieć, żebyś był pełen galanterii. Po tym wszystkim, co właśnie się wydarzyło między nami...

Barney ją puścił.

- Wiesz, że to nie tak. Niczego nie pragnę bardziej, niż być z tobą na zawsze, lecz to niemożliwe. - Na jego twarzy odmalowała się irytacja. - Och, Lavender, bądź rozsądna! Między nami nie może do niczego dojść.

- Powiedziałybym, że trochę na to za późno! - Wy-

zywająco uniosła podbródek. - Żałuję, że przerwałeś. Wtedy przynajmniej mógłbyś zachować się jak na dżentelmena przystało!

Twarz Barneya nie wyrażała niczego.

- Nie jestem dżentelmenem, a ty wiesz, że na tym właśnie polega mój problem. Nie mam ci nic do zaofiarowania. Chciałbym, żeby było inaczej, tak jednak nie

Lavender oparła obie dłonie na jego nagiej piersi.

- Przecież mnie pragniesz, oboje o tym wiemy.

- To nie takie proste.

- Dlaczego nie? - Uderzyła go zaciśniętą pięścią w ramię. - Dlaczego z tymi wszystkimi dziewczętami, mam na myśli dziewczęta ze wsi, możesz zabawiać się, jak ci się podoba - a ze mną nie chcesz?

Barney pochwyił jej nadgarstek.

- Przede wszystkim nie było żadnych innych dziewcząt. A po drugie, nawet gdyby były, ty nie jesteś taka jako one.

Lavender zamilkła, raczej na skutek jego pierwszego oświadczenia niż oczywistej prawdziwości drugiego. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Żadnych innych dziewcząt? Jak to - nigdy?

- Nie.

- Ale na pewno... - Lavender zawahała się. - Przecież bez ustanku ci się narzucają. Sama widziałam. A... a przecież to jasne, że wiedziałeś, w czym rzecz.

Spostrzegła, że Barney się uśmiechnął, pochylając się, żeby odszukać jej czepek w wysokiej trawie.

- Pochlebiam mi, że tak uważasz. Tak naprawdę dla

nas obojga byłby to pierwszy raz. - Przeszył ją wzrokiem. - Za kogo mnie bierzesz, Lavender? Tak, to prawda, miewałem różne propozycje, czemu jednak miałbym z nich skorzystać?

Lavender ściągnęła brwi.

- Ja tylko... przypuszczam, że myślałam... Tak właśnie postępują wszyscy.

Barney wzruszył ramionami.

- Może i tak, ale nie ja. - Twarz zabarwił mu nikły rumieniec. - Chciałem poczekać, aż spotkam kogoś szczególnego. Czy to nie ironia losu, że kiedy właśnie spotkałem taką kobietę, nie mam prawa jej tknąć? - Spojrzał na nią ze złością. - To wszystko nie ma sensu. Przykro mi, lecz to niemożliwe. A teraz wybac, proszę. Muszę już iść.

Lavender wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać, ale strząsnęła ją i odwrócił się do niej plecami.

- Nie, Lavender! Błagam cię, nigdy więcej nie wystawiaj na próbę mojej siły woli.

Lavender patrzyła, jak zdecydowanym krokiem idzie z powrotem na brzeg stawu, podnosi z trawy koszulę i zakłada na siebie. Nie spojrzał więcej w jej stronę. Po chwili naciągnął długie buty, zarzucił surdut na ramię i skręcił na ścieżkę prowadzącą do Abbot Quincey. Na wpół odwrócony, po prostu szedł, ze spuszczoną głową, rozmyślnie unikając jej wzroku. Patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za drzewami, po czym powoli ruszyła w kierunku Hewly. Jej teczka była wciąż oparta o drzewo, tak jak ją zostawiła, jak jej się wydawało, przed wieloma godzinami.

Podniosła ją i skierowała się ku domowi, po drodze próbując uporządkować myśli i uczucia. Było jej ciepło i była oszołomiona, szczęśliwa i smutna, wszystko naraz. Teraz wiedziała, że kocha Barneya, a sądząc po tym, co powiedział, na pewno on kochał ją także. Utrzymywał, że nie jest dżentelmenem, ale zdaniem Lavender jego opór przed poproszeniem jej o rękę wynikał z tego, że nim był. Uważał, że nie ma jej nic do zaofiarowania, podczas gdy ona, zaślepiona i oszołomiona swoimi uczuciami, mogła uznać, że byłaby szczęśliwa, mieszkając w wiejskiej chacie, byle z nim. On widocznie uznał, że córce admirała, damie wywodzącej się z dwóch wielce szanowanych rodów, należy się coś więcej.

Lavender uśmiechnęła się lekko do siebie, wymachując w powietrzu czepkiem, trzymanym za wstążki. Liczyło się przede wszystkim to, czy Barneyowi na niej zależy, a ponieważ tak było, będzie musiała nakłonić go do zmiany zdania. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak zdoła do tego doprowadzić, ale była zdeterminowana. Wiedziała, że w końcu osiągnie cel. Nowo odkryte emocje pochłonęły ją na tyle, że nawet cierpkie uwagi Julii nie były w stanie sprawić jej przykrości, i resztę dnia spędziła, snując się po domu z lekkim uśmiechem na wargach i rozmarzeniem w oczach.

Na drugi dzień, wczesnym rankiem, rozległo się energiczne stukanie do drzwi, a następnie z sieni dobiegły odgłosy gwałtownej sprzeczki. Po chwili

do pokoju wkroczył Kimber, najwyraźniej zbity z tropu.

- Proszę mi wybaczyć, kapitanie Brabant. Przybył ktoś, kto żąda widzenia się z panem. Twierdzi, że to niezwykle pilne. Pozwoliłem sobie wprowadzić go do pańskiego gabinetu. To pan Arthur Hammond.

Lavender gwałtownie odwróciła głowę, upuszczając grzankę na podłogę, gdzie natychmiast dopadło do niej jedno z kociąt. Jej reakcja nie uszła uwagi Julii. Błękitne oczy kuzynki aż rozblęskły z ciekawości. Lewis ze zrezygnowaną miną odłożył serwetkę i wstał z miejsca.

- Bardzo dobrze, Kimber, dziękuję ci. Wygląda na to, że ostatnio padliśmy ofiarą porannych wizyt! Panie wybaczą - pocałował Caroline w głowę - że na chwilę się oddalę.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zastanawiała się Caroline, nalewając sobie kolejną filiżankę herbaty. - Arthur Hammond, w dodatku z samego rana. Głowę bym dała, że zawsze płacimy nasze rachunki od razu.

Wielkie niebieskie oczy Julii przesunęły się z twarzy Caroline na spłonioną twarz Lavender.

- Może jestem w błędzie - odezwała się z nutką złośliwości w głosie - ale odnoszę wrażenie, że kuzynka Lavender zna odpowiedź na to pytanie! Chcesz nam coś powiedzieć, moja droga?

Lavender zarumieniła się jeszcze bardziej. Zjadliwość Julii przyprawiała ją o mdłości.

- Przykro mi, lecz nie wiem, co masz na myśli, ku-

zynko Julio - odparła z całym spokojem, na jaki była w stanie się zdobyć. - Mój brat i pan Hammond bez wątpienia właśnie pracują nad rozwiązaniem owej kwestii i sprawa zostanie załatwiona, zanim my...

Zdaje się, że zbytnio się pospieszyła. Choć gabinet znajdował się po przeciwnej stronie sieni i zarówno drzwi do pokoju śniadaniowego, jak i do gabinetu były zamknięte, wszystkie trzy usłyszały podniesiony głos, nabrzmiały emocjami.

- Kapitanie Brabant, jeśli chce pan, żeby dobre imię pańskiej siostry szarpano w okolicznych wioskach, a ją samą traktowano jak zwykłą ładacznice...

Caroline wstała i delikatnie postawiła drugą kotkę na dywanie. Odchrząknęła.

- Cóż, chyba powinnam trochę odpocząć. Dziś od namego rana rana znów odczuwam znużenie. Lavender, byłabyś tak miła, aby udać się ze mną na górę i poczytać mi książkę?

Jednakże było za późno na ucieczkę. Kiedy znalazły się w sieni, cała rozbrzmiewała donośnym, aż nadto wyraźnym głosem Arthura Hammonda, dobiegającym zza drzwi gabinetu.

- W wiosce nie mówi się o niczym innym, sir! Albo natychmiast ogłoszą zaręczyny, albo reputacja panny Brabant będzie zszargana!

Caroline zerknęła bystro na Lavender i przysunęła się do niej jeszcze bliżej, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się i Lewis wypchnął Hammonda do sieni, widocznie zamierzając wyrzucić go z domu. W drzwiach pokoju śniadaniowego stanęła Julia. Na jej twarzy malowały się

podniecenie i złośliwość. Lavender zrobiło się niedobrze.

Hammond nie przestał mówić nawet wtedy, gdy Lewis niemal siłą prowadził go ku drzwiom. Zniżył trochę głos, przybierając teraz przypochebny ton.

- Ależ to nie jest taka zła partia, kapitanie! Pańska mała siostrzyczka może się wykazać dobrym pochodzeniem, sir, ale za to mój chłopak ma pieniądze. W każdym razie mógłby je mieć, jeśli taka będzie moja wola, a w tym wypadku byłbym więcej niż hojny.

Lewis przerwał te wywody stanowczym tonem.

- Panie Hammond, uważam, że pańskie słowa nie mają najmniejszego związku ze sprawą! Nie będę rozmawiał na ten temat z nikim z wyjątkiem pańskiego syna, o ile ma życzenie tu przyjść i wyjaśnić, dlaczego naraził na szwank dobre imię mojej siostry.

- Syn nic nie wie o mojej wizycie! - Głos Hammonda brzmiał wojowniczo. Haftowana kamizelka napięła się niepokojąco na wydatnym brzuchu. - Przyszędłem tutaj w jego imieniu, jak przystało na dobrego ojca, próbując ratować reputację własnego syna i pańskiej siostry, kapitanie Brabant! Pańska odmowa przedyskutowania całej sprawy poważnie...

- Proszę mi wierzyć, panie Hammond, traktuję tę sprawę niezwykle poważnie! - Oczy Lewisa rozbłyły, a wargi zacisnęły mu się w cienką kreskę, co wskazywało na to, że z trudem nad sobą panuje. Lavender zobaczyła, jak omiótł wzrokiem wszystkie trzy kobiety, zatrzymując go z pogardą na drobnej, pełnej ciekawości

twarży Julii. - Jednakże będę rozmawiał o tym wyłącznie z pańskim synem i z pewnością nie w obecności moich gości i służących!

- Bardzo chwalebne, kapitanie - zauważył Hammond szyderczo. - Pańscy służący właśnie w tej chwili powtarzają sobie plotkę, którą już zdążyli usłyszeć w Abbot Quincey.

- Bez wątpienia - przerwał mu Lewis zimno. - Jestem zmuszony prosić pana o opuszczenie tego Domu, panie Hammond. W tej chwili nie mamy o czym rozmawiać. Kimber, wskaż panu drogę do wyjścia!

Hammond wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Kimber, z kamienną twarzą, przytrzymał mu drzwi.

- Do widzenia panu - powiedział grobowym głosem.

Hammond, wciąż napuszony, ku swemu zdziwieniu znalazł się na wyżwirowanym podjeździe przed rezydencją. W sieni zapanowała cisza pełna napięcia, którą po chwili przerwał Lewis.

- Lavender - odezwał się bardzo uprzejmie - czy byłabyś tak dobra i przeszła ze mną do gabinetu?

Caroline nagle uprzytomniła sobie, że Julia wręcz rozkoszuje się całą sceną.

- Julio! - Złapała kuzynkę za rękę. - Czy zechciałabyś powiedzieć mi, co myślisz o nowym czerwonym adamaszku do jadalni? Masz taki doskonały gust.

Lewis odsunął się na bok i wpuścił siostrę pierwszą do gabinetu. Serce biło jej przyspieszonym rytmem. Bardzo rzadko widywała zagniewanego Lewisa, bo

z natury był wyjątkowo zrównoważony, ale zdenerwowany mógł być naprawdę groźny. Od jego powrotu z morza w poprzednim roku bardzo się zaprzyjaźnili i gdyby zmienił zdanie o niej, niełatwo by jej przyszło się z tym pogodzić. Zaciśnęła dłonie, aby powstrzymać ich drżenie, i zerkała na niego nerwowo. Lewis podszedł do okna.

- Usiądź albo stój, jeśli tak wolisz. - Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. - Czasami łatwiej zmierzyć się z trudną sytuacją na stojąco!

Lavender odpowiedziała mu nieco drżącym uśmiechem. Brat wpatrywał się uważnie w jej twarz.

- Napijesz się czegoś? Czegoś na uspokojenie?

Lavender pokręciła głową.

- Nie, dziękuję. Co pan Hammond miał do powiedzenia?

Lewis skrzywił się.

- Arthur Hammond zakomunikował mi - a właściwie całemu domowi - o pogłoskach krążących w Abbot Quincey. Pogłoskach, które łączą cię z jego synem. Z pewnością słyszałaś większość z tego, co miał do powiedzenia. - Lewis wcisnął ręce w kieszenie. - Podobno wczoraj ktoś was widział przy stawie w... jakby to powiedzieć... dość intymnej sytuacji.

Przerwał w pół zdania, bo Lavender spurpurowiała na twarzy i przycisnęła obie dłonie do policzków. Mimowolnie zrobiła krok do tyłu.

- Och, nie! Tam ktoś był! Zastanawiałam się...

Lewis uniósł brwi. Wyglądał na nieco zaskoczony.

- Czyżbyś chciała mi powiedzieć, że te pogłoski są prawdziwe?

Lavender spojrzała mu w oczy i szybko uciekła wzrokiem.

- Tak... nie! Domyślam się - odwróciła głowę - że to musiało nie najlepiej wyglądać.

Lewis przeszedł na środek pokoju.

- Czy twoim zdaniem to, co się tam wydarzyło, może narazić na szwank twoją reputację? - spytał ostrożnie. - Wybacz mi, nie chcę cię martwić jeszcze bardziej, ale...

Lavender zalała się łzami.

- Och, przypuszczam, że tak będzie! Tak, domyślam się, że ludzie mogą tak to potraktować. Powiedział, że nie może mi nic zaofiarować, i wiem, że próbował tylko zachować się szlachetnie, ale ja go kocham.

Lewis, nie mówiąc nic więcej, przeszedł przez pokój i wziął siostrę w objęcia. Zapłakana Lavender wtuliła twarz w jego ramię.

- Och, to takie niesprawiedliwe.

- Wiem - pogłodził ją delikatnie po włosach - ale on ma rację.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Lavender zaszlochała jeszcze głośniejsze. - Wysłabym za niego choćby jutro.

Lewis kręcił głową, lecz nie powiedział nic więcej i niebawem szloch Lavender ustały. Wiedziała, że Obiektywnie rzecz biorąc, zarówno Lewis, jak i Barney mają słuszność. Nie miał jej nic do zaofiarować na i ich

ewentualne małżeństwo byłoby mezaliansem. Jednakże to wszystko nie miało dla niej znaczenia, nie wtedy, kiedy chciała spędzić z nim resztę życia. A teraz, gdy wszyscy o tym mówili...

- Co się teraz stanie? - spytała żałośnie, sięgając po chusteczkę, by wytrzeć sobie twarz.

Lewis podał jej swoją,

- Myślę, że przede wszystkim musimy wysłuchać, co pan Hammond ma do powiedzenia. Może, skądinąd słusznie, uważać, że nie ma prawa prosić o twoją rękę, niemniej zniszczył ci reputację.

Oczy Lavender znów napełniły się łzami.

- To nie jego wina!

- Ale on musi ponieść odpowiedzialność. - Lewis odsunął się nieco. - Lavender...

Dobiegło do nich rytmiczne walenie we frontowe drzwi.

- Jeśli to Arthur Hammond z kolejnymi żądaniami, obję go szpicrutą i wyrzucę z domu - rzekł stanowczo Lewis.

Lavender, mimo przygnębienia, zebrało się na śmiech.

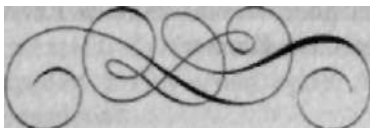
- Och, Boże, mieć takiego teścia.

Lewis zrobił niewesołą minę.

- Nie martwmy się takimi rzeczami, dopóki nie rozważymy wszystkich możliwości! A teraz...

- Przepraszam, sir. - W drzwiach gabinetu stanął Kimber, z miną chyba jeszcze bardziej pozbawioną wyrazu niż poprzednio. - Przyszedł pan Barney Hammond i prosi o natychmiastową rozmowę.

- W samą porę! - skomentował Lewis oschle.-
Wprowadź go tutaj, Kimber!



ROZDZIAŁ ÓSMY

Lavender nie miała zbytnej ochoty pokazywać się Barneyowi w stanie takiego wzburzenia, toteż spróbowała wymknąć się z gabinetu, zanim on tu wejdzie, lecz Lewis jej to uniemożliwił - złapał ją za rękę i nie zamierzał puścić.

- Wcześniej czy później i tak będziesz musiała stanąć z nim twarzą w twarz - rzekł półgłosem. - Dowiedzmy się, co ten biedak ma do powiedzenia, zanim weźmiesz nogi za pas.

Lavender uśmiechnęła się niepewnie.

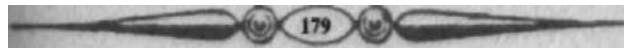
- Nie jestem tchórzem, nie ucieknę! Ale potrzebuję czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Lewis skinął głową.

- Będziesz miała tyle czasu, ile ci będzie trzeba, obiecuję solennie, lecz najpierw wysłuchajmy pana Hammonda.

Przerwał, kiedy do gabinetu wszedł Barney, jednakże, chociaż puścił rękę siostry, nie odszedł zbyt daleko. Lavender uznała to za dobry znak. Zdaje się, że bez względu na to, jak bardzo się skompromitowała, ani Lewis, ani Caroline nie zostawiają jej własnemu losowi.

Barney wszedł do pokoju sprężystym krokiem, lecz



niewyraźna mina zadawała kłam pozornej pewności siebie. Pobladły i spięty, zwrócił się wprost do Lewisa.

- Proszę o wybaczenie, że wdarłem się w taki sposób do pańskiego domu, kapitanie Brabant. Zdaję sobie sprawę, że musi się to wydawać dość niezwykle, jednakże sprawa, z którą przychodzę, jest szczególnej wagi. - Jego spojrzenie po raz pierwszy zwróciło się ku Lavender. - Czy mógłbym porozmawiać z panem w cztery oczy?

- Naturalnie - zgodził się Lewis z podejrzaną skwapliwością. - Domyślam się, że potem będzie chciał pan porozmawiać z moją siostrą, panie Hammond?

- Ja... tak. - Spojrzenie Barneya znów przeniosło się na Lavender i mogłaby przysiąc, że na moment złagodniało. - Panno Brabant, proszę o wybaczenie.

- Nie ma tu nic do wybaczenia, sir - powiedziała drżącym głosem, na co zareagował nikłym uśmiechem, pełnym smutku. Zwróciła się do Lewisa: - Będę w bibliotece.

Lewis skinął głową, uśmiechając się dla dodania siostrze odwagi. Zaraz potem wyszła z gabinetu i delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

W domu panowała cisza. Caroline widocznie udało się odnotować Julię, a cała służba udała się do swoich pomieszczeń za drzwi przesłonięte zielonym sukniem.

Lavender weszła do biblioteki i usiadła skulona w wykuszu okiennym.

Czuła, jak radość poprzedniego dnia umyka, wypływa się z niej niczym pierze z rozprutej poduszki. Za-

częła się zastanawiać, czy przypadkiem sobie nie wyobraziła, że ona i Barney mogą być razem szczęśliwi. Być może oszukiwała samą siebie, że zdoła go przekonać, by przestał przywiązywać wagę do dzielących ich różnic. Teraz, kiedy cała sprawa wyszła na jaw, odnosiła wrażenie, że wszyscy myślą wyłącznie o tym.

Westchnęła. Kiedy mężczyzna żenił się, zwłaszcza dla pieniędzy, z kobietą stojącą niżej od niego w hierarchii społecznej, nie wywoływało to szczególnego zdziwienia. W przypadku kobiety rzecz miała się zgoła inaczej. Lavender rozumiała, co sugerował brat, i zdawała sobie sprawę, że w oczach całego świata popełniłaby pozałowania godny mezalians. Nie dalej jak wczoraj Barney stanowczo oświadczył, że nigdy nie poprosi jej o rękę. Teraz jednak został w pewnym sensie do tego zmuszony.

Nie wiedziała, jak długo siedziała w bibliotece, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Barney. Wciąż był bardzo blady mimo opalenizny i miał kamienną twarz. Lavender wstała, nagle zdenerwowana. Barney przeciął pokój, zbliżył się do niej i ujął jedną z jej chłodnych rąk w swoje.

- Panno Brabant, wczoraj tłumaczyłem, dlaczego nie mogę się pani oświadczyć mimo szacunku, jakim panią darzę. Teraz jednak wszystko wskazuje na to, że wystawiłem na szwank pani reputację. Przyjmuję, że to prawda, i zgadzam się wziąć na siebie całą odpowiedzialność. Dlatego też poprosiłem pani brata o pozwolenie ubiegania się o pani rękę. - Skrupulatnie cofnął się o krok i puścił jej dłoń. - Uczyniłaby mi pani wielki

zaszczyt, niezwykle zaszczyt, gdyby zgodziła się pani zostać moją żoną.

Lavender wzięła głęboki oddech. Jego słowa ją zraniły bo nie zadał sobie trudu, by ukryć, że oświadcza się bo nie ma innego wyjścia. Nie chciała, żeby odbyło się to w ten sposób i uznała za wyjątkowo okrutne, że nie miała szansy z nim porozmawiać i nakłonić go do zmiany zdania.

Spróbowała zdobyć się na uśmiech.

- Proszę, może usiądziemy i porozmawiamy o całej sprawie w wygodniejszej pozycji? Mam poważne obawy że taka dawka emocji wkrótce po śniadaniu może mnie zwalić z nóg.

Barney uśmiechnął się słabo, ale kiedy już siedział przy niej w wykuszu okiennym, widać było, że nieco się odprężył. Znów wziął ją za rękę, tym razem bardziej naturalnie.

- Lavender, przykro mi, że nie wygląda to tak, jakbyś sobie życzyła. Bogu wiadomo, że mam dla ciebie wiele szacunku i niczego nie pragnę bardziej niż tego, byś została moją żoną. Ale - potrząsnął głową - muszę cię też prosić o to. żebyś zastanowiła się nad zmianami, jakie zajdą w twoim życiu, gdybyś zdecydowała się za mnie wyjść.

Niespokojnie zerwał się z miejsca, zupełnie jakby nie był w stanie znieść myśli, które kłębiły mu się w głowie, oddalił się od niej o parę nerwowych kroków, po czym stanął zwrócony twarzą do niej i w przystępie rozpaczy rozłożył ręce.

- Serce mi pęka, że muszę cię prosić o coś takiego!

Ile czasu musi upłynąć, zanim pożałujesz tak pośpiesznego małżeństwa? Możesz stać się zgorzkniała i pełna urazy, bo nieustannie będziesz myślała o tym, co straciłaś!

Musiał zauważyć, że odruchowo zaprzeczyła, bo podjął pośpiesznie:

- Och, teraz mówisz, że nigdy nie będziesz się tak czuła, ale sama powiedz, co ja ci mogę dać? Nie mam nawet zawodu! I co, będziesz mieszkała nad sklepem kupca bławatnego? Ty, dama wychowana w Hewly Manor? Będziesz stała wraz ze mną za ladą, zajmowała się klientami, na każde zawołanie mego ojca? - Gwałtownie odwrócił się do niej plecami. - To niedopuszczalne! A jednak właśnie o to cię proszę, bo teraz jestem zobowiązany zaoferować ci moje nazwisko - to wszystko, czym mogę cię obdarzyć. Nie mam ani domu, ani zawodu, niczego, co należałoby do mnie!

Lavender zatkała dłońmi uszy.

- Barney, nie będę tego słuchać! Nie musi być tak.

- Ale tak właśnie jest! - Oczy Barneya były teraz czarne z tłumionej furii. Lavender jak przez mgłę uświadomiła sobie, że jego gniew nie jest skierowany przeciwko niej, tylko wynika z frustracji i okrucieństwa sytuacji, w której znaleźli się oboje. Wstała, przecięła pokój i zbliżyła się do Barneya.

- Posłuchaj, nie jest tak, jak sugerujesz.

- Tak naprawdę jest nawet gorzej, niż mówiłem! - Twarz mu się skurczyła z nienawiści do samego siebie. - Pewnie nie wiesz, że nie jestem synem Hammonda, tylko jego siostrzeńcem, na dodatek bękartem. Wszyst-

ko, co posiadam, mam z jego łaski. Nie mam nawet własnego nazwiska, które mógłbym ci dać! A ty - zamknął oczy, po chwili je otworzył i utkwiał wzrok w jej twarzy - dysponujesz własnym, dość znacznym majątkiem, z którego nie ośmieliłbym się wziąć ani pensa, gdybyśmy się pobrali.

- Barney, przestań. - Lavender podeszła bliżej i przygwoździła go wzrokiem. Położyła mu obydwie dłonie na ramionach i przytrzymała, czekając, aż się uspokoi.

- Uznałabym, że moje pieniądze zostały dobrze wykorzystane, gdybyś dzięki nim mógł spełnić swoje pragnienia.

Barney odskoczył od niej jak oparzony.

- Nie! To jest absolutnie nie do przyjęcia!

- Przemawia przez ciebie niemądra duma i tyle. - Lavender wzięła głęboki oddech i ciągnęła, już spokojniej: - Wyświadczyłeś mi zaszczyt, prosząc o moją rękę. Jestem w pełni świadoma minusów, które dostrzegasz w naszej sytuacji, ale - nie odrywając oczu od jego twarzy, dokończyła: - kocham cię.

Znow położyła mu dłonie na ramionach i stanęła na palcach, chcąc go pocałować. Nagle poczuła, jak ją obejmuje i pochyla głowę. Pocałunek był głęboki i słodki, lecz niewolny od rozpacz, a po chwili Barney rozluźnił uścisk. W jego twarzy dostrzegła desperację.

- Lavender, ja też cię kocham, to jednak nie wystarczy.

Lavender wysliznęła się z jego ramion. Nagle zrobiło

jej się zimno. Przez chwilę wpatrywała się w jego twarz i coś w niej umarło na widok tego, co w niej zobaczyła. Powiedziała powoli:

- W takim razie, panie Hammond, jeśli tak sprawy wyglądają, nie mogę zostać pańską żoną. Pan jedną ręką daje, a drugą odbiera. Oświadcza się pan, po czym wyznajduje tysiączne powody, dla których nie powinnam przyjąć pana propozycji. Kocham pana i pan twierdzi, że kocha mnie również, tyle że to dla pana za mało. Cóż, jestem odważniejsza od pana. Mnie by to wystarczyło. Ale proszę się nie obawiać. Nie przyjmę pana oświadczenia. Dziękuję za zaszczyt, który mi pan uczynił tą propozycją, obawiam się jednak, że w tej sytuacji muszę odmówić.

Wtedy spostrzegła na jego twarzy ulgę, być może przelotną. W tym momencie coś w jej sercu umarło. Nie wiedziała, jak udało jej się zachować opanowanie na tyle długo, aby go odprawić, ale głos nawet jej nie zadrżał.

- Nie mam nic więcej do powiedzenia. Zegnam pana, panie Hammond.

Kiedy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, rzuciła się na poduszki w wykuszu okiennym i wybuchnęła płaczem.

- To bardzo trudna sprawa - zauważyła Caroline, co jej szwagierka uznała za wielkie niedopowiedzenie. - Nie da się ukryć, że pan Hammond ma słuszność, bo nie ulega wątpliwości, że dla świata wasze małżeństwo byłoby mezaliansem!

Lavender okrążyła sypialnię. Wcześniej zamknęła się na klucz, nie chcąc nikogo widzieć, Caroline udało się ją jednak przekonać, żeby ją wpuściła i teraz siedziała zwinięta w kłębek w nogach szerokiego łóżka.

- Dlaczego wszyscy muszą myśleć w ten sposób? - spytała Lavender. Głowa pękała jej od nawału przeżyć.

- Barney dorównuje mi pod każdym względem - jest mądry, pełen współczucia i miły, a jednak nikt nie bierze pod uwagę tych zalet i wszyscy mówią tylko o pieńdżach i pozycji.

- Nie gorączkuj się tak - powiedziała Caroline z błyskiem w oku. - Nie musisz go przede mną bronić. Naprawdę lubię Bameya Hammonda i nie uszło mojej uwagi, że jest właśnie taki, jak mówisz, a do tego niezwykle przystojny. Ale - oczy jej posmutniały - nie ulega wątpliwości, że jeśli za niego wyjdiesz, zrobisz to. co cały świat uważa za wielką pomyłkę. Ponadto trzeba spojrzeć na tę sprawę z praktycznego punktu widzenia. Teraz może ci się wydawać, że w imię miłości zniosłabyś wszystko, lecz gdyby przyszło co do czego, nie byłoby ci z tym łatwo. Pomijając już afronty i szyderstwa naszej sfery, musiałabyś pogodzić się z faktem, że len bezczelny Arthur Hammond jest twoim teściem, a twój mąż jest zmuszony pracować w jego sklepie. Z pewnością rozumiesz, że twoja sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia!

Lawender podeszła do okna i wyjrzała. Zmierzchało się. Nagle zapragnęła uciec z domu, uciec od trudnego problemu własnej przyszłości. Obraz, który odmalował -- Caroline, był rzeczywiście ponury, nie mogła temu

zaprzeczyć. Przewyciężenie wszystkich przeszkód wymagałoby wiele miłości i uporu. Była gotowa podjąć ryzyko za cenę tej miłości, ale Barney nie był - i to rozstrzygało sprawę. A więc być może ostatecznie nie było się nad czym zastanawiać.

Przez chwilę myślała o sekretnych planach naukowych Barneya, związanych ze studiowaniem farmacji. Mogłaby sfinansować jego studia, gdyby był skłonny przełknąć dumę i przyjąć od niej pieniądze. Z czasem uwolniliby się od wpływu Hammonda, mogliby być szczęśliwi.

Barney jednakże okazał się zbyt uparty na to, aby zgodzić się żyć za pieniądze żony, nawet w imię miłości. Lavender przycisnęła czoło do chłodnej okiennej szyby i na moment zamknęła oczy.

Raptownie odwróciła się twarzą do Caroline.

- Jest jeszcze jedno wyjście, choć dotąd o tym nie rozmawialiśmy. Odrzuciłam oświadczyzny Barneya i zdania nie zmienię. Nie dlatego, że uznałam, iż nie będę w stanie pogodzić się z niedogodnościami, które mi przedstawiłaś, najdroższa Caro. Powód jest inny. On nie kocha mnie wystarczająco mocno, aby to zrobić. A więc wezmę moje pieniądze, wyprowadzę się stąd, daleko od plotek, zamieszkałam sama i nigdy nie wyjdę za męża.

Zabrzmiało to jak wyzwanie, lecz serce pękało jej z bólu. Po pierwsze, kochała Hewly Manor i okoliczne wioski i myśl o wyprowadzce napełniała ją przerażeniem. Po drugie, jeszcze bardziej kochała Barneya, skoro jednak on nie widział możliwości poślubienia jej

z miłości, nie była gotowa na kompromis. Przyszłość rysowała się przed nią w czarnych barwach, ale przynajmniej nie będzie od nikogo zależna.

Caroline wyglądała na zamyśloną.

- Rozumiem twoją decyzję, Lavender, jest jednak pewien problem. Masz dopiero dwadzieścia trzy lata i w ciągu najbliższych dwóch lat nie będziesz mogła korzystać ze swoich pieniędzy. Co się będzie działo w tym czasie? Czy zostaniesz tu i stawisz czoło skandalizującym plotkom na twój temat? A gdziekolwiek się udasz, twoja reputacja pójdzie za tobą.

Lavender próbowała zbagatelizować jej słowa.

- To mnie mało obchodzi. Nie obchodzą mnie małostkowe postęпки małych ludzi,

Zupełnie jakby w reakcji na jej uwagę, drzwi się tworzyły i do sypialni weszła Julia Chessford, która uśmiechnęła się ironicznie do Lavender.

- Dobry wieczór, kuzynko! Dobrze się czujesz? Czy mam życzyć ci szczęścia? Z tych wszystkich plotek można byłoby sądzić, że tak!

- Nie musisz się wysilać, Julio! To wszystko jest jednym wielkim nieporozumieniem.

- Doprawdy... - Julia nabrała powietrza. Ulokowała się po przeciwnej stronie łóżka, z dala od Caroline.
- Och, co za szkoda! Gdybyś słyszała, co mówią w wiosce.

- Dziękujemy ci, Julio - wtrąciła się Caroline stanowczo. - Nie mamy ochoty na wysłuchiwanie plotek. Bez wątpienia wkrótce wszystko przycichnie.

Julia poprawiła spódnicę.

- Chciałabym mieć twoją pewność siebie, Caro. Myślę, że Lavender wykaże rozsądek i gdzieś się ukryje. Wiesz, jak to jest w wioskach - małostkowe umysły, ale długa pamięć.

- Wiem doskonale - odparła Caroline, patrząc na nią znacząco - i jestem pewna, że ty też, Julio.

- Jednakże - ciągnęła Julia z beztróskim uśmiechem przeznaczonym dla Lavender - przyznaję, że to ulga wiedzieć, iż do naszej rodziny nie wejdzie ktoś tak niskiego stanu! Barney Hammond jest wyjątkowo przystojnym młodym człowiekiem, niemniej on i jego fortuna cuchną sklepem. O niebo lepiej wspinać się po społecznej drabinie, niż się z niej zsuwać. - Uśmiechnęła się przebiegle do Lavender. - Chociaż nie przypuszczam, żebyś znała się na takich subtelnościach, kuzynko.

- Czy twój ojciec nie zajmował się handlem, Julio? - spytała zirytowana Lavender.

Julia lekceważąco machnęła białą dłonią, ani trochę nie zbita z tropu.

- O, tak! Ależ właśnie to mam na myśli! Poślubiłam dzentelmena, a wkrótce - pochyliła się, oczy jej błyszczały - upoluję lorda!

Lavender westchnęła, po części zadowolona, że rozmowa przestała się koncentrować wokół jej romantycznych przeżyć. Zawsze można było liczyć na to, że Julia będzie mówiła o sobie. Uważała, że ona sama stanowi znacznie bardziej interesujący temat rozmowy niż ktokolwiek inny.

- Wnoszę z tego, że zamierzasz poślubić lorda Le-

verstoke'a - powiedziała Caroline bez mrugnienia okiem. - Tak go jesteś pewna, Julio? Nie zapomniałaś przypadkiem, że Leverstoke jest żonaty?

Julia z pewnym zażenowaniem wzruszyła ramionami.

- Jak zapewne wiesz, biedna Lavinia Leverstoke jest bardzo chora i długo nie pożyje, A wszyscy widzą, że Charles pielęgnuje ją z prawdziwym oddaniem. Jestem pewna, że nikt na świecie nie będzie żałował mu odrobiny szczęścia, kiedy ona zamknie oczy.

- A więc dlatego tu jesteś. - Caroline spojrzała znacząco na Lavender. - Wszyscy się zastanawialiśmy, z jakiego powodu się ukrywasz! Jakie to dyskretne z twojej strony, Julio. Podczas gdy lady Leverstoke umiera.

Nawet Julia miała na tyle przyzwoitości, by się zarumienić.

- Jesteś bardzo niesprawiedliwa, Caro! Czemu nie miałabym zasłużyć na trochę szczęścia?

- Wyobrażam sobie, że ci wszyscy małostkowi ludzie, o których wspominałaś dosłownie przed chwilą, mieliby sporo do powiedzenia na temat sposobu, w jaki gonisz za szczęściem. - Caroline wstała i z irytacją wygładziła kapę na łożku. - Ciekawe, kiedy podadzą kolacje? Chodźmy, Julio, zostawmy Lavender w spokoju. Ma za sobą ciężki dzień i przyda jej się trochę odpoczynku.

Julia była odporna na takie uwagi. Na powrót zwróciła swe wielkie niebieskie oczy na Lavender.

- Słyszałaś, najdroższa Lavender, że Arthur Ham-

mond nie jest prawdziwym ojcem Barneya? To tylko taka bajka, wymyślona po to, by oszczędzić niesławę siostrze starego Hammonda. Swoją drogą często się zastanawiałam, czemu zwracali sobie tym głowę, skoro to nieszczęsne stworzenie zmarło zaraz po wydaniu dziecka na świat! - Julia zmarszczyła nos. - Eliza Hammond była pokojówką w jakimś dworze po drodze do Northampton - tak sobie myślę, że to mógł być Riding Park - i wróciła zhańbiona! Nanny Pryor zna całą tę historię.

Lavender zacisnęła zęby.

- Słyszałam tę plotkę, Julio. To naprawdę nie ma związku...

Julia zignorowała słowa kuzynki. Oczy jej rozblęskły i wydała cichy pisk. Najwyraźniej właśnie wpadła jej do głowy jakaś zdrożna myśl.

- Och, jakie to pikantne! To musiał być Riding Park! Może ojcem dziecka Elizy jest lord Freddie Covingham we własnej osobie i kiedy Covinghamowie ostatnio tak serdecznie przyjmowali Barneya, zrobili to ze względu na to szczególne pokrewieństwo?

- Co za bzdury opowiadasz, Julio - zaprotestowała Caroline z oburzeniem, opierając dłoń o kolumnkę łóżka. - Po pierwsze, tak mi się przynajmniej wydaje, lord Freddie i lady Annę byli wówczas, dwadzieścia pięć lat temu, świeżo po ślubie.

Julia otworzyła szeroko oczy.

- Och, Caro, wiem, że nie za wiele bywałeś w świecie, ale nawet ty musisz wiedzieć, że nic i nikt nie powstrzyma mężczyzny, świeżo po ślubie czy nie, przed majstrowaniem dziecka pokojówce!

- Żal mi ciebie, że jesteś taka cyniczna - odrzekła Caroline.

Lavender chciała, by dały spokój tej kłótni, a jeśli już musiały się kłócić, żeby robiły to poza jej sypialnią. Julia była w stanie wyprowadzić z równowagi świętego, i Caroline, zazwyczaj tak łagodna, była, zdaje się, w wyjątkowo bojowym nastroju. Lavender podeszła do bratowej. W orzechowych oczach Caroline dostrzegła łzy. Nagle uświadomiła sobie, jaka to ciężka próba dla kobiety w piątym miesiącu ciąży - znosić towarzystwo Julii, jak zwykle rzucającej przytyki na prawo i lewo.

- Chodź, Caro, na pewno jesteś bardzo zmęczona - powiedziała łagodnie. - Zejdę do kuchni i powiem, żeby podano ci kolację do pokoju. Nie powinnaś się teraz przemęczać, bo lada chwila przyjeżdżają Covinghamowie.

Caroline posłała jej spojrzenie pełne wdzięczności.

- Dziękuję ci. Rzeczywiście trochę mi słabo, przyznaję. - Ujęła rękę, którą Lavender jej podała, chcąc pomóc bratowej dojść do drzwi. - Uff! O wiele lepiej! Słowo daję, mam wrażenie, że powiększam się w mgnieniu oka - we wszystkich kierunkach!

Julia wyglądała tak, jakby chciała wygłosić kolejną złośliwą uwagę na ten temat, ale Lavender spiorunowała ją wzrokiem.

- Kuzynko Julio, chcesz jeść kolację tutaj? Wprawdzie to mój pokój, lecz chętnie ci go użyczę.

dNawet Julia wreszcie zrozumiała. Wstała z miejsca. - Bardzo dobrze! Widzę, że mnie tu nie chcą. Zosta-

wię was i pójdę poszukać Lewisa. Wspaniale będzie porozmawiać z nim o starych czasach - tylko we dwoje.

- Kretynka! - oświadczyła Lavender kategorycznie, podając Caroline ramię i pomagając jej dotrzeć do głównej sypialni. - Lewis na pewno podziękuje jej za towarzystwo. Jak długo ona zamierza tu zostać, Caro? Czy nie można znaleźć jakiegoś sposobu, żeby nakłonić ją do wyjazdu?

- Będę myślała o tym przez cały wieczór - obiecała Caroline, z westchnieniem ulgi zapadając się w fotel przy kominku. - Musimy się jej pozbyć, bo w przeciwnym razie wszyscy oszalejemy! - Poklepała Lavender po rękę. - Nie zapomniam, moja droga, że teraz to ty masz problem, z którym musisz się jakoś uporać. Jeśli chcesz o tym ze mną porozmawiać... - Urwała w pół zdania, z błyskiem w oku. - Och, kochanie, czyżby ta zawzięta mina oznaczała, że twoja decyzja jest nieodwołalna? Tyle razy miałam okazję widzieć Lewisa, jak wyglądał zupełnie tak samo.

Lavender wbrew sobie parsknęła śmiechem.

- Tak się boję, Caro, Mimo to nie zmieniałam zdania. Nie wyjdę za pana Hammonda.

Caroline wzruszyła ramionami.

- Niech więc tak będzie. Zobaczmy, co przyniesie czas. Mam nadzieję, że niestosowne uwagi Julii o jego pochodzeniu nie sprawiły ci przykrości?

Lavender pokręciła przecząco głową.

- Prawdę mówiąc, powinnam jej za to podziękować. - Na widok zdziwionej miny Caroline uśmiechnęła się. - Przypomniała mi o książce, którą tu widzisz. W na-

tłoku tych wszystkich wydarzeń całkiem zapomniałam spytać pana Hammonda o jej pochodzenie. Skoro jednak była w rzeczach jego matki, a ona pracowała jako pokojówka, równie dobrze mogła ją zabrać z Kenton Hall.

- Julia twierdzi, że Eliza była pokojówką w Riding Park, a nie w Kenton - powiedziała Caroline powoli. Podniosła wzrok na Lavender. - Tak czy inaczej, to dobra myśl. Jak tylko przyjadą Covinghamowie, zapytamy lady Annę, bo ani przez minutę nie dałam wiary skandalicznemu twierdzeniu Julii, jakoby Barney Hammond był synem lorda Freddiego.

- Na pewno nie. - Lavender skierowała się ku drzwiom. - Covinghamowie za bardzo się kochają, żeby taka historia brzmiała wiarygodnie.

- Poza tym - dodała Caroline z uśmiechem - Barney nie ma nosa Covinghamów. Równie dobrze można byłoby sugerować, że jest nieślubnym synem sir Thomasa Kentona. - Jej uśmiech przygasł. - To jest pomysł.

Lavender wybuchnęła śmiechem na myśl o tym, że oderwany od życia baronet spłodził nieślubnego syna.

- Co się dzieje z twoją głową, Caro? Obawiam się, że jeśli Barney jest nieprawym synem jakiegoś szlachcica, pierwszym kandydatem musi być markiz Sywell. - Westchnęła. - Możesz mi pożyczyć trochę wody różanej? Mam wrażenie, że za sprawą Julii głowa pęka mi z bólu.

- Liczyłam na to, że znajdę cię w lepszym nastroju, najdroższa Lavender - powiedziała płacząc Frances Covingham, przytrzymując przyjaciółkę na odległość ramienia i wpatrując się uważnie w jej twarz. - Wyglądasz jak śmierć na chorągwi. Zaraz, zaraz, dotarły do mnie jakieś dziwne plotki na twój temat. I pomyśleć, że uważałam, że wieś jest nudna.

Wsunęła rękę pod ramię Lavender i poprowadziła ją w kierunku schodów.

- Chodźmy do twego pokoju. Tam będziemy mogły spokojnie poplotkować. Słyszałam, że pani Chessford zatrzymała się u was? Co za pech!

Ich rozmowa miała miejsce na drugi dzień po rozmowie Lavender z Barneyem. Covinghamowie przybyli jakieś pół godziny wcześniej, zamierzając zostać kilka dni. Nie sposób było się oprzeć wrażeniu, że atmosfera w domu natychmiast się poprawiła. Caroline z wielką przyjemnością zobaczyła się znów z lady Anną, a Lewis zaanektował lorda Freddiego dla siebie i obaj wybrali się na objazd posiadłości.

- Niebawem dobry humor ci wróci - ciągnęła Frances, kiedy już znalazły się na górze i ruszyły korytarzem do sypialni Lavender. - Lady Perceval, którą odwiedziliśmy po drodze, powiedziała, że nigdy nie słucha większych plotek i że nie powinnaś przywiązywać do nich wagi. Ale zanim tak się stanie, chcę dowiedzieć się wszystkiego.

Lavender roześmiała się wbrew sobie.

- To nic zabawnego, Frances, wierz mi - powiedziała z goryczą. - Wcale nie jestem pewna, czy twoja mat-

ka powinna ci pozwalać przyjaźnić się ze mną. Przecież jestem skompromitowana.

- Bzdura! - odparła Frances z całą stanowczością. - Mama nie jest tak zasadnicza, żeby przejmować się głupimi pogłoskami. Bardziej zmartwiła ją myśl, że przyjdzie jej przebywać pod jednym dachem z twoją kuzynką.

Lavender stłumiła chichot. We Frances było coś takiego, co niezwykle podnosiło innych na duchu. Przyjaciółka promieniała radością życia, a teraz jej ciekawskie spojrzenie błądziło po sypialni i z zachwytem kiwała głową.

- Och, cóż za czarujący pokój! A jaki widok!

Oświadczam, że jest tu równie pięknie, jak w hrabstwie Northampton. - Obróciła się wokół własnej osi, przysiadła w nogach łóżka, gdzie poprzedniego wieczoru siedziała Caroline, i położyła ręce na drewnianym oparciu. Lavender zajęła miejsce naprzeciwko.

- A teraz opowiedz mi, co się wydarzyło - nalegała Frances. - Słyszałam, że chodzi o tego czarującego pana Hammonda. Myślisz, że za niego wyjdiesz, Lavender? Ty szczęściaro.

- Frances! - przerwała jej Lavender, starając się, by jej słowa zabrzmiały surowo, lecz poniosła sromotną porażkę. Uśmiechnęła się. - Mówię ci, w tym nie ma nic zabawnego.

- Wiem. Jestem nie do zniesienia. - Frances oparła podbródek na rękę. - Uważałam go za takiego czarującego dżentelmena, słowo daję. - Przeciągnęła się lekko. - Odnoszę wrażenie, że większość dżentelmenów jest

nimi tylko z nazwy, nie naprawdę, jednak pan Hammond jest zupełnie inny. Prawdę mówiąc, pewnie sama bym się w nim zakochała i bez wątpienia zanudziłabym cię na śmierć, powtarzając w kółko jego imię, gdyby nie to, że wciąż jestem beznadziejnie zakochana w panu Oliverze.

- Widziałas się z panem Oliverem od tamtej nocy na balu? - spytała Lavender.

Frances posmutniała.

- Niestety nie, bo mama jest bardzo stanowcza, wiesz o tym. Przyszedł do nas z wizytą, ale mama nie pozwoliła mi się z nim widzieć, toteż nie miałam okazji mu powiedzieć, że od przyszłego tygodnia będziemy w Londynie i że powinien coś zrobić, żebyśmy się tam spotkali.

- Och, Frances!

- Cóż. - Panna Covingham próbowała się tłumaczyć. - Muszę się z nim znów zobaczyć, Lavender, po prostu muszę. Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że skoro jest takim dobrym przyjacielem twojego pana Hammonda, może jest gdzieś tu w okolicy. Kto wie? Ale, ale - zmarszczyła brwi - wiem, że próbujesz odwrócić moją uwagę. Nie daj się dłużej prosić i opowiedz mi całą historię.

Lavender opowiedziała, może nie całą historię, ale jej większą część, a Frances potakiwała, dopytywała się i cmokała współczująco. Na koniec powiedziała z westchnieniem:

- Rozumiem, dlaczego uważasz, że musiałaś mu odmówić, najdroższa Lavender, lecz teraz padłaś ofiarą tych nieszczęsnych plotek. Powinnaś stawić im czoło.

Oczy jej rozbłyły. - Och, doskonale się składa! Państwo Perceval przysłali zaproszenie na kolację dla nas wszystkich.

- Och, nie! - Lavender zdawała sobie sprawę, że wygląda na przerażoną. Od momentu powstania nieszczęsnych plotek dręczył ją tchórzliwy lęk przed wychodzeniem z domu. Nie zamierzała udawać się do Abbot Quincey, a tym bardziej brać udziału w życiu towarzyskim. Jeśli jednak miała pozostać w Hewly do czasu, aż będzie mogła dysponować swoim majątkiem, kiedyś w końcu będzie musiała wyjść do ludzi. Przecież nie mogła kryć się w domu przez najbliższe dwa lata.

- No cóż - Frances przekrzywiła głowę - może powinniśmy zacząć od przechadzki. Nie zamierzam dopuścić do tego, by jedna z moich przyjaciółek stała się odludkiem.

Wzięła do ręki książkę przyrodniczą, którą Lavender trzymała na nocnym stoliku.

- Czy to ta książka, o której właśnie wspominałaś, Lavender? Pożegnalny podarunek od pana Hammonda?

- Pochyliła głowę i orzechowe loki otarły się o kartki.

- Jakie to romantyczne z tego strony.

- Z tą książką wiąże się pewna historia, jeśli nawet nie romantyczna, to z pewnością tajemnicza - skomentowała Lavender z uśmiechem - i to taka, która może mieć związek z Riding Park. - Opowiedziała Frances pokrótce o wizycie sir Thomasa Kentona i o uwagach Julii na temat Elizy. - Oczywiście to wszystko jest bardzo wątle - dorzuciła na zakończenie. - Chociaż pan Hammond dostał tę książkę po matce, nie mam pojęcia,

jak trafiła w jej ręce. Bo pierwotnie z pewnością należała do sir Thomasa... - Urwała w pół zdania, kręcąc głową.

- Może pan Hammond odziedziczył po matce jeszcze jakieś rzeczy - wtrąciła Frances. Oczy z podniecenia zrobiły się jej wielkie jak spodki. - Może ma całą komodę pamiątek po niej - książki, ubrania, pukiel włosów. Jakie to romantyczne!

Lavender z trudem powstrzymywała się od śmiechu. Frances wyglądała na urażoną.

- Proszę, nie kpjij ze mnie, próbuję tylko odgadnąć, co się kryje za tym wszystkim.

- Nie zamierzam cię zniechęcać - zapewniła Lavender - jednak nie wydaje mi się prawdopodobne, by Eliza Hammond była w stanie czytać książkę przyrodniczą po łacinie.

Frances nie dawała za wygraną.

- Mogła ją pożyczyć.

- Chcesz powiedzieć ukraść z biblioteki chlebowodawcy?

- Chcę powiedzieć pożyczyć albo dostać od kogoś w podarunku. - Frances z przejęcia nie mogła usiedzieć na miejscu. - Już wiem! Dostała ją od kochanka.

Lavender zmarszczyła brwi.

- W takim razie musiałyby nim być sir Thomas Kenton, a to idiotyczne.

- Dlaczego? Czy sir Thomas nie mógł się zabawić z pokojówką?

- Frances!

- Ciekawa jestem, czy mama i ojciec znają rodzinę

Kentonów - ciągnęła Frances w zamyśleniu. - Może pamiętają Elizę Hammond. Jeśli naprawdę pracowała w Riding Park, musiało to być wkrótce po ich ślubie, tak mi się wydaje. Boże, co za przygnębiająca historia! Biedna dziewczyna, w ciąży, porzucona przez kochanka, na domiar nieszczęścia umiera zaraz po wydaniu dziecka na świat. - Łzy stanęły jej w oczach. - Biedny pan Hammond, na zawsze pozbawiony wiedzy o tym, kim był jego ojciec!

- Zapewne czasami lepiej nie wiedzieć. - Lavender wstała i podeszła do okna. Ciemna chmura właśnie zasłoniła słońce.

- Och, ale przecież... Podrzutek nigdy nie jest pewien swojego miejsca na ziemi. - Frances, z całym swoim bogactwem i pozycją w świecie, wynikającą z przynależności do rodziny Covinghamów, mogła tylko współczuć komuś, kto nie miał rodzinnego domu, do którego zawsze mógł wrócić.

- Wówczas ten ktoś musi znaleźć sobie miejsce sam, tak przypuszczam. - Lavender patrzyła, jak niebo ciemnieje i zaczyna padać deszcz. Wiedziała, że właśnie to próbował robić Bamey, dlatego studiował i pragnął zostać farmaceutą. Jego ambicje były godne podziwu. Zdawała sobie sprawę, że wielu na jego miejscu już dawno dałoby za wygraną, zaakceptowało życie na łasce Hammonda i nie szukało niczego więcej. Westchnęła. Jej pieniądze umożliwiłyby Barneyowi o wiele szybsze zrealizowanie celów, pozwoliłyby mu na zdobycie zawodu i dały możliwość utrzymania żony. Gdybyż tylko zechciał skorzystać z tej szansy! Mogliby się wyprowadzić - daleko od Abbot

Quincey i rozplotkowanych języków, które nigdy nie pozwoliłyby im zapomnieć wymuszonego ślubu. Wiedziała, że mogliby być szczęśliwi.

Znów westchnęła.

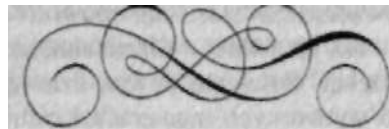
- To tylko fantastyczne przypuszczenia, w dodatku pogmatwane! To nas do niczego nie doprowadzi.

- W takim razie musimy porozmawiać z panem Hammondem! - Frances zerwała się z miejsca. - Chodźmy zaraz. Wezmę tylko czepek.

- Pada - powiedziała Lavender, obserwując z niejaką ulgą krople deszczu spływające z zachmurzonego niebu. - Może później. Frances - wyciągnęła rękę do swojej młodszej towarzyszkii - proszę, nie mów nikomu o rym, co ci przed chwilą powiedziałam! Nie chcę plotkować o panu Hammondzie, a my tylko sobie wyobrażałyśmy...

Frances wyglądała na urażoną.

- Mówić komuś? O co ty mnie podejrzewasz, Lavender? Przecież wiesz, że jestem uosobieniem dyskrecji. Nie pisnę ani słowa, przysięgam.



ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Mamo - zagadnęła Frances później tego wieczoru, przysiadając się do matki na sofie, kiedy po kolacji wszyscy przenieśli się do salonu - pamiętasz pokojówkę, Elizę Hammond? Podobno pracowała w Riding Park jakieś dwadzieścia sześć lat temu.

Lavender, która siedziała naprzeciwko niej i rozmawiała o malarstwie z lordem Freddie, poderwała głowę. Powinna była wiedzieć, że pojęcie dyskrecji Frances i jej własne różnią się jak dzień od nocy. Frances w odpowiedzi na jej podejrzliwe spojrzenie przybrała minę niewiniątka.

- Eliza Hammond? - powtórzyła z roztargnieniem lady Annę. - Nie przypominam sobie, moje dziecko, ale mam taką słabą pamięć do nazwisk. A pokojówki przychodzą i odchodzą, wiesz, jak to jest. Dlaczego pytasz?

Lavender zaczęła coś mówić bez ładu i składu, jednak Frances uparcie drażyła temat:

- Wygląda na to, że Eliza była matką naszego pana Hammonda, a kiedyś pracowała u was. Och, mamo - utkwiała błagalny wzrok w lady Annę - to niezwykle ważne, spróbuj sobie przypomnieć.

Lady Annę zmarszczyła czoło i poprawiła binokle, które zdążyły jej się zsunąć z nosa.

- Hm. Dwadzieścia sześć lat, mówisz? Musiałam wówczas być tuż po ślubie! - Uśmiechnęła się marzyielsko. - Czekaj. Była tam pewna dziewczyna, ciemnowłosa, o wytwornych manierach i cichym głosie. Czy to mogła być Matilda?

- Eliza! - poprawiła Frances. - Doprawdy, mamol!

- Tak - lady Annę nie zwróciła uwagi na jej słowa - teraz ją sobie przypominam, bo była niezwykle dystygowana. Księżna, twoja babcia, Frances, zwykła mawiać, że ludzie pomyślą, iż ma lepsze maniery od swoich chlebobawców. I pewnie tak było, bo Covinghamowie parę pokoleń temu nie grzeszyli nadmiarem uprzejmości i...

- Tak, mamol - przytaknęła Frances niecierpliwie - ale co z Elizą Hammond?

- Wymówiła służbę wkrótce po tym, jak zamieszkałam w Riding Park, bo miała wyjść za mąż - powiedziała lady Annę ze spokojem. - Czy to właśnie chciałaś wiedzieć, moje dziecko?

Lavender i Frances wymieniły spojrzenia.

- Wymówiła służbę, bo miała wyjść za mąż, mi lady? - dociekała Lavender. - Czy jest pani pewna, że nie była... - Urwała w pół zdania i zarumieniła się.

- Lavender chodzi o to, mamol - wyjaśniła niecierpliwiona Frances - że sądziłyśmy, iż Eliza Hammond została zwolniona ze służby, bo spodziewała się dziecka. Jesteś pewna, że mówimy o tej samej dziewczynie?

Ta wymiana zdań przyciągnęła uwagę zebranych. Lavender kątem oka zobaczyła, jak Julia, która od ja-

kiegoś czasu rozmawiała z Caroline o wspólnych znajomych, nadstawiła ucha, węsząc plotkę niczym lis na tropić zająca. Lady Annę pochyliła się do przodu i zwróciła do męża:

- Freddie, przypominasz sobie?

- Elizę Hammond? - Lord Freddie skinął głową. - Nic znaczy to, że zwykłem pamiętać każdą służącą, tę jednak zapamiętałem doskonale. Z powodu tego skandalu, moja droga.

Julia uśmiechnęła się złośliwie. Lavender była coraz bardziej zdesperowana. Swobodna towarzyska rozmowa o matce Barneya Hammonda wydała jej się całkiem nie na miejscu. Wszak biedna kobieta nie mogła bronić swojej reputacji, a sam Barney bez wątpienia byłby wściekły i zażenowany, gdyby się dowiedział, że jego matka znalazła się w centrum uwagi. Lavender właśnie miała zrobić wszystko, by zmienić temat, kiedy jej uwagę przyciągnęło coś, co mówił lord Freddie.

- .. opuściła Riding Park, żeby wyjść za Johna Kentona - powiedział pogodnie. - Naturalnie, wszyscy uznaliśmy to za szaleństwo. Jego rodzina była biedna jak mysz kościelna, toteż ojciec nalegał, żeby się bogato ożenił, a tymczasem co ten biedak zrobił? Zakochał się w pokojówce! Jednakże nie było nawet mowy o tym, by mu to wyperswadować. Ostatni raz słyszałem o całej sprawie, kiedy wybierał się do domu, aby prosić ojca o błogosławieństwo w związku z planowanym małżeństwem.

W salonie zapadła cisza, a potem powstał gwar, bo wszyscy mówili naraz.

- Naturalnie! Teraz sobie przypominam! - zawołała triumfalnie lady Annę.

- Ożenił się z pokojówką? Jakie to pikantne! - wykrzyknęła Julia, rozdarta między podnieceniem a rozczarowaniem, że Eliza Hammond w ostatecznym rezultacie okazała się godną szacunku mężatką.

- John Kenton? Ależ to na pewno syn sir Thomasa Kentona - powiedziała z wahaniem Lavender do bratowej, podczas gdy rozradowana Frances zauważyła:

- To w taki sposób zdobyła tę książkę!

Lewis wstał, prosząc o ciszę. Zebrani spojrzeli na niego wyczekująco.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział, uśmiechając się na widok ich zaskoczonych min - zdaję sobie sprawę, że mój apel zabrzmiałby lepiej na pokładzie statku niż w salonie. Odnoszę jednakże wrażenie, że moje pytanie może okazać się dość istotne. Lordzie Freddie, mógłby nam pan opowiedzieć o Johnie Kentonie?

Lord Freddie wyglądał na nieco zaskoczonego.

- Cóż, naturalnie, przyjacielu. Kenton przesiadywał nad książkami i co jakiś czas podejmował dalekie podróże po świecie. Boże, musiało minąć jakieś dwadzieścia pięć lat od jego śmierci! Zaginął gdzieś w Ameryce Południowej, tak mówiono, a jego słudzy zaklinali się, że został zjedzony! - Pokręcił głową. - Szkoda! Porządny był z niego gość.

- A co się stało z jego żoną? - spytała Caroline. - Skoro poślubił Elizę Hammond, gdzie się podziewała, kiedy wyjechał za granicę? A jeśli John jest synem sir

Thomasa Kentona, dlaczego sir Thomas nie wie nic o nim wnuku?

Lavender opuściła ramiona.

- Może to tylko zbieg okoliczności i pana Hammonda nic nie łączy z Kentonami, Caro?

- Może i tak. - Caroline popatrzyła na zebranych. - Zanim przejdziemy do dalszych domysłów, doleję nam wszystkim herbaty, zgoda? Moim zdaniem herbata znakomicie ułatwia myślenie.

- Sir Thomas wspomniał, że obaj jego synowie nie żyją - podjął Lewis, kiedy już wszystkie filiżanki zostały napełnione ponownie. - Może John Kenton to jeden z nich.

- Naturalnie, że tak! - weszła mu w słowo Lavender. - Nie pamiętasz, Lewis? Sir Thomas powiedział, że pożyczył tę książkę przyrodniczą swemu synowi Johnowi.

- Tak czy inaczej mogło chodzić o inną rodzinę - zauważył Lewis. - John to dość popularne imię.

- Czy ów John był pańskim przyjacielem, lordzie Fredericku? - spytała Lavender ostrożnie.

- Należał do grona moich najlepszych przyjaciół podczas studiów w Oksfordzie, panno Brabant. Był z niego istny mól książkowy i miał o wiele większą wiedzę ode mnie. Zawsze interesował się najróżniejszymi zwierzętami i roślinami, zwłaszcza roślinami. To dlatego wiecznie podróżował, głównie po okazy egzotycznych roślin. Podczas jednej z takich wypraw odkrył, że kora jakiegoś gatunku drzewa jest niezwykle skuteczna na bóle. Biedak, był taki podekscytowa-

ny, a nas wszystkich nie obeszło to ani trochę. A jego rodzice... - Śmiech lorda Freddiego ucichł. - Ojciec zagroził, że nie zapisze mu ani pensa, jeśli nie wróci do domu i nie będzie się zachowywał jak na dżentelmena przystało, a matka zamartwiła się przez niego na śmierć, zupełnie jakby przeczuwała, że źle skończy!

- Gdzie był jego rodzinny dom? - spytała Frances wyciągając szyję i wbijając wzrok w ojca. - Z pewnością pomogłoby nam to w ustaleniu, czy chodzi o tę samą rodzinę.

- Kentona? Kawałek dalej, jeśli mnie pamięć nie myli. - Lord Freddie podrapał się w głowę. - Zdaje się, że mniej więcej dziesięć mil stąd jest wioska o tej nazwie. Z tego co wiem, Kentonowie mieli tam posiadłość od czasów Wilhelma Zdobywcy, ale czy mieszkają tam jeszcze... Tak jak mówiłem, John był młodszym synem, a jego matka umarła jeszcze za jego życia. Co stało się z ojcem i bratem, nie mam pojęcia.

- Och, to musi być ta sama rodzina, z całą pewnością! - zawołała podekscytowana Frances. - W przeciwnym razie za dużo byłoby tych zbiegów okoliczności. Tylko nie rozumiem jednego. - Zmarszczyła brwi w zamyśleniu. - Jak to się stało, że Eliza Hammond, która, jak widać, opuściła Riding Park, żeby wyjść za mąż, skończyła jako samotna kobieta w ciąży, zdana na łaskę i niełaskę brata?

- Dlaczego tak cię to wszystko interesuje, moja droga? - spytał lord Freddie. - Nie myślałem o Johnie Kentonie od blisko dwudziestu lat.

Frances pokazała mu książkę przyrodniczą należąca do Lavender.

- Chodzi o to, że panna Brabant dostała tę książkę w prezencie - wyjaśniła - i zaczęła się zastanawiać, do kogo należała z początku. Na karcie tytułowej jest herb Kentonów, widzisz, a panna Brabant dostała ją od pana Hammonda, który odziedziczył ją po swojej matce.

- Przyrodnicza, mówisz? - Lord Freddie szybko przerzucał stronicę. - Tak, to musi być książka Johna, z całą pewnością. Właśnie takie rzeczy czytywał. I mówisz, że pan Hammond dostał ją od swojej matki? - Spojrzał na Lavender. - Bardzo wymowne, nieprawdaż, panno Brabant?

Lavender nagle zaschło w gardle. Rzeczywiście sugerowało to, że Eliza Hammond wyszła za Johna Kentona, dostała tę przyrodniczą książkę od niego, a po niej otrzymał ją jej syn, jedyny wnuk sir Thomasa.

- Czegoś tu jednak nie rozumiem. Skoro panna Hammond i pan Kenton wzięli ślub, dlaczego w takim razie była zmuszona powrócić do domu brata i tam urodzić dziecko? I dlaczego nie powiedziała nikomu o ślubie?

Przerwała, całkiem zdezorientowana na widok pełnych współczucia min zebranych, naturalnie z wyjątkiem Julii, która z pewnością snuła złośliwe przypuszczenia. Caroline delikatnie odstawiła filiżankę na stolik.

- Sądzę, najdroższa Lavender, że musimy wziąć pod uwagę inną możliwość, a mianowicie, że ślub się nie odbył. Z tego, co mówił lord Freddie, wynika, że sir Thomas chciał, aby jego syn ożenił się bogato. Założ-

my, że Johnowi Kentonowi nie udało się uzyskać zgody ojca na ślub i porzucił zamiar poślubienia Elizy.

- I zostawił ją w ciąży i bez środków do życia - zakończyła Julia, klaszcząc w dłonie. - O, tak, podoba mi się ten pomysł.

Pozostali spojrzeli na nią z nieskrywaną niechęcią.

- Wygląda na to, że to najbardziej prawdopodobne rozwiązanie - powiedziała przynębiona Frances. - Biedna Eliza. I biedny pan Hammond. To niesprawiedliwe!

Caroline popatrzyła ciepło na Lavender.

- Odnoszę wrażenie, że najlepiej będzie pomówić o tym z samym panem Hammondem. Możliwe, że sir Thomas zna odpowiedź, ale moim zdaniem nie powinnaś zwracać się do niego za plecami pana Hammonda. - Upiła łyk herbaty. - Kiedy sir Thomas po raz pierwszy wziął tę książkę do ręki, uznałam to za bardzo dziwne, a teraz podaliśmy całą historię drobiazgowej analizie, nie zważając na to, czy mamy do tego prawo. Stawiam dziesięć do jednego, że jest inne wyjaśnienie i na pewno pan Hammond go udzieli, jeśli go o to pytamy.

- W Riding Park jest portret Johna Kentona - powiedział nagle lord Freddie. - Wisi w galerii, obok tego, na którym namalowano cię jako młodą dziewczynę, moja droga. - Uśmiechnął się z czułością do lady Anne. - Jest wprawdzie nieduży, ale malarz dobrze uchwycił podobieństwo.

- Naturalnie! - zawołała Lavender. - Przyglądałam się mu tamtej nocy podczas balu. Ciemnowłosey dżentelmen, niezwykle przystojny.

v Podobny do pana Hammonda? - spytała Frances niecierpliwie.

Lavender z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie jestem pewna. Nanny Pryor, moja dawna niania, twierdzi, że pan Hammond odziedziczył urodę po rodzinie matki,

Frances zrzędała mina.

- Tym bardziej - powiedziała Caroline z werwą - powinnaś porozmawiać z panem Hammondem o tej książce tak szybko, jak to możliwe, Lavender. Jestem pewna, że tę tajemnicę da się rozwiązać bez niepotrzebnych spekulacji z naszej strony.

Rozmowa na powrót zeszła na inne tematy, ale Lavender siedziała w milczeniu, popijając herbatę i nie biorąc udziału w dyskusji. Perspektywa ponownego spotkania z Barneyem wystarczająco ją przytłoczyła, nawet gdyby nie zamierzała wytłumaczyć mu, jak to się stało, że ni stąd, ni zowąd zainteresowała się historią jego rodziny. Jeśli sądzić po jego dumie, którą nieraz demonstrował w jej obecności, na pewno nie ucieszy się z jej pytań. O wiele łatwiej byłoby się zwrócić do sir Thomasa Kentona i poprosić, żeby opowiedział o Johnie coś więcej, wiedziała jednak, że Caroline ma słuszność. Barney powinien dowiedzieć się o wszystkim pierwszy.

Pomimo gorących modłów Lavender o deszcz następnego ranka nie padało. Frances stanowczo twierdziła, że powinny iść na spacer do Abbot Quincey i wypytać Bameya Hammonda o pochodzenie książki,

a chociaż Lavender chciała się wymówić od proponowanej wycieczki, w końcu ustąpiła, dochodząc do wniosku, że zwykła uczciwość wymaga, aby Barney jak najszybciej dowiedział się o możliwych powiązaniach z rodziną Kentonów.

Dzień był piękny. Słońce rzucało ciepły blask, a w żywopłotach śpiewały ptaki, lecz tym razem Lavender nie miała ochoty się zatrzymywać, by podziwiać widoki i odgłosy wsi. Drogi były trochę błotniste, toteż po przejściu mili Frances zaczęła narzekać, że miasteczko jest wyjątkowo daleko od Hewly. Dla Lavender było stanowczo za blisko. W mgnieniu oka znalazły się w Abbot Quincey i ruszyły główną ulicą. Jakie to szczęście, że mogła liczyć na moralne wsparcie Frances i lady Annę. „Plecy prosto, głowa do góry!” - Niemal słyszała szorstki głos ojca, kiedy szła w górę ulicy, ściągana ciekawskimi spojrzeniami przechodniów. „Nie masz się czego wstydzić, dziewczyno”.

Lavender wyprostowała plecy i patrzyła prosto przed siebie, a mijając gospodę „Pod Aniołem”, piekarnię i modystki, zastanawiała się, który z tych ludzi widział ją z Barneyem nad stawem i narobił plotek.

W sklepie kupca bławatnego panował tłok, Lavender odniosła jednak wrażenie, że gdy tylko przeszły przez próg, wszystkie rozmowy ucichły. Natychmiast powędrowała spojrzeniem za ladę, przy której Arthur Hammond obsługiwał jakąś klientkę. Nigdzie nie było widać Barneya. Lavender nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić, a na dodatek coś jej mówiło, żeby odwrócić się i uciec.

Arthur Hammond uniósł głowę i na jego rumianej twarzy odbiło się niezdecydowanie. Lavender po raz pierwszy miała okazję zobaczyć, jak się waha wobec szlachetnie urodzonych klientów. Najwyraźniej znalazła się w niejednoznacznym położeniu, skoro nie zgodziła się poślubić jego przybranego syna, a on bez wątpienia wciąż boleśnie przeżywał sposób, w jaki Lewis wyrzucił go z Hewly. Jednak lady Annę i panna Covingham były zbyt ważnymi klientkami, aby je ignorować. Przez chwilę się namyślał, po czym podszedł bliżej, znów się cofnął i ostatecznie zdecydował się do nich zwrócić.

- Szanowne panie - ostentacyjnie unikał patrzenia na Lavender - czym mogę służyć?

Lady Annę i Frances jednocześnie spojrzały na Lavender, która liczyła na to, że bezszelestnie zapadnie się pod ziemię.

- Chciałabym... miałam nadzieję... zobaczyć się z panem Barneyem Hammondem.

Szept poszedł po klientach, którzy tymczasem, udając zainteresowanie belami materiału zgromadzonymi nieopodal miejsca, gdzie stała Lavender, przysunęli się bliżej, by lepiej słyszeć. Twarz Arthura Hammonda zamrtaśniała z niechęci.

- Syna nie ma w domu! Przepraszam, panno Brabant, ale jestem zajęty i nie mam czasu na próżne gadanie!

Lady Annę spojrzała na niego z góry, zagarnęła dziewczętą i wyszła ze sklepu bez zbędnych ceregieli.

- Ten człowiek jest wyjątkowo bezczelny, a do tego

niewychowany - zauważyła gniewnie. - Przypomnij mi, żebym nigdy już nie kupowała w jego sklepach, Frances.

- Tak, mammo. - Frances choć raz wyglądała na przygnębioną. - Powinnaś była przynajmniej spróbować się dowiedzieć, gdzie może być pan Hammond. Lavender - zauważyła. - Teraz nigdy nie rozwiążemy zagadki.

Lavender nie odpowiedziała. Była tak nieszczęśliwa, że z przyjemnością zostawiłaby zagadkę pochodzenia Barneya tam, gdzie było jej miejsce - w przeszłości. Z początku uzbroiła się w odwagę, żeby się z nim zobaczyć, potem jej nadzieje zostały pogrzebane przez Arthura Hammonda, a całe doświadczenie było tak nieprzyjemne, że obiecała sobie w duchu, iż nigdy już nie postawi stopy w sklepie bławat ni ka. Na szczęście zdążyła sobie kupić tyle kapeluszy i par rękawiczek, że nie musiała chodzić na zakupy przez najbliższe parę lat.

- Obiecałam, że odwiedzę lady Perceval - powiedziała lady Annę, kiedy doszły do wrót Perceval Hall. - Macie ochotę mi towarzyszyć?

- Nie, dziękujemy ci, mammo - odparła Frances apatycznie, spojrzawszy na twarz Lavender. - Wrócimy do Hewly.

- Dobrze więc. Tylko idźcie prosto do domu i nie zbaczajcie z drogi.

- Nie, mammo.

- I nie idźcie skrótem przez las, żebyście nie zabłądziły.

- Nie, mammo.

- A ja niedługo do was dołączę. Na pewno z powrotem wezmę powóz.

- Tak, mammo.

Dalej szły w milczeniu i Lavender była wdzięczna Frances, że ma na tyle delikatności, by nic nie mówić. Przynajmniej raz jej kipiąca energią przyjaciółka wydawała się równie przybita, jak ona.

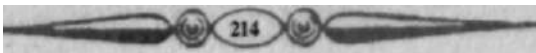
Odgłos podków na drodze wyrwał obydwie z apatii. Frances chwyciła Lavender za ramię i pociągnęła na trawiaste pobocze, prawie w żywoptot.

- Lavender, uważaj! - podniosła głos. - Wielkie nieba! Pan Hammond - i pan Oliver!

Lavender nigdy przedtem nie widziała Barneya na koniu i nawet nie wiedziała, że umie jeździć. Na tę myśl lekko wygięła wargi w uśmiechu, bo czyż nie był to kolejny z jego sekretów? Dosiadał czarnego ogiera ze swobodą i znajomością rzeczy. Jadący obok niego James Oliver lekko pociągnął wodze swojego siwka, zatrzymując go, po czym uniósł kapelusz.

- Panna Covingham! Panna Brabant! Cóż za miła niespodzianka!

Po przelotnym zerknięciu na twarz Barneya Lavender natychmiast zorientowała się, że dla niego ta niespodzianka nie należała do miłych. Wprawdzie spojrzenie jego ciemnych oczu zatrzymało się na niej, ale nie dostrzegła w nim ani ciepła, ani radości, na które w duchu liczyła. Było to nad wyraz krępujące. Zastanawiała się, w jaki sposób ją powita, i właśnie poznała odpowiedź. Oświadczył się z ociąganiem, ona odmówiła, a teraz nie zostało już nic prócz wyniosłej dumy.



James Oliver skwapliwie zsiadł z konia, okręcił sobie wodze na ramieniu i dalej szedł u boku Frances, mówiąc coś z rozbrajającym entuzjazmem. Za to Barney wyglądał, jakby był gotów przejechać obok, pozdrawiając je zdawkowo. Wreszcie, najwyraźniej ulegając wrodzonej uprzejmości, zsunął się z siodła i stanął przy niej.

- Wszystko w porządku, panno Brabant?

- Tak, dziękuję panu. - Lavender poczuła, jak na policzki wpełza jej rumieniec. Była ogromnie zakłopotana i musiała się przezwyciężyć, żeby na niego spojrzeć*. Zdobyła się na ten wysiłek. - A u pana? Mam nadzieję. ... to znaczy mam nadzieję, że u pana też wszystko w porządku?

- Tak, dziękuję pani.

Zaległo milczenie kontrastujące z wesołą pogawędką Frances i Jamesa Olivera, którzy szli przed nimi. Najwyraźniej pan Oliver zamierzał towarzyszyć im aż do Hewly. Nagle Lavender doszła do wniosku, że to zbyt długa droga, żeby ją przebyć w milczeniu. Postanowiła poruszyć sprawę książki. Odchrząknęła.

- Panie Hammond, w samą porę się spotkaliśmy, bo jest coś, o co chciałam pana spytać.

- Tak, panno Brabant?

Lavender pomyślała, że w głosie Barneya wyczuwa lekkie zdudzenie.

- Chodzi o książkę, którą mi pan podarował. Myślałam o niej, bo powiedział mi pan, że dostał ją w spadku po matce, a na stronie tytułowej widnieje herb Kentonów. Może wie pan na ten temat coś więcej?



Twarz Barneya nie wyrażała niczego. Nawet gorzej, pomyślała Lavender, wyglądało na to, że cała sprawa jest mu całkowicie obojętna.

- Obawiam się, że nie, panno Brabant.

Lavender westchnęła. Rozmowa zapowiadała się na jeszcze trudniejszą, niż można było się spodziewać. Jeśli Barney w dalszym ciągu będzie odpowiadał monosylabami.

- Jest pan pewien? To mogłoby być bardzo ważne! Widzi pan - wzięła głęboki oddech - sir Thomas Kenton zobaczył tę książkę, będąc z wizytą w Hewly, i stwierdził, że kiedyś należała do niego. Przed laty dał ją swemu synowi Johnowi. Jednak pan otrzymał tę książkę w spadku po matce, a za tym musi kryć się jakaś tajemnica.

- Nie wydaje mi się. - Barney zerknął na nią obojętnym wzrokiem. - Bez wątplenia ten John Kenton zostawił gdzieś książkę, a moja matka wzięła ją z ciekawości, a może dbałości o porządek. W końcu była pokojówką. - Teraz Lavender wyczuła w jego głosie złość człowieka, który ma serdecznie dość przypominania mu o skandalu i tajemnicy kryjącej się za jego narodzinami. Niewątpliwie Arthur Hammond często wspominał mu o hańbie matki i swojej wspaniałomyślności, Zawahała się, bliska rezygnacji, coś jednak kazało jej brnąć dalej.

- Przepraszam, jeśli moje zainteresowanie wydaje się niestosowne.

- Jest niestosowne! - Barney był najwyraźniej zły.

- Tak naprawdę, panno Brabant, wydaje się wyjątkowo

bezczelne! Nie może pani zostawić tej sprawy w spokoju?

Nie podniósł głosu, ale jego ton sprawił, że Lavender poczuła łyż pod powiekami. Już i tak była zdenerwowana nieuprzejmością Arthura Hammonda, a teraz pogarda Barneya i jego brak zainteresowania jej odkryciem dotknęły ją do żywego.

- Nie musi pan być taki nieuprzejmy! Próbuję tylko panu pomóc, bo wygląda na to, że ten John Kenton mógł być pańskim ojcem.

Barney puścił wodze konia i szybko odwrócił się do Lavender. Uwięził jej nadgarstek w brutalnym uścisku.

- A w jaki sposób fakt, że jestem nieślubnym synem tego Johna Kentona, może mi pomóc, panno Brabant? Wie pani, ile razy zadreślałem się myślami o moim ojcu - jest pani w stanie wyobrazić sobie wątpliwości i przypuszczenia mogące doprowadzić człowieka do obłądzenia? Jak pani sądzi, ile razy wuj przypominał mi o hańbie mojej matki i o tym, że nie wymieniła - a może nie mogła wymienić - nazwiska swego kochanka? - Przeszył Lavender wściekłym spojrzeniem. - Uważa pani, że poznanie nazwiska mężczyzny, który ją zhańbił, sprawi, iż będę odpowiedniejszym kandydatem na męża córki admirała? Ja tak nie sądzę. Błagam więc, proszę skończyć swoje dochodzenie i przestać wtrącać się w moje sprawy!

Lavender wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. Zaabsorbowana swoim nieszczęściem nawet nie pomyślała, że Barney może wciąż zadreślać się tym, że nie ma jej nic do zaoferowania. Uważała się za o wiele

lepszą i odważniejszą, jako że była gotowa zaryzykować wszystko w imię miłości. Teraz zrozumiała, skąd brała się jego udreka. Kochał ją tak samo jak ona jego, lecz nie zamierzał ustąpić, póki nie dojdzie do wniosku, że ma jej coś do zaoferowania. Problem jego pochodzenia zdaje się jeszcze wszystko utrudnić. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Barney, wiesz, że ja...

- Nie! - Otrząsnął się gniewnie. - Lavender, ja mówię szczerze! Przestań się wtrącać w moje sprawy! I nigdy więcej nie rozmawiajmy na ten temat!

- Wydawał się bardzo zagniewany - powiedziała Frances z respektem, kiedy spacerowały w ogrodach Hewly Manor tego popołudnia. - I pomyśleć, że wydawało mi się, że pan Hammond jest najłagodniejszym dżentelmenem na świecie. - Zachichotała. - Kiedy dosiadł konia i ruszył przez pola, zastanawiałam się, co takiego się wydarzyło. A James tylko lamentował, że ten koń jest jednym z najlepszych w jego stajniach i że na pewno złamie nogę.

Lavender uśmiechnęła się blado.

- Cóż, przypuszczam, że należało mi się za wsadzenie nosa w sprawy pana Hammonda. Który mężczyzna chciałby, żeby jego przodków odnajdywać w taki sposób? Wiedziałam o tym, a jednak nie ustępowałam. Najlepiej będzie zostawić wszystko tak, jak jest.

Frances wyglądała na przerażoną.

- Och, nie, nie możesz twego zrobić. Stawiam dzięcię do jednego, że dowiemy się, że Eliza i John Kenton

wzięli ślub i że pan Hammond dziedziczy majątek Kentonów. Nie możesz dać teraz za wygraną.

L#vender pokręciła głową. Pchnęła furtkę prowadzącą na ścieżkę obsadzoną lawendą i obie doszły wyłożoną kamieniami dróżką do domu. Kwiaty lawend) zwiędły i poszarzały, a w powietrzu unosił się ich nikły zapach, jak to jesienią.

- Wyglądało na to, że wspaniale się dogadujecie z panem Oliverem, Frances, dopóki twoja mama nie pojawiła się na drodze w powozie Percevalów - zmieniła temat Lavender.

Frances uśmiechnęła się psotnie.

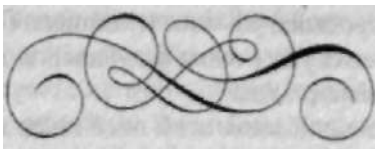
- Tak, czy to nie pech! Mama wyglądała na nieźle zdenerwowaną. Na szczęście zdołałam dać panu Oliverowi nasz adres w Londynie, a on mnie zapewnił, że aranżuje nasze spotkanie podczas sezonu jesiennego. - Lekko zmarszczyła brwi. - Myślę, że jest naprawdę szczerzy, wiesz, a mimo obaw mamy nie jestem naiwnym dziewczątkiem, które postawi wszystko na jedną kartę.

Lavender pomyślała, że pewnie tak jest w istocie. Frances, choć radosna i niefrasobliwa, nie była głupia, a lady Annę bez wątpienia dostrzeże walory takiego związku. James Oliver może nie był utytułowany, jednakże miał równie dobre koneksje, jak sami Covinghamowie, a poza tym bardzo porządną posiadłość w hrabstwie Hertford.

- Posłuchaj, Lavender - mówiła Frances energicznie - pojutrze wyjeżdżamy do Londynu, a ja muszę, po prostu muszę, dotrzeć do sedna tajemnicy Kentonów! Pomyślałam więc, że zostało nam tylko jedno.

Lavender poczuła, jak serce jej zamiera. Frances była kochaną dziewczyną i dobrą przyjaciółką, ale była też całkowicie niepoprawna.

- Sir Thomas Kenton musi mieć klucz do całej zagadki - mówiła właśnie. - A skoro już zaprosił cię w odwiedzin, najdroższa Lavender, doszłam do wniosku, że jutro skorzystamy z jego propozycji. Postanowione. Jedziemy do Kenton.



ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jak można było się spodziewać, plan wyprawy do Kenton, ułożony przez Frances, spotkał się z dezaprobatą. Frances już i tak naraziła się matce, kiedy ta przyłapała ją na rozmowie z panem O liverem, toteż teraz lady Annę oświadczyła z głębokim przekonaniem, że czas najwyższy, by córka przestała zachowywać się jak postrzelona i spędziła ten dzień spokojnie, odpoczywając przed podróżą do Londynu.

Późnym rankiem, kiedy damy zgodnie z tradycją przechadzały się po ogrodowych alejkach, Frances złapała Lavender za rękę i zaciągnęła do sadu oddzielonego murem od reszty ogrodu.

- Lavender, zdecydowałam, że musimy dziś wybrać się do Kenton, nie oglądając się na nic - szepnęła.
- Nie ma innego sposobu, uwierz mi. Cała nadzieja w tym, że sir Thomas będzie mógł rzucić trochę światła na tę sprawę.

- Twoja matka... - zaczęła Lavender.

- Och, wielkie rzeczy! Nie musimy jej mówić. - Frances aż oczy się zaświeciły. - Pani Brabant zawsze po południu odpoczywa, toteż najprawdopodobniej pozostałe panie także udadzą się do swoich pokojów. Mama uczyni tak z pewnością, skoro pani Chessford jest

w pobliżu. Słyszałam, jak panowie mówili, że zamierzają wybrać się na przejażdżkę konną, a więc wrócą dopiero na kolację. Wszystko doskonale się składa. Jeśli pojedziemy konno, będziemy w Kenton w godzinę i wrócimy przed zachodem słońca.

- Zdaje się, że nie jestem aż tak żadna przygód jak ty moja droga. W zupełności wystarczy mi powóz.

Frances wyglądała na zawiedzioną. Najwyraźniej zwyczajna przejażdżka powozem nie pasowała do jej wyobrażeń o romantycznej przygodzie.

- No, dobrze. Lepsze to niż nic. Koniecznie bądź gołowa zaraz po lunchu - udaj, że chcesz odpocząć, i wymknij się chyłkiem z domu. Spotkamy się przy stajniach.

To, że plan się powiódł, wynikało w dużej mierze z faktu, iż pokoje Caroline wychodziły na zachód, daleko od dziedzińca, a ona i lady Annę ucięły sobie pogawędkę sam na sam. Julia z kolei pojechała do Abbot Quincey załatwiać jakieś swoje sprawy, a obaj dżentelmeni udali się na przejażdżkę na krańce posiadłości. Lavender była prawie pewna, że nikt nie spostrzegł ich wyjazdu.

- Mama dostanie szał, jak się dowie - zauważyła Frances z triumfem w głosie, gdy powóz toczył się przez wiejskie okolice. - Ale do tego czasu może uda się nam rozwiązać zagadkę pochodzenia pana Hammonda. Och, Lavender, jakie to ekscytujące!

Lavender nie była tego taka pewna. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się nieodpowiedzialnie, w sposób niegodny damy mającej dwadzieścia trzy lata, i że to

ona zostanie uznana za tę, która sprowadziła pannę Co vingham na manowce. Ujawnienie, że to Frances wpadła na pomysł udania się w sekrecie do Kenton, nie wchodziło w grę, bo przecież w ogniu oskarżeń nic mogła rzucić winy na przyjaciółkę. Zaciśnęła dłonie na torebce. Poza tym dochodziło jeszcze to, że postąpiła wbrew wyraźnym życzeniom Barneya i że równie dobrze mogły wrócić z niczym, nie dowiadując się wiek- więcej ponad to, o czym już wiedziały. Lavender się działa na brzeżku siedzenia i ubolewała w duchu, że nie ma wystarczająco dużo zapachu.

Hewly Manor od Kenton dzieliło tylko dziesięć mil. toteż Lavender wciąż jeszcze zmagająca się z poważnymi wątpliwościami co do sensu podróży, kiedy powóz prze- toczył się przez porządną wioskę z zieleńcem, minął mały kamienny kościółek i wjechał we wrota Kenton Hall. Ka- mienny mur był w opłakanym stanie, a park za nim zara- stało zielsko i polne kwiaty. Najwyraźniej sir Thomas cał- kiem zaniedbał swoje ziemie na rzecz książek, bo posiad- łość wyglądała na zapuszczoną, aczkolwiek nie była po- zbawiona swego wdzięku.

Na końcu podjazdu oczom dziewcząt ukazał się dom. zgrabny budynek z żółtego kamienia, pokryty czerw- onym dachem, prawie całkiem porośnięty bluszczem. Placyk dla powozów zarastały chwasty. Dziewczęta wysiadły i stanęły na wyźwirowanym podejździe. Pierwsze, co uderzyło Lavender, to panująca wokół ci- sza; okiennice były pozamykane na głucho i nie dało się słyszeć żadnych dźwięków poza przenikliwym krzy- kiem pawia dobiegającym od strony ogrodów.

Frances, którą pragnienie przygody najwyraźniej opuściło, rozglądała się wokół z wyraźnym niepoko- - Może sir Thomas gdzieś wyjechał? Lavender, czy nie powinnyśmy wracać do domu, i to zaraz? - Teraz nie możemy tak po prostu zawrócić i poje- chać potulnie do Hewly Manor. - Lavender podeszła do dębowych drzwi frontowych i zdecydowanie sięgnęła do dzwonka. Słyszała, jak terkoce w głębi domu, ale nikt nie otwierał. Chyba sir Thomasa rzeczywiście nie było w domu.

- O, ktoś jest w ogrodzie! - Frances kurczowo ści- skala jej rękę, zupełnie jak ktoś, kto zamierza zaraz uciec. - Może... jak myślisz...

- Ależ to sir Thomas! - Lavender rozpoznała charakterystyczną sylwetkę starszego pana, który właśnie przeciął taras i ruszył trawiastą dróżką w stronę jeziora. W rękę trzymał jakąś książkę, miał pochyloną głowę i najwyraźniej wcale nie zauważył ich przybycia.

- Sir Thomasie! - Lavender odwróciła się od drzwi, przecięła podjazd i dotarła do wąskiej ścieżki prowa- dzącej do furtki, za którą rozciągały się ogrody. Tutaj, przy wschodnim skrzydle domu, zieleń była utrzymana staranniej - bukszpanowe żywopłoty i trawniki przy- strzyżone. Przybliżywszy się, Lavender usłyszała, jak sir Thomas czyta coś głośno po łacinie, nie przerywając spaceru. Uniósł głowę, trochę zaskoczony, że ktoś go nagabuje, ale po chwili twarz mu się rozjaśniła szerokim uśmiechem.

- Panna Brabant! Co za czarująca niespodzianka, moja droga. Jak się pani miewa?

- Sir Thomasie. - Lavender pospieszyła ucisnąć mu dłoń. - Co u pana słyhać? - Pociągnęła Francis do przodu. - A oto panna Covingham. Proszę nam wybaczyć to najście, bez uprzedzenia.

- Nic nie szkodzi, moja droga. - Sir Thomas uśmiechnął się promiennie i wcisnął książkę pod pachę. - Cała przyjemność po mojej stronie. Wreszcie będę miał z kim zasiąść do podwieczorku. Widzicie, obrodziły późne truskawki w oranżerii. Koniecznie trzeba je zjeść.

Poprowadził je wygodną ścieżką między wysokimi żywopłotami. Wkrótce wszyscy troje pokonali szerokie kamienne schody i znaleźli się na tarasie.

- Przyjechały panie z Hewly? - spytał sir Thomas, stając z boku i zapraszając je gestem do wejścia przez wysokie, oszklone drzwi prowadzące do biblioteki. Przyjemna podróż, prawda? W każdym razie, kiedy świeci słońce. - Roześmiał się. - Do dziś nie mogę uwierzyć, że miałem takiego pecha. Utknąć w drodze tak blisko własnego domu.

- Ale pański pech był naszym szczęściem, sir - wtrąciła Lavender pospiesznie - i dlatego też pozwoliliśmy sobie na to najście, bo musimy zapytać pana o coś szczególnego.

Sir Thomas wyglądał na zaintrygowanego.

- W takim razie usiądźcie i opowiedzcie mi o tym, moje drogie panie - powiedział ze spokojem. - Ale najpierw herbata.

Zadzwoił na pokojówkę i polecił jej przynieść herbatę i truskawki, podczas gdy Lavender i Frances rozglądały się wokół z nieskrywaną ciekawością. Biblioteka mieściła się w długim, prostokątnym pokoju, zastawionym szerokimi, sięgającymi sufitu półkami pełnymi książek, a mimo to sterty tomów leżały na podłodze. W pokoju panował półmrok, przy czym ponure wrażenie potęgowały jeszcze ciężkie meble i ciemne zasłony.

Sir Thomas odłożył książkę na wierzch jednego ze stosów i dreptał koło nieoczekiwanych gości, upewniając się, czy jest im wygodnie na obitej brokatem nie.

- Tak rzadko miewam gości - powiedział cicho. - Najwyższy czas, żeby w tym domu znów zabrzmiały jakieś młode głosy i śmiech.

- Och, Lavender, spójrz!

Lavender zauważyła obraz w tej samej chwili co Frances. Wisiał po prawej stronie kominka, portret mężczyzny w stroju z połowy osiemnastego wieku. Mężczyzna na portrecie miał ciemną cerę, ciemnobrązowe w losy wpadające w czerń i głęboko osadzone brązowe oczy,

- Popatrz - Frances wydawała się zdziwiona - to przecież podobizna pana Hammonda.

Sir Thomas uniósł głowę, chcąc zobaczyć, co przy----nęto ich uwagę.

- Mówi pani o portrecie sir Barneya Kentona? To mój ojciec.

- Sir Bamey! - powtórzyła Frances z przejęciem. -

Lavender, powiedz sir Thomasowi całą historię, natchmiast!

Sir Thomas zwrócił na nią łagodne spojrzenie niebieskich oczu.

- O mój Boże, panno Brabant, obie wyglądacie na bardzo czymś zaskoczone. W jaki sposób mógłbym wam pomóc? Och, ale poczekajmy - najpierw herbata, opowieści później.

Właśnie nadeszła pokojówka z herbatą, którą nalała do filiżanek z delikatnej chińskiej porcelany, i dużą salaterką truskawek ze śmietanką. Frances poczęstowała się ochoczo, ale Lavender odmówiła, bo niepokój odebrał jej apetyt. Ścisnęła dłonie razem, aby powstrzymać ich drżenie.

- Zatem - rzekł sir Thomas do Lavender, kiedy już wszyscy troje siedzieli wygodnie przy stoliku - co to za historia, którą ma pani do opowiedzenia, moja droga? Czekam z niecierpliwością.

- Cóż... - Lavender upiła krzepiący łyk herbaty. - Chciałam pana spytać o pańskiego syna, sir Thomasie. O pańskiego młodszego syna. Zdaje się, że miał na imię John. Czy był kiedykolwiek żonaty? - Widząc skonsternowaną minę sir Thomasa, pospieszyła z przeprosinami: - Proszę mi wybaczyć, moje pytanie na pewno wydało się panu wyjątkowo impertynenckie i tak jest w istocie, ale...

W tym momencie Frances straciła cierpliwość.

- Panna Brabant próbuje panu powiedzieć, sir Thomasie, że ona... my... jesteśmy prawie pewne, że pański syn John poślubił niejaką pannę Elizę Hammond z Abbot Quincey. Zastanawialiśmy się, czy mógłby

nam pan pomóc, to znaczy potwierdzić, że ta historia jest prawdziwa, albo zaprzeczyć.

Sir Thomas bardzo pobladł, tak bardzo, że Lavender szybko odstawiła filiżankę na stolik i nachyliła się do niego. Poważnie się zaniepokoiła, bo baronet był wiekowy i słabowity, a Frances oznajmiła mu nowinę dość obcesowo.

- Sir Thomasie? Dobrze się pan czuje?

- Wielkie nieba, wielkie nieba - szeptał cicho sir Thomas. - Próbowałem ją odszukać, ale nie zostawiła żadnych śladów. Mówicie, że przez cały czas mieszkała w Abbot Quincey? Jak to możliwe, skoro Knottingley nie zdołał jej odnaleźć?

Lavender przykryła dłonią jego dłoń. Cała się trzęsała, ze strachu i nadziei zara/em,

- W takim razie to prawda, tak? Bo jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć. Eliza urodziła syna.

W domu rozległ się przeraźliwy brzęk dzwonka. Lavender i Frances wymieniły spojrzenia, za to sir Thomas, zdaje się, niczego nie zauważył. Sprawiał wrażenie nagle postarzałego i zdezorientowanego i Lavender przestraszyła się, że dopiero co usłyszane wieści zbyt nio nim wstrząsnęły.

- Syna? - wyszeptał. - Syn Johna? Ale jak...

Otworzyły się drzwi. Kamerdyner, który wyglądał na równie wiekowego i strudzonego jak jego pan, stanął w progu.

- Proszę mi wybaczyć, sir Thomasie, ma pan gości. - W jego głosie dawało się wyczuć niejakie zaskoczenie tak niezwykłym wydarzeniem. - Lord Frederick Co-

vingham, lady Annę Covingham, pan i pani Brabantowie.

Na twarzy Frances odmalowało się poczucie winy. Odsunęła salaterkę z truskawkami i pośpiesznie zerwała się z miejsca. Po chwili Lewis i Caroline serdecznie witali się z sir Thomasem, a lord Freddie potrząsał dłonią baroneta i wyjaśniał, że przed laty przyjaźnił się z Johnem. Lavender ucieszyła się, że sir Thomas nie jest taki słabowity, na jakiego wygląda, bo powitał nowo przybyłych z niejakim ożywieniem i pośpiesznie zamówił herbatę dla wszystkich. Mniej ją ucieszyło, że nowi goście pojawili się, zanim ona i Frances dotarły do sedna tajemniczej historii, bo teraz wszystko wskazywało na to, że natychmiast ruszą w drogę powrotną do domu, pomimo prawie pełnej salaterki truskawek.

- Doprawdy, Lavender, taki szalony postępek zupełnie do ciebie nie pasuje - skomentowała Caroline, kiedy wszyscy usiedli i podano herbatę. Dyskretnie rzuciła okiem na Frances, próbując powstrzymać uśmiech. Od razu domyśliliśmy się, dokąd pojechaliście, bo Frances tak nalegała na wizytę w Kenton, że nie mieliśmy żadnych wątpliwości, gdzie was szukać. Co was napadło? Taka eskapada nic przynosi zaszczytu żadnej z was.

Lavender pomyślała, że z Caroline musiała być apodyktyczna jako guwernantka, i próbowała się usprawiedliwić.

- Przepraszam, jeśli dałyśmy wam powód do niepokoju, Caro, ale bardzo chcieliśmy dowiedzieć się czegoś więcej o Johnie i Elizie.

- Obydwie macie obsesję na tym punkcie - zauważyła Caroline, po czym uśmiechnęła się do sir Thomasa, - Mam nadzieję, sir Thomasie, że dziewczęta nie sprawiły panu kłopotu.

Lavender spojrzała na Frances i zrobiła minę. Miała wrażenie, że znów ma dwanaście lat i jest na pensji.

- Ależ nie, szanowna pani. - Sir Thomas uśmiechał się łagodnie. - Właśnie dotarliśmy do krytycznego punktu w rozmowie, bo panna Brabant przed chwilą spytała mnie, czy mój syn John był kiedykolwiek żonaty, i zasugerowała, że pozostawił po sobie syna.

- Lavender - powiedziała Caroline ściszym głosem - nie mieści mi się w głowie, jak mogłaś być tak niedelikatna.

- Przepraszam, nie możemy teraz zważać na takie rzeczy, Caro! - Lavender niecierpliwie pochyliła się do przodu. - Sir Thomas miał właśnie opowiedzieć nam, co wie.

Sir Thomas westchnął.

- Tak, wiedziałem o ślubie Johna, bo przyjechał powiedzieć mi o tym dwanaście miesięcy po fakcie. Musiało to być jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat temu, bo John nie żyje już od dwudziestu czterech lat. W każdym razie, nie można powiedzieć, że bym był zachwycony, bo Kentonowie nigdy nie byli bogaci i liczyłem na to, że John znajdzie sobie żonę z posagiem.

- Czy poznał pan żonę Johna, sir Thomasie? - spytała Frances z niecierpliwością. Zdaje się, że odzyskała dobry humor, bo na powrót zabrała się do jedzenia truskawek.

Sir Thomas uśmiechnął się do niej.

- Nie, moja droga, nie poznałem. Nawet nie znam jej imienia. Pokłóciłem się z Johnem, kiedy powiedział mi o ślubie. Co więcej, zagroziłem, że go wydziedziczę i nie dostanie ani pensa. Przyznaję to z prawdziwym wstydem. Z mojej strony były to tylko czcze pogroźki, bo nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Jednak zostałem słusznie ukarany za mój gniew i dumę, bo John wypadł z domu jak burza i nie zobaczyłem go już nigdy. Później, kiedy powiadomiono mnie, że wyjechał za granicę i umarł gdzieś w Ameryce, zacząłem się zastanawiać, co się stało z jego żoną. Poleciłem Knottingleyowi, mojemu pełnomocnikowi, podjąć poszukiwania w Oksfordzie, gdzie John wynajmował mieszkanie, ale dowiedziałem się tylko, że pani wyprowadziła się przed paroma miesiącami i nikt nie potrafił powiedzieć dokąd. Wyglądało na to, że nie miała żadnych krewnych ani przyjaciół, którzy mogliby jej pomóc, a gospodyni martwiła się o nią, bo często chorowała. - Urwał, kręcąc głową. - W każdym razie nie natrafiliśmy na żaden ślad. Byłem ciekaw, czy pojawi się tutaj, w Kenton, lecz nigdy tego nie uczyniła. Często zastanawiałem się, co się z nią stało, samą jedną na świecie po śmierci Johna, ale pocieszałem się myślą, że miała jednak jakąś rodzinę, do której się udała.

Zapadła cisza.

- Nie rozumiem - powiedziała Frances płacząc - Jeśli Eliza Hammond od roku była mężatką, dlaczego nie powiedziała o tym swojej rodzinie?

Znów zapadła cisza.

Wydaje mi się, że wiem dlaczego - zaczęła Laverder z wahaniem. - Pan Kenton popełnił megalomanię, biorąc sobie żonę, która była pokojówką w pańskim domu, lordzie Fredericku. Ani on, ani jego żona nie powiedzieli swoim rodzinom o planach. Zapewne pobrali się potajemnie w Northampton, a po ślubie osiedli w mieszkaniu pana Kentona w Oksfordzie. Dopiero kiedy pani Kenton odkryła, że jest przy nadziei, jej mąż postanowił skontaktować się z ojcem, wiedząc doskonale, że zawiódł jego nadzieje na korzystne małżeństwo.

Sir Thomas skinął głową.

- Bardzo wątpię, czy John zdołałby utrzymać trzy osoby ze swojej pensji. Wydaje się, że jego najgorsze obawy się sprawdziły. Przybył do rodzinnego domu, a własny ojciec odwrócił się od niego. Na pewno wówczas obmyślił plan wyjazdu za granicę w poszukiwaniu majątku.

- Przypuszczam, że Eliza nie mogła z nim pojechać, ponieważ spodziewała się dziecka - powiedziała Caroline w zamyśleniu - ale kiedy zbliżał się termin rozwiązania, a jeszcze do tego czuła się coraz gorzej, postanowiła wrócić do domu, czyli do Abbot Quincey. Zaryzykuję twierdzenie, że nie miała odwagi przyjechać tutaj proszę mi wybaczyć, sir Thomasie - jednak dorastała zaledwie parę mil stąd, więc... - Caroline wzruszyła ramionami.

- W takim razie pan Hammond musi być pańskim wnukiem, sir Thomasie - odezwała się Frances. - Jak wspaniale się złożyło! To wyjątkowo czarujący młody człowiek i taki podobny do dżentelmena na tym portre-

cie. - Ruchem głowy wskazała portret sir Barneya wiszący przy kominku.

- Cóż - powiedział Lewis po chwili milczenia - uważam, że ktoś powinien poinformować pana Hammonda o tej sytuacji, bo on z pewnością nie ma o niczym pojęcia.

- Niezupełnie. - Lavender wierciła się nerwowo na krześle. - Próbowałam poruszyć tę sprawę we wczorajszej rozmowie z panem Hammondem, ale on... nie jestem pewna, że on... - Popatrzyła na zdziwione miny zebranych. - O Boże, to takie trudne. Krótko mówiąc, nie jestem wcale pewna, czy będzie zadowolony z naszego wtrącania się.

Otworzyły się drzwi i znów stanął w nich ten sam smętny kamerdyner, co poprzednio. Odchrząknął i zanonsonował:

- Sir Thomasie, ma pan kolejnych gości. Pan James Oliver i pan Barney Hammond.

- O Boże! - szepnęła Lavender.

O zmierzchu powozik Brabantów toczył się droga powrotną do domu, wioząc Caroline, Lewisa i Lavender. Podróżny powóz Covinghamów jechał tuż za nimi i Lavender wyobrażała sobie sceny rozgrywające się w środku. Lady Annę i lord Freddie na pewno zmywali główce swojej krnąbrnej córce. Wyrzuty Lewisa i Caroline były łagodniejsze. Zapewne oboje doszli do wniosku, że już i tak wiele wycierpiała. Ona była tego samego zdania.

Wyraz twarzy Barneya Hammonda, kiedy zastał ich wszystkich siedzących w bibliotece sir Thomasa,

z pewnością zostanie jej w pamięci na długi czas. Spojrzał wprost na nią, zaraz po wejściu, a w jego wzroku malowała się taka wściekłość, że Lavender odwróciła głowę. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że nie życzy sobie, aby wtrącała się w jego sprawy, ale myślała, jednak miała nadzieję, że skoro tylko odkryje, że jego rodzice byli małżeństwem, a na dodatek ma dziadka, okaże jej należytą wdzięczność. Tak się nie stało i teraz Lavender była w jakimś sensie obrażona, bo Barney z pewnością rozumiał, że gdyby nie ona, wciąż byłby adoptowanym synem kupca bławatnego, i tyle.

Barney najwyraźniej był skrepowany. Nie omieszkął wyjaśnić sir Thomasowi, że przybył tu, bo kiedy pojechał do Hewly, powiedziano mu, że cała rodzina i goście wybrali się do Kenton w jakiejś pilnej sprawie. A ponieważ panna Brabant wspomniała o Kenton w związku z jego, Barneya, pochodzeniem - tutaj jego spojrzenie na moment ponownie spoczęło na twarzy

Lavender - postanowił zjawić się tu osobiście, aby wyjaśnić całą sprawę do końca.

W tym momencie Lavender była przekonana, że wszystko lada moment się rozwiąże, a miłość i wdzięczność Barneya nie będą miały granic. Niestety, państwo Brabantowie, lord i lady Covinghamowie i James Oliver jednocześnie przypomnieli sobie o dobrych manierach i postanowili się wycofać, zostawiając Barneya sam na sam z dziadkiem, aby mogli porozmawiać bez świadków. Było to dalece niezadowolające.

Lavender, wzdychając, przyglądała się tonącym w mroku krajobrazom, które przesuwały się za oknami

powozu. Zdaje się, że jeden fałszywy krok pociąga za sobą następny. Naraziła się Lewisowi i Caroline, znikając bez słowa, a na domiar złego postawiła ich w kłopotliwym położeniu, bo wciągnęła w całą sprawę Frances Covingham. Popadła w konflikt z Barneyem, bo zaczęła grzebać w jego przeszłości i dokopała się pewnego sekretu, za co nie wydawał się jej szczególnie wdzięczny. W każdym razie jeśli o nią chodzi, postanowiła na przyszłość poświęcić się botanice i pozostawić wszystkich samym sobie.

- Mogliście przynajmniej zabrać mnie ze sobą. - Nadał się głos Julii przypominając zawrodozenie. - Całe hrabstwo mówi o niedawno odnalezionym wnuku sir Thomasa Kentona. I pomyśleć, że mogłam być tam, gdzie się to stało! Co za podłość - zostawić mnie jak gdyby nigdy nic!

Lavender nie zamierzała reagować na żale kuzynki. Siedziała przy oknie w bibliotece, wykorzystując resztki światła dziennego. Była pochłonięta dość niezwykłym jak na nią zajęciem, a mianowicie haftowała koszulkę dla dziecka Caroline - taka gałązka oliwna za przyczynienie bratu i bratowej tylu kłopotów. Popatrzyła krytycznie na koszulkę i westchnęła. Wiedziała, że nie ma talentu do robótek ręcznych - kołnierzyk był zdecydowanie krzywy.

- I pomyśleć, że pan Hammond jest spadkobiercą sir Thomasa - mówiła właśnie Julia, którą nie sposób było powstrzymać, gdy już raz zaczęła. - Dziedzicem Kenton Hall.

- I baronii! - wtrąciła Caroline chytrze. Twarz Julii bladła i czerwieniała na przemian.

- Cóż, słowo daję, los potrafi być wyjątkowo niesprawiedliwy! Posiadłość i tytuł dla adoptowanego syna kupca bławatnego! - Zwróciła się do Lavender. - Założę się, że teraz przemyślisz swoją odmowę, kuzynko. Boże, zostać lady Kenton i panią w Kenton Hall!

Lavender starannie złożyła maleńką koszulkę. Nie miała ochoty tkwić tutaj jako ofiara złego nastroju Julii, bo zdawała sobie sprawę, że jeszcze chwila i wybuchnie.

- W dalszym ciągu nie jest za bogaty - powiedziała ostro. - Czyżbym się myliła, sądząc, że to jeden z twoich warunków wstępnych, Julio?

Julia wzruszyła ramionami.

- Cóż, może nie odziedziczy nic po Hammondzie, skoro jest jego siostrzeńcem, nie synem, jednakże ten człowiek jest bogaty jak nabab i na pewno odpowiednio go obdaruje. Poza tym, z twoją fortuną, Lavender i perspektywami pana Hammonda...

- Ten związek mógłby niespodziewanie przerodzić się w dobry interes? - burknęła Lavender. - Dziękuję ci, kuzynko, ale niektórzy z nas szukają w małżeństwie czegoś więcej. Raczej nie zapomnę, że zaledwie przed tygodniem wszyscy mówili mi, jaki to byłby straszliwy mezalians.

Caroline westchnęła, a Julia szeroko otworzyła swoje duże niebieskie oczy.

- Cóż, przed tygodniem było to prawdą. Kuzynko, nie rozumiem, o co ci właściwie chodzi.

Lavender wyszła z biblioteki, trzaskając drzwiami. Nie mieściło jej się w głowie, że tylko ona dostrzega ironię całej sytuacji. Nagle ci wszyscy, którzy potępiali to małżeństwo jako mezalians, wychwalali je pod niebiosą. Doprowadzało ją to do szału. Co gorsza, Barney nie pojawił się w Hewly, ani po to, żeby podziękować jej za pomoc, ani po to, żeby ponowić propozycję małżeństwa, którą złożył jej tak niedawno. A skoro Barney ani myślał się oświadczać, dyskusja o ślubie nie miała najmniejszego sensu.

Lavender była w tak fatalnym nastroju, że kiedy wreszcie udała się na spacer, nawet piękny wieczór nie ukoił jej rozdrażnienia. Księżyc właśnie wschodził nad lasem, a lekki wietrzyk szeleścił jesiennymi liśćmi. Powietrze pachniało trawą i dymem, rzeka migotała w blasku księżyca, tajemniczo i srebrzyście. Lavender zatrzymała się i wbiła wzrok w falujący nurt, próbując odnaleźć spokój w sercu.

Siedziała przez długi czas na dużym płaskim kamieniu na brzegu wsłuchana w szelest myszy w trawie i pluskanie ryb w rzece, a kiedy usłyszała kroki na ścieżce za sobą, nie musiała odwracać głowy, żeby się domyślić, kto nadchodzi.

- Pan Hammond! Jak to się dzieje, że ciągle skrada się pan po lasach, sir?

- Przepraszam. - W dobiegającym z półmroku głosie Barneya nie wyczuwała skruchy. - Wcale się nie skradałem. Szedłem do Hewly, by zobaczyć się z panią, panno Brabant!

- O tej porze? - Choć Lavender zdawała sobie spr-

we, że jej głos brzmi kąśliwie, nie mogła się powstrzymać. Czekwała na niego parę dni, a teraz, kiedy wreszcie się zjawił, odczuwała przewrotne pragnienie sprawienia mu przykrości.

- Mogę usiąść? - Barney, nie czekając na przyzwolenie, ulokował się wygodnie na kamieniu. - Chciałem z panią porozmawiać.

- Doprawdy? - burknęła. - Zdażyłam się zmęczyć czekaniem, mój panie.

- Zapewne sądziła pani, że powinienem bezzwłocznie przybyć z podziękowaniami, czy tak? - spytał. W jego głosie wyczuwało się rozbawienie. Otarł się ramieniem o jej ramię i Lavender odsunęła się ostentacyjnie. Czuła ciepło jego ciała, czuła, że się odpręży i nachyla ku niemu. obecność Barneya osłabiła jej wolę walki.

- Odrobina wdzięczności byłaby nie od rzeczy.

- Ach, ale widzi pani, byłem na panią bardzo zły. - W głosie Barneya wciąż brzmiało rozbawienie. - Prosiłem panią aż nadto wyraźnie, żeby nie wtrącała się w moje sprawy, i co się stało? Nie tylko rozmawiała pani o mnie ze swoją rodziną i przyjaciółmi, ale na domiar złego postanowiła pani wybrać się do Kenton i zobaczyć z sir Thomasem. Najpierw zignorowała pani moje wyraźne życzenia, a potem dowiedziałem się, że mam wobec pani dług.

Lavender na moment poczerwieniała z oburzenia. No nie, czegoś takiego się nie spodziewała! Wysłuchiwać wyrzutów od kogoś, kto z pewnością miał wobec niej olbrzymi, niewyobrażalny wręcz dług wdzięczności.

- Wielkie nieba! A ja spodziewałam się pańskich podziękowali, nie wymówek. Pan i pańska niemądra dumma! Nie jest pan zadowolony z tego, że odnalazł pan dziadka, a na dodatek posiadłość i tytuł.'

Nie to liczyło się dla niej najbardziej, ale była na niego tak zła, że odpowiedziała ciosem na cios. A ponieważ już wcześniej miała okazję widzieć, jak Bamey wpada w gniew, wiedziała, że można go sprowokować. Tym razem jednak jej się nie udało, bo Barney wybuchnął śmiechem. .

- Och, bardzo się cieszę, że poznałem mego dziadka, bo nadzwyczaj go polubiłem i myślę - mam nadzieję - że on polubił mnie również. Co zaś do reszty, cóż, mnóstwo osób mówiło mi w ciągu ostatniego tygodnia, że powinienem się cieszyć, skoro otworzyły się przede mną takie perspektywy, nie spodziewałem się jednak, że i pani dołączy do ich grona, panno Brabant. Zdawało mi się, że zaklinała się pani, że mnie kocha, i to wówczas, gdy nie miałem pani nic do dania. To dziwne słyszeć, jak bardzo ceni pani światowe dobra.

Lavender zerwała się z miejsca jak oparzona. Nie chciała, żeby przypominano jej o wyznaniach miłości, kiedy czuła w stosunku do niego to co teraz.

- Och, pański majątek nic a nic mnie nie obchodzi, myślę jednak, że powinien pan przyznać, że właśnie dzięki memu uporowi znalazł się pan w takiej sytuacji. Gdybym zastosowała się do pańskich zakazów i zostawiła sprawy własnemu biegowi, nigdy nie dowiedział by się pan niczego ani o swojej rodzinie, ani o majątku.

A w tych okolicznościach wydaje się mi niewdzięcznością że nie potrafi pan uznać moich zasług.

Barney również wstał i zbliżył się, co sprawiło, że Lavender nagle zrobiła się nerwowa. Pospieszenie cofnęła się o krok, potknęła i byłaby wpadła do rzeki, gdyby Bamey nie złapał jej za ramię.

- Ostrożnie, panno Brabant. Za chwilę znajdzie się pani w wodzie i będę zmuszony panią z niej wyławiać.

- Och! - Lavender tupnęła nogą. - Idźże sobie, ty wstrętny człowieku! Nie chcę ani pana, ani pańskiego majątku, ani tytułu i przepraszam, że ośmieliłam się znaleźć pana rodzinę dla pańskiego dobra. Żałuję, że nie zostawiłam pana za sklepową ladą, za którą tkwiłby pan do końca życia, gdyby nie ja.

Barney wziął ją w ramiona i zanim zdolała zaprotestować, zgniótł jej wargi w pocałunku, który pozbawił ją resztek tchu. Jeśli jej uwaga była nie na miejscu, jego zachowanie tym bardziej. Kiedy ją puścił, chciała go zgromić, uświadomiła sobie jednak, że jest zmuszona się go przytrzymać, by zachować równowagę, zanim znów pod stopami poczuje ziemię, a gwiazdy przestaną wirować jej w oczach. Barney chyba nie miał nic przeciwko temu. Tulił ją do siebie i przyciskał wargi do jej włosów.

- No, Lavender, dajmy spokój tym głupim kłótniom! Powiedz, że za mnie wyjdiesz, bo teraz przynajmniej mam ci coś do zaoferowania.

Lavender wyczuwała uśmiech w jego głosie. Bliiskość jego ciała niesamowicie ją rozpraszała. Spróbowała się skupić.

- Może pan sobie przypomina, że kiedy ostatnim razem prosił mnie pan o rękę, byłam gotowa - więcej niż gotowa - wyjść za pana i ani pana ranga, ani pozycji nie miały dla mnie najmniejszego znaczenia. A więc nie życzę sobie, żeby wpłynęły na mnie teraz, kiedy pana sytuacja finansowa się zmieniła. Nie, przykro mi, ale nie wyjdę za pana.

Poczuła, jak Barney zeszywniał, po czym wypuścił ją z objęć i cofnął się o krok. Owionęło ją zimne wieczorne powietrze, wypełniając przestrzeń, którą jeszcze przed chwilą zajmowało jego ciepłe ciało.

- Lavender, wiesz, że moje wahanie nie miało nie wspólnego z moimi uczuciami do ciebie i brało się jedynie ze świadomości istnienia przepaści między nami,

Cofnęła się.

- Wiem o tym. Jednak ja nie podzielałam twego wahanania. Byłabym szczęśliwa, mogąc za ciebie wyjść i żyć w wiejskiej chacie. Kochałam cię na tyle mocno, że byłam gotowa to zrobić.

Barney skrzywił się.

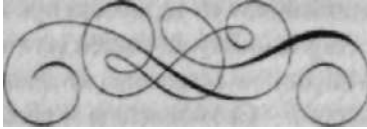
- Lavender, to nie w porządku. Myślałem tylko o tobie - o tym, jakie to podłe prosić ciebie, byś dla mnie rezygnowała ze wszystkiego. Teraz mogę dać ci o wiele więcej.

- A ja tego nie chcę! - wypaliła Lavender. - Chciałam tylko ciebie, ale to ci nie wystarczało. A więc teraz, kiedy masz o wiele więcej, moja odpowiedź brzmi: nie!

- Łzy napłynęły jej do oczu, lecz je powstrzymała

- Rozumiem twoją dumę i twoje wahanie. Nie chciałeś oświadczać się o moją rękę, kiedy czułeś, że nie masz

niczego. Rozumiem nawet, że możesz być zły, bo masz wobec mnie dług za odkrycie twoich powiązań z Ken---ami, choć między nami mówiąc, uważam, że to czarna niewdzieczność. - Coś ścisnęło ją w gardle, toteż odchrząknęła. - Zapominasz jednak, że ja też mam swoją dumę. Wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam, miało na celu tylko twoje dobro, i nie rozumiem, dlaczego miałabym teraz dostosować się do twoich planów tylko dlatego, że tobie to odpowiada. A więc nie - nie wyjdę za Po raz kolejny uciekła od niego i ani razu się nie obejrzała.



ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wielka szkoda! - westchnęła Caroline. Był ranek następnego dnia i Lavender właśnie wyznała Caroline i Lewisowi, że Barney jeszcze raz poprosił ją o rękę i że podtrzymała swoją odmowę.

- Jesteś uparta jak osioł, Lavender - orzekł poirytowany Lewis. - Nie mam pojęcia, po kim to odziedziczyłaś. Chyba zdajesz sobie sprawę, że pan Hammond stara się tylko robić, co należy, i postępuje tak od samego początku.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Zdawała sobie sprawę, że w jej głosie słychać rozdrażnienie. - Chciałam wyjść za Barneya, kiedy nie miał niczego, lecz jemu to wówczas nie odpowiadało. Tylko dlatego, że pewnego dnia będą go tytułować sir Barneyem - no cóż, wyszłooby na to, że poluję na bogatego męża, gdybym nagle zmieniła zdanie i powiedziała, że ostatecznie go poślubię.

- Ludzie rzeczywiście mogą tak mówić - zauważyła Caroline trzeźwo - ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Z pewnością najważniejsze jest, że go kochasz, a on kocha ciebie, a skoro tak, głupotą byłoby nie doprowadzić do tego małżeństwa.

Lavender odwróciła głowę.



- Nie życzę sobie rozmawiać na ten temat. Wezmę przybory do rysowania i zrobię kilka szkiców do książki. Nie mam ochoty siedzieć tutaj i słuchać waszych połajanek, a tym bardziej wysłuchiwać opowieści Julii o tym, że do Kenton Hall co i raz zajeżdżają kolejne powozy z okolicznymi pannami do wzięcia, gotowymi na wszystko, byle zostać następną lady Kenton.

Lewis roześmiał się i Lavender doszła do wniosku, że jej brat jest bez serca.

- Mam powody sądzić, że Julia niedługo nas opuści, w każdym razie - powiedziała niefrasobliwie. - Biedna lady Leverstoke właśnie zeszała z tego świata. Gotów jestem się założyć, że Julia lada chwila wyjdzie ze swego ukrycia, aby upolować Charlesa Leverstoke'a, zanim ktoś ją ubiegnie.

Caroline roześmiała się i odłożyła czytany właśnie list.

- Annę Covingham pisze mi, że ona i lord Freddie postanowili nie przeciwstawiać się dłużej znajomości Frances z Jamesem Oliverem, a więc wygląda na to, że tamta sprawa jest na dobrej drodze. Widzisz, Lavender, gdyby tylko udało ci się dojść do porozumienia z panem Hammondem, wszyscy bylibyśmy zadowoleni.

- Uważam, że oboje jesteście odrażający - odrzekła Lavender. - Jestem wstrząśnięta tym, że staracie się mnie zachęcić do małżeństwa dla korzyści materialnych. Wychodzę!

Z tymi słowami wypadła z pokoju, zostawiając Le-

wisa i Caroline patrzących po sobie z udawaną rezygnacją.

Lavender nie czuła się o wiele lepiej, kiedy po powrocie do Hewly w porze lunchu odkryła, że w domu nie ma żywej duszy, a Lewis i Caroline pojechali gdzieś z wizytą. Ranek wcale nie przebiegł tak, jak planowała. Podrapały ją dzikie róże i upuściła teczkę do strumienia, toteż starannie wykonane rysunki ziela o niezbyt apetycznej nazwie bodziszek cuchnący rozmazały się na całej stronie. Zła i poirytowana, samotnie zasiadła do lunchu. Właśnie przeżuwała w milczeniu zimne mięso, kiedy rozległo się pukanie i do jadalni weszła Rosie. Pokojówka dygnęła.

- Proszę mi wybaczyć, panno Lavender, ale przed domem czeka powóz z Kenton Hall. Przyjechał nim posłaniec z wiadomością od sir Thomasa. Prosi, żeby pani natychmiast się z nim zabrała. To jakaś niezwykle pilna sprawa, tak przynajmniej twierdzi.

Lavender odłożyła widelec.

- Pilna sprawa?

- Tak utrzymuje służący sir Thomasa, proszę pani. I specjalnie po panią przysłano powóz.

Lavender zmarszczyła brwi. Po swojej ostatniej eskapadzie nie miała najmniejszej ochoty wyruszać w drogę dla czyjegoś kaprysu i w rezultacie narażać się na potępienie ze strony Lewisa i Caroline. Skoro jednak sir Thomas życzył sobie ją widzieć, owa tajemnicza sprawa najwidoczniej była ważna na tyle, że przysłał po nią własny powóz. Podeszła do okna i odchyliła za-

słonę. Rzeczywiście, przy drzwiach wejściowych stał powóz z herbem Kentonów, a stangret trzymał lejce i rozmawiał z jednym z tutejszych stajennych. Lavender puściła zasłonę, która opadła na swoje miejsce.

- W takim razie dobrze. Powiedz temu człowiekowi, że za dziesięć minut będę gotowa.

Nabazgrała kilka słów do Caroline i Lewisa, zaznaczając wyraźnie, że jedzie na zaproszenie sir Thomasa, nie dla kaprysu, po czym pobiegła na górę, żeby umyć ręce i wziąć świeży czepek. Fiołkowa sukienka miała plamę w okolicy kolan, która zrobiła się, kiedy uklękła, aby wydostać szkicownik ze strumienia, uznała jednak, że nie ma czasu na zmianę stroju. Kiedy wyszła przed dom, konie niecierpliwie przebierały nogami na wyżwirowanym podejździe i ledwie wsiadła do powozu, wyruszyli w drogę bez zbędnych ceregieli.

Dopiero kiedy zbliżali się do Kenton, Lavender z całą ostrością uświadomiła sobie niestosowność swego postępu. Ostatnim razem towarzyszyła jej Frances, co z pewnych względów było bardzo złe, ale tym razem nie zabrała ze sobą nawet pokojówki. Przyzwyczajona do długich, samotnych przechadzek po Hewly i okolicach, od lat chadzała, gdzie jej się żywnie podobało, i rzadko zastanawiała się, że może ściągnąć na siebie niebezpieczeństwo, teraz jednak, zdesperowana, w duchu zadawała sobie pytanie, kiedy wreszcie nauczy się zachowywać jak przystało. Wskutek podenerwowania doszła do wniosku, że zaproszenie mogło być częścią intrygi mającej na celu porwanie, i właśnie wyobrażała

sobie czekające ją najstraszliwsze okropieństwa, kiedy powóz skręcił we wrota Kenton Hall i wjechał na podjazd.

Natychmiast zorientowała się, że w rezydencji już zaczęto wprowadzać zmiany. Widać było pierwsze efekty podjętych prac - trawa pod drzewami została ścięta, a podjazd oczyszczony z zielska, jednakże tego sennego popołudnia ogrody były równie ciche, jak w ubiegłym tygodniu. Pojazd zatrzymał się przed głównym wejściem i stajenny z szacunkiem przytrzymał drzwiczki, czekając, aż Lavender wysiadzie. Rozejrzała się wokół w poszukiwaniu sir Thomasa, lecz zamiast starszego pana zobaczyła jego wnuka, który szedł od strony stajni z zawiniętymi rękawami koszuli, co sugerowało, że kiedy przyjechała, był zajęty pracą. Lavender utkwiała w nim wzrok.

- Pan tutaj! Myślałam...

Pojazd zjechał w głąb dziedzińca, a Barney podszedł bliżej i wziął Lavender za rękę.

- Dziękuję, że tak szybko odpowiedziała pani na moje zaproszenie, panno Brabant.

- Przepraszam, nie bardzo rozumiem. Myślałam, że to sir Thomas przesłał mi wiadomość.

Barney z wdziękiem wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że mego dziadka nie ma w tej chwili w domu. To ja panią tu sprowadziłem, podając się za niego. Przyznaję, że to wstrętne oszustwo, ale miałem poważne obawy, że pani odmówi, jeśli będzie wiedziała, że zaproszenie pochodzi ode mnie.

Przytrzymał jej drzwi i po chwili Lavender weszła za

nim do domu. Tutaj, tak samo jak na zewnątrz, zaszły gruntowne zmiany. Przez otwarte okna do środka napływało chłodne jesienne powietrze, meble wyczyszczono na wysoki połysk, a wszystkie zasłony i dywany zostały wytrzepane.

- Mój dziadek uznał za stosowne zarządzić w domu wiosenne porządki, na przekór jesieni - wyjaśnił Barney z pewnym zakłopotaniem.

Lavender uśmiechnęła się.

- Może doszedł do wniosku, że mimo końca roku nadszedł czas na nowy początek.

- Być może. - Barney odpowiedział jej uśmiechem. - Chciałaby pani obejrzeć dom?

Lavender zgodziła się, aczkolwiek z wahaniem. Była ciekawa, dlaczego Barney zwał ją do Kenton, i ku swemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że nie ma mu tego za złe. Wręcz przeciwnie, zrobiło jej się dziwnie ciepło na sercu, kiedy go zobaczyła, wychodzącego jej na powitanie. Widok Barneya naprawdę ją ucieszył, nie mogła zaprzeczyć. Po ich ostatniej kłótni czuła się całkiem wytrącona z równowagi i nie miała pojęcia, czy kiedykolwiek zdoła dojść do siebie. Bez niego była zła i poirytowana, nie chciała jednak, żeby się o tym dowiedział - w każdym razie nie teraz.

Obejrzeni bibliotekę, w której część portretów została już odkurzona, po czym powoli wyszli przez oszkłone drzwi na taras, a następnie do ogrodu. Było tu jeszcze spokojniej niż poprzednio.

- A wiec pańskiego dziadka nie ma w domu, a gdzie

się podzieli służący? - spytała Lavender, rozglądając się wokół. - Tyle tu zrobiono, że spodziewałam się, iż zobaczę ich przy pracy.

Barney roześmiał się.

- Dałem wszystkim wolne popołudnie. Tak jak pani zauważyła, pracują na tyle ciężko, że z pewnością za służyli na odpoczynek.

- Pan też ciężko pracuje, sądząc po tym, jak tu wszyscy go wygląda. - Lavender uśmiechnęła się. - Mieszka pan tutaj, w Kenton?

- Tak, mieszkam z dziadkiem - Barney wciąż wypowiadał to słowo z pewnym wahaniem - od trzech dni. Zaproponował mi, żebym wprowadził się do Kenton na stałe, kiedy tylko będę miał takie życzenie. Muszę się sporo nauczyć o zarządzaniu posiadłością i farmami i... - Barney przerwał, kręcąc głową. - Wciąż wydaje mi się to dość niezwykłe.

- Lubi pan sir Thomasa? - spytała Lavender z wahaniem. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio, powiedział pan, że tak.

Barney nieoczekiwanie błysnął zębami w uśmiechu.

- O, bardzo. Prawdę mówiąc, nie byłem zbyt zachwycony moją nową sytuacją - po tych słowach spojrzął na nią z ukosa - co było jednym z powodów, dla których zachowałem się tak niewdzięcznie, kiedy wyskoczyła pani z tą informacją o moich rodzicach. Miałem tyle planów związanych ze studiowaniem farmacji i nie chciałem z nich rezygnować. W każdym razie, sir Thomas uważa, że nic nie powinno mi w tym przeszkodzić i że mogę kontynuować swoje prace w Kenton, a więc może ostatecznie uda mi się zrealizować marzenie i pewnego dnia zostanę członkiem Królewskiego Towarzystwa Farmaceutycznego. Przyznaję, z prawdziwą ulgą myślę, że nie będę wyłącznie próżnował, jak na arystokratę przystało, i że moja praca może się na coś przydać!

Lavender roześmiała się.

- I pomyśleć, że tak wielu ludzi panu zazdrości, u pan skrycie tęskni za swoimi eksperymentami i studiami.

Barney zrobił zabawną minę.

- Oburzająca niewdzięczność, wiem o tym. Ale tak ciężko pracowałem i zawsze chciałem zasłużyć na sukces.

- Godne podziwu - przyznała Lavender. - Mam jednak nadzieję, że z tego powodu nie zrezygnuje pan ze swego dziedzictwa?

- Nie. - Barney uśmiechał się. - Byłoby prawdziwą głupotą nie dostrzegać płynących stąd korzyści i nie ma powodu do niepotrzebnego buntu. Poza tym nie mógłbym tego zrobić sir Thomasowi - odnalazł wnuka dopiero u schyłku życia i nie zasługuje na to, by tracić go po raz drugi.

Lavender zamrugała, zawstydzona łzami, które zakreśliły jej się w oczach.

- Tak się cieszę, bo to miły starszy pan. - Uśmiechnęła się. - Jak pański wuj przyjął wiadomość o pana szczęściu?

- Och, jest wprost zachwycony! Szczerze mó-

wiać, mam powody sądzić, że żałuje, że cała sprawa nie wyszła na jaw wcześniej, bo wówczas przez te minione dwadzieścia pięć lat jeździłby w gości do Kenton Hall.

Lavender uśmiechnęła się, wyobrażając sobie pękającego z dumy Arthura Hammonda. Mieć siostrzeńca skoligaconego z ziemiaństwem to więcej, niż ten parweniusz mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić.

Bamey wziął ją za rękę.

- Lavender, wybac mi, że zwabiłem cię tu pod fałszywym pretekstem, ale musiałem porozmawiać z tobą bez świadków. Oświadczałem ci się dwukrotnie i nie mam zamiaru robić tego po raz trzeci. Powiniennem ci powiedzieć, że dziś rano pojechałem konno do Hewly i otrzymałem zgodę twego brata - po raz drugi - na poślubienie cię, i że zarówno on, jak i pani Brabant życzyli mi szczęścia w walce z twoim uporem. A więc nie zamierzam owijać niczego w bawełnę. Wyjdiesz za mnie za trzy tygodnie od dziś. Sir Thomas już załatwił ogłoszenie zapowiedzi tutaj, w Kenton i jest zachwycony tym, że po tak długim czasie w rodzinie znów będzie ślub. Teraz potrzeba tylko twojej zgody.

Lavender wpatrywała się w niego, do głębi dotknięta. Nie była pewna, co bolało ją bardziej, perfidna zdrada Lewisa i Caroline czy apodyktyczność Barneya, i to wówczas, kiedy oczekiwała należytych oświadczeń. Wyrwała dłoń z jego uścisku i cofnęła się o krok.

- Za dużo pan sobie pozwala, sir! A co, jeśli nie mam ochoty wychodzić za mąż?

- To bez znaczenia - powiedział Barney, zupełnie nie zbity z tropu. - Po pierwsze, przed kilkoma tygodniami powiedziałaś mi, że mnie kochasz, a więc teraz ci o tym przypominam. Po drugie, nie wierzę, że chciałabyś zostać starą panną. Ta rola może doskonale pasować do innych, ale nie do ciebie. Daj spokój, Lavender, czemu nie chcesz się zgodzić? Mogłabyś mieszkać w Kenton i dalej zajmować się botaniką. Wiesz, że by ci się to spodobało.

Lavender ten pomysł się podobał i bolało ją, że musi o przyznać. Odwróciła się i ruszyła ścieżką prowadzącą na dziedziniec. Nie miała pojęcia, dokąd idzie, liczyła jednak na to, że Barney uda się za nią i powtórzy swoje oświadczenia, tym razem w bardziej romantycznym stylu. Zdawała sobie sprawę, że jej upór jest dziecinny, a jeszcze bardziej ją zdenerwowało, że podążający za nią Barney nie szepcze jej żarliwych słów miłości, tylko idzie niespiesznie w pewnej odległości od niej, pogwizdując coś pod nosem.

Lavender poczuła się głupio. Doszła do stajni, z nadzieją, że powóz czeka i że uda jej się namówić któregoś ze stajennych do zawiezienia jej z powrotem do Hewly. Jednakże w pobliżu nie było żywej duszy. Zajrzała do stodoły, wyładowanej po strop sianem, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Barneya. Stał w otwartych drzwiach i śmiał się.

- Lavender, kiedy wreszcie przestaniesz uciekać?

Przecież ci mówiłem, że jesteśmy tu tylko we dwoje, ty

i ja. Och, chyba nie chce pan przez to powiedzieć, że

moja reputacja jest w niebezpieczeństwie. Już i tak jest zszargana, jeśli pan sobie przypomina.

- No tak. - Barney uśmiechnął się, podchodząc bliżej. - A więc chcesz dać mi do zrozumienia, że jesteś nieodwracalnie skompromitowana, w dodatku przeze mnie i już nie możesz upaść niżej. Myślę, że się mylisz.

Zanim Lavender odgadła jego zamiary, złapał ją za nadgarstek i pociągnął na siano.

- Kiedyś powiedziałaś, że spędzam czas na igraszkach na sianie z miejscowymi dziewczętami - zauważył. - Cóż, nie była to prawda, ale teraz chętnie to naprawię. - Przewrócił Lavender na plecy i przygwoździł do siana.

- Puść mnie! - zawołała, kichając, bo zdźbła łaskotały ją w nos. - To jakiś absurd.

- W takim razie powiedz, że zostaniesz moją żoną,

Lavender, nie dając za wygraną, szamotała się z nim na sianie, lecz niczego nie osiągnęła, a na dodatek czepek zsunął jej się z głowy.

- Na pewno mnóstwo kobiet marzy o tym, by zostać następną lady Kenton w Kenton Hall.

- Zapewne, ale ja chcę tylko tej jednej. Lavender, kocham cię. Czy musisz tak wszystko utrudniać?

Znieruchomiała i spojrzała w ciemne oczy nad nią, tak blisko jej własnych. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć jego policzka.

- Nie jestem pewna - wyszeptała.

Barney wziął jej dłoń w swoją, odwrócił i czule ucałował.

- W takim razie muszę sprawić, byś nabrała pewności - powiedział ochryple. - Gdzie doszliśmy tamtego dnia przy stawie? A tak, przypominam sobie. Miałaś rozpuszczone włosy - zawiesił głos i spojrzał na nią - tak jak teraz. A twoja sukienka... - Przesunął palce do guzików przy szyi.

Lavender uderzyła go w rękę.

- Co ty wyprawiasz!

Barney popatrzył na nią wymownie.

- Sądziłem, że to oczywiste. Uwodzę cię, żeby cię zmusić do ślubu. - Ściągnął koszulę przez głowę niecierpliwym gestem. - No i naturalnie dlatego, że mam takie życzenie.

Lavender raptownie usiadła, gdy tylko znów się nad nią pochylał. Przy tym ruchu dotknęła dłońmi opalonej gładkiej skóry na jego torsie i ponownie upadła na plecy, wydając przy tym stłumiony okrzyk.

- Och! Na pewno nie mówisz poważnie. Nie ma potrzeby mnie uwodzić.

- Rozczarowujesz mnie. - Barney sunął wargami po gładkiej skórze poniżej jej ucha. Dotarł do warg, potarł je lekko, żartobliwie, po czym się wycofał. - A wiec wyjdiesz za mnie?

- Tak - wyszeptała Lavender, obezwładniona żarem bijącym z jego oczu. - O, tak, wyjdę.

- To dobrze. - W głosie Barneya wyczuwało się werwę, ale kiedy pochylał usta do jej warg, najwyraźniej się nie spieszył. - A teraz przypieczętuje my naszą umowę - mruknął, tuż przy jej ustach.

Rozdzielił jej wargi, pogłębiając pocałunek, aż

w głowie jej wirowało, a krew uderzyła do głowy. Kiedy palce Barneya powróciły do sukni i zaczęły rozpinąć rząd guzików na szyi, Lavender nie tylko się nie opierała, ale próbowała mu niezdarnie pomagać, tak jej było pilno. Wreszcie materiał rozsunął się na boki i Barney pochylił głowę, aby pocałować zagłębienie poniżej szyi. Lavender przejechała dłońmi po jego ramionach, przyciągając go bliżej, upajając się gładkością twardych mięśni pod skórą.

Nie upłynęło wiele czasu, a oboje wyglądali dokładnie tak samo jak wtedy przy stawie. Lavender w samej bieli źnie, oniemiała z pożądania, gdy Barney rozsznurował stanik, wsunął dłonie do środka i ujął w dłonie jej piersi. Zapadła się w miękkie siano, gdzie otoczył ją intensywny aromat lata, który zmieszał się z zapachem jej pożądania, sprawiając, że w głowie jej się kręciło. Zsunęła bieliznę do talii, wygięła się w łuk, przyciskając piersi do torsu Barneya i uniosła głowę do następnego pocałunku. Pocałował ją mocno, namiętnie i wyczuwała, że z trudem nad sobą panował. Jej niecierpliwe palce dotarły do jego pasa i szarpnęły spodnie, szukając zapięcia.

- Chwileczkę - szepnęła. Był równie niecierpliwy jak ona.

Słyszała to w jego głosie, czuła w napięciu ciała. Lavender zamknęła oczy, kiedy odsunął się i ściągnął spodnie, po czym znów je otworzyła, gdy z kolei przystąpił do zdejmowania jej bielizny. Powodowana niewczesną skromnością ścisnęła bieliznę, okrywając swą nagą, ale Barney rozwarł jej palce i wyplątał lekką

tkaninę spomiędzy nich, po czym nakrył ją swoim ciepłym ciałem, chroniąc przed zimnem, a jednocześnie ustami dotknął jej warg.

Poczuła jego dłoń na udzie i przesunęła się nieco, by dopasować się do niego. W głębi ciała czuła ból nie do zniesienia i wprost nie mogła się doczekać, kiedy Barney go złagodzi, a ledwie o tym pomyślała, on już był w niej. Po chwili, gdy Lavender się oswoiła, poczuła taką rozkosz, że krzyknęła głośno.

Potem leżeli bez ruchu przez długi czas, mocno objęci, na wpół zakopani w sianie. W końcu Barney poruszył się, odgarnął splecione włosy z twarzy Lavender i pocałował ją niespiesznie, przedłużając przyjemność. Dłońmi błądził po jej ciele z dumą posiadacza, przesuwał nimi po biodrach, obrysowywał krągłość piersi. Lavender zamruczała cicho i zarzuciła mu ramiona na szyję.

- Kto by pomyślał, że to takie przyjemne - szepnęła.

- Ja z pewnością nie. - Barney wtulał twarz w jej szyję, toteż czuła, jak się uśmiecha. - Czy to lepsze niż rysowanie?

- Och, o wiele lepsze!

- Lepsze niż botanika?

Lavender przeciągnęła się i wyprostowała ręce nad głowę. Barney rozluźnił uścisk, tylko po to, aby się nad nią pochylić i znów ją pocałować. Usiłowała się wywinąć.

- Barney!

- Popisywałaś się tym swoim wspaniałym ciałem, jak więc mogłem się oprzeć?

Wspaniałym, pomyślała Lavender, której zrobiło się ciepło koło serca. Przeniknęła ją duma.

Nagle dłonie Bameya znów znalazły się na jej talii i ponownie przyciągnął ją do siebie. Wkrótce porwała ich kolejna fala namiętności.

- Baraey... -jęknęła Lavender, przepełniona nowymi, fascynującymi doznaniem.

- Powiedziałem, że spodoba ci się bycie mężatką - powiedział dużo później Barney, przeciągając głoski. Leżeli spleceni ramionami, nie będąc w stanie oderwać się od siebie, - Chyba że, naturalnie - potarł wargami jej usta - teraz już nie chcesz za mnie wyjść?

W odpowiedzi Lavender przytuliła się mocniej i trwali tak bez ruchu, aż zegar stajenny zaczął bić, Wówczas Barney poruszył się i zauważył:

- Zdaje się, że wkrótce wraca dziadek, a wieczorem pojawią się służący, chyba więc powinniśmy wstać.

Lavender wydała cichy okrzyk, raptownie usiadła i zaczęła się miotać desperacko w poszukiwaniu swoich rzeczy.

- Och, nie! Jeśli sir Thomas mnie tu zobaczy, na pewno uzna, że nie nadaję się na żonę dla jego wnuka,

Barney znów wziął ją w ramiona.

- Moim zdaniem jak najbardziej się nadajesz, a tylko to się liczy. A więc, godzisz się na ten mezalians czy nie?

Lavender z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

- Z całego serca.